

E m m a V i s k i c

ZATOKA

MILCZENIA

CALEB ZELIC NIC NIE SŁYSZY,
ALE WIDZI WSZYSTKO

E m m a V i s k i c

ZATOKA MILCZENIA

przełożył Jan Kabat



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: **Resurrection Bay**

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*

Redakcja: *Sławomira Gibka*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Marta Orlikowska, Maria Śleszyńska*

Na okładce wykorzystano fotografie z Getty Images

© Ben Roberts Photography

© Coal Photography/Alexander Legaree

Copyright © Emma Viskic 2015

Originally published in the English language as *Resurrection Bay* by Echo Publishing, an imprint of Bonnier Zaffre, London.

The moral rights of author have been asserted.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Jan Kabat

ISBN 978-83-287-1199-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2019

Mojej Mamie

SPIS TREŚCI

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

1.

Kiedy zjawili się ratownicy medyczni, Caleb wciąż trzymał go w ramionach. Wezwanie karetki w pewnym sensie miało się z celem – Gary na pewno nie żył. Musi być martwy. Nie mógłby oddychać z tak rozciętym gardłem. Wydawało mu się, że ratownicy uważają podobnie. Przystanęli na brzegu pokrytej krwią kuchennej terakoty, wpatrując się w bezwładne ciało Gary’ego w jego ramionach. Mężczyzna i kobieta w niebieskich uniformach; na ich twarzach malowała się nieufność. Mówiła kobieta, ale słowa przepływały obok niego, zbyt bezkształtne, by mógł je uchwycić.

– Za późno – powiedział.

Cofnęła się.

– Masz nóż, kolego? Coś ostrego?

Mówiła powoli, każda sylaba miała wyraźną i odpowiednio wyartykułowaną formę.

– Nie. – Zauważył, że napięcie nie znika z jej twarzy, więc dodał: – Nie zabiłem go.

– Jest ktoś jeszcze w domu?

– Nie, ale dzieci Gary’ego wrócą niedługo ze szkoły. Nie powinny go zobaczyć w tym stanie.

Wymieniła spojrzenie ze swoim partnerem.

– Okej, może położysz Gary’ego na podłodze, żebyśmy mogli się nim zająć?

Skinął głową, miał jednak wrażenie, że nie jest w stanie się ruszyć. Ratownicy naradzali się przez chwilę, potem podeszli bliżej. Nakłonili go, by zabrał ręce, i położyli Gary’ego delikatnie na podłodze, ich palce próbowały wy badać puls, którego w żaden sposób nie dało się wyczuć. Krew na ich rękawiczkach. Na nim także –

pokrywała jego dłonie i ramiona, przesiąknęła cały przód podkoszulka. Materiał przylegał mu do piersi, wciąż ciepły. Chwyciły go silne ręce, nakłaniając, by się podniósł, po chwili stał na własnych nogach. Wychodząc z salonu, minął przewróconą szafkę z dokumentami, rozdarte poduszki i stłuczone szkło. Oddalał się od koszmarnych szczątków, które niegdyś były Garym.

Zamrugął w bladym słońcu Melbourne. Tuż obok brzęczał niewyraźnie głos kobiety, on jednak ominął ją wzrokiem i popatrzył na ulicę. Wyglądała jak zawsze – szereg bezbarwnych domów, dziecięce trampoliny na posesjach od frontu, psie hybrydy – skrzyżowanie labradora z pudlem – od tyłu. Jego samochód zaparkowany dwoma kołami na chodniku. Kiedy dostał wiadomość od Gary’ego, kończył właśnie robotę; wspaniały wynik, wszyscy klepali go po ramionach. Minęła godzina, nim przeczytał esemesa, kolejne dwie w samochodzie, kiedy tkwił w korku za ciężarówkami i wiekowymi volvami. Pomyślał, że powinien był przejeżdżać na czerwonych światłach. Przekraczać dozwoloną szybkość. Prawa fizyki.



Ulica pulsowała światłami radiowozów, kiedy zmierzch przemieniał się w ciemność. Caleb siedział okryty kocem na tylnej platformie karetki w towarzystwie bladego i milczącego policjanta, który cuchnął wymiocinami. Miał wrażenie, że jemu też przewraca się w żołądku. Nie mógł zetrzeć krwi z rąk. Tkwiła w porach skóry, pod paznokciami. Tarł dłońmi o džinsy, podczas gdy obcy ludzie wchodzili do domu Gary’ego, a potem wychodzili. Nieśli podkładki pod dokumenty i torby, na butach mieli bawełniane ochraniacze. Światła wozów telewizyjnych dobywały z mroku tłum gromadzący się po drugiej stronie ulicy: sąsiedzi, reporterzy, dzieciaki na rowerach. Był zbyt daleko, by widzieć ich twarze, ale wyczuwał ogólne podekscytowanie. Naelektryzowane powietrze, jak przed nadciągającą burzą.

Posterunkowy stanął na baczność, kiedy jakiś mężczyzna ruszył ku nim od strony podjazdu. Był to potężnie zbudowany i wysoki detektyw, ten, który przeszukiwał Caleba i wydawał się trochę zawiedziony, gdy nie znalazł narzędzia zbrodni. W zbliżonym wieku, co najwyżej trzydzieści kilka lat, krótko przycięte włosy i bary

napierające na szwy marynarki. Telleco? Temenko? Tedesco?

Tedesco zatrzymał się przed młodym policjantem.

– Każ reporterom cofnąć się za taśmę, posterunkowy. Jeśli poczujesz, że zbiera się ci na wymioty, wyrzygaj się na nich zamiast na miejsce przestępstwa. – Zwrócił się do Caleba: – Jeszcze kilka pytań, panie Zelic, potem zabiorę pana do komendy, żeby spisać zeznania.

Potoczysty rytm mowy, charakterystyczny dla prowincjusza z pustynnych rejonów. Ale nie widział dobrze twarzy, tonęła częściowo w cieniu. Caleb przesunął się o kilka kroków, w stronę światła.

Tedesco popatrzył na najbliższą latarnię.

– Jeśli jest tu dla pana za ciemno, możemy podejść bliżej domu.

Metry od ciała Gary’ego. Od odoru krwi i strachu.

– Tu jest dobrze.

– Rozumiem, że łączyło pana ze starszym posterunkowym Marsdenem coś więcej niż interesy.

– To jest mój przyjaciel.

Nie. Jeśli chodzi o Gary’ego, koniec z czasem teraźniejszym. Od tej chwili wyłącznie czas przeszły: znałem człowieka, który nazywał się Gary Marsden, i kochałem go jak brata.

Tedesco przyglądał mu się uważnie: twarz jakby wykuta z kamienia, bez odrobiny emocji. Wyjął z kieszeni notatnik.

– Jeśli chodzi o ten telefon, kiedy prosił pana o szybki przyjazd... pamięta pan, co dokładnie powiedział?

– Mogę panu pokazać, to był esemes. – Jego dłoń powędrowała do kieszeni, nic nie znalazła. Cholera. Poklepał się po dzinsach. – Zgubiłem komórkę. Jest w domu?

– Esemes, nie bezpośrednie połączenie. Więc pewnie nic pilnego. To mógł być zbieg okoliczności, że poprosił pana o przyjazd.

– Nie. Gaz zawsze wysyłał mi esemesy, wszyscy tak robią. Był zaniepokojony.

Zawsze pisał poprawnie, zgodnie z zasadami gramatyki, ale tym razem się spieszył. Coś w rodzaju: „Scott za mną. Przyjeźdź dom. Pilne. Nikomu słowa. Nikomu”. Wszystko dużymi literami.

Tedesco wertował niespiesznie notatnik, potem zaczął pisać. Wyraźne litery i poprawna interpunkcja, pewna i spokojna dłoń. Odczytałby to w sądzie bez zająknięcia. Gaz by to pochwalał.

Ręka trzymająca pióro znieruchomiała.

– Kim jest Scott?

– Nie wiem.

– Nie obchodzą mnie podejrzone interesy pańskiej firmy, panie Zelic. Pracuję w wydziale zabójstw, nie przestępstw gospodarczych ani w narkotykach. O co więc tu chodzi? O jakiś biznes, który poszedł nie tak, jak trzeba? O kogoś, kto was wpakował w kłopoty?

– Nie, nic w tym rodzaju. Trust Works działa legalnie. Zajmujemy się bezpieczeństwem korporacyjnym, prowadzimy śledztwa dotyczące oszustw, tego rodzaju rzeczy. Moją partnerką jest była policjantka, Frankie Reynolds. Niech się pan o nią rozpyta, połowa komendy może za nią ręczyć.

– A starszy posterunkowy Marsden? Co miał z tym wspólnego?

– Pomagał przy pewnej sprawie związanej z ubezpieczeniem, dorabiał sobie w ten sposób.

To był pieprzony pomysł przy piątkowym piwie z Gazem. Rozwiązanie sprawy, która ich przerastała. Sprawy, której przyjęcie Frankie mu odradzała. Dlaczego jej nie posłuchał, do diabła?

Tedesco znowu coś mówił, pytał, czy Gaz miał... coś. Problemy fajansowe? Nie, niemożliwe.

– Przepraszam, co?

– Problemy finansowe – powtórzył Tedesco. – Powiedział pan, że dorabiał sobie. Trapiły go problemy finansowe?

– Nie, ale miał rodzinę, pieniądze zawsze się przydadają w takiej sytuacji. Niech pan posłucha, to musi mieć jakiś związek. Chodzi o dwa duże włamania do magazynu. Gaz uważał, że złodzieje mieli wtykę.

– Posterunkowy Marsden nie został zabity przez jakiegoś podejrzanego kierownika magazynu, panie Zelic. To była egzekucja. Egzekucja. Słowo, które nieczęsto słyszy pan na dalekich peryferiach miasta.

Egzekucja: nieznaczny uśmiech przy pierwszej sylabie, delikatne wysunięcie warg przy trzeciej.

– Krew na ścianach i suficie. – Tedesco odczekał chwilę. – Na pańskim ubraniu. To jak przesłanie. Od kogo? Jakie?

– Nie wiem. Rozmawiał z ludźmi, to wszystko. Nic niebezpiecznego, nic... nie wiem.

Detektyw przygwaźdżał go wzrokiem. Szare oczy koloru granitu, nie nieba. Jeśli takie milczące spojrzenie stanowi jedną z technik przesłuchiwania, to nie robi na nim wrażenia: cisza zawsze wydawała mu się bezpieczniejsza niż słowa.

– W porządku – oznajmił w końcu Tedesco. – Proszę ze mną. Ktoś zawiezie pana do komendy.

– Chwileczkę. Pies. Nie widzę go. Czy...?

Słowa wypowiedziane przez detektywa zagubiły się w ciszy, kiedy Caleb się odwrócił, ale zdążył dostrzec wyraz jego twarzy. Cień prawdziwego wzruszenia: smutek. Kurwa. Biedne cholerne dzieciaki. Tedesco był już na środku ulicy, zmierzając w stronę tłumu. Później, zajmiesz się tym wszystkim później. Teraz się trzymaj, kurwa. Caleb pospieszył za detektywem i przecisnął się pod taśmą policyjną. Kamery obróciły ku niemu swe czarne pyski. Światła, gwałtownie podsuwane mikrofony, niewyraźna kakofonia dźwięków. Zamarł.

Tedesco stał przed nim, jego usta poruszały się szybko. Mówił coś o radiach? Wózkach?

– Nie rozumiem – odparł Caleb, by po chwili uświadomić sobie, że posługuje się językiem migowym. Spróbował jeszcze raz, po angielsku.

Detektyw chwycił go za ramię i pociągnął w stronę radiowozu, potem niemal wpełznął na tylne siedzenie. Drzwi się zatrzasnęły, nie mogły jednak powstrzymać wygłodniałych twarzy reporterów.

Caleb zamknął oczy i wyłączył aparat słuchowy.

Scott. Łatwe słowo, tylko sycząca spółgłoska i powietrze. Kim jest, u licha? I dlaczego Tedesco przez dwadzieścia sekund przerzucał najwyraźniej kartki w pustym notatniku, kiedy on, Caleb, wspomniał o tym człowieku?

2.

Wziął prysznic i wyrzucił pokrzwawione ubranie do kontenera, potem znowu prysznic. Mgnienie obrazu rodem z Halloween w łazienkowym lustrze: biała skóra kontrastująca z ciemnymi włosami, czarne wgłębienia zamiast oczu. Co teraz? Spróbować zasnąć? Zjeść coś? Przeszedł do salonu. Różowe ściany i meble w pomarańczowe paski, widoczne rysy, nawet w przyćmionym świetle. Pozostałości po poprzednim lokatorze, tak jak liliowy dywan i uporczywa woń kadzidła. Frankie skrzywiła się podczas pierwszej wizyty na widok tych kolorów i dała mu puszkę białej farby, prezent na nowe mieszkanie. W ciągu osiemnastu miesięcy, które upłynęły od tamtej chwili, zdołał przenieść pojemnik z podłogi na stolik w holu. Dziesięć litrów. Starczyłoby na odmalowanie kuchni Gary’ego? Musiałby najpierw porządnie wyszorować ściany. Potem oskrobać, łącznie z sufitem. I podłogę.

Wzbierało w nim coś koszmarnego, coś, co chciało rozerwać mu wnętrzności. Ruszaj się. Bez przerwy. Wyszedł z pokoju i był w połowie drogi do drzwi frontowych, kiedy zamigotały światła stroboskopowe: ktoś naciskał dzwonek. To była Frankie. Jak zwykle miała na sobie dzinsy i podniszczoną skórzaną kurtkę; końcówki krótkich szarych włosów były liliowe i rozczochrane.

– Cal. – Zarzuciła sobie plecak na ramię i rozłożyła ręce. – Kurwa, stary. Tak mi przykro.

Nachylił się ku jej kościstym ramionom i zamrugał, czując w oczach nagłe pieczenie.

Uściskała go mocno, potem puściła.

– ...domu? ...godzinami...

– Co?

Popatrzyła na niego, potem zapaliła światło. Zadrżał od tej niespodziewanej jasności.

– Kiedy wróciłeś do domu? – wymówiła powoli. – Godzinami próbowałam się z tobą skontaktować.

– Zgubiłem komórkę. Później jej poszukam, teraz muszę iść. – Słowa utknęły mu w gardle. Za szybkie jak na jego usta. – Powinienem ze wszystkimi pogadać. Ktoś przecież musi wiedzieć, kim jest Scott.

Ruszył przed siebie, ale Frankie tarasowała drzwi, jej twarz zdradzała niezwykłą konsternację.

– Cał, jest pierwsza w nocy.

– Och.

Spojrzał na zegarek. Drżała mu ręka.

Otoczyła go ramieniem; była dostatecznie wysoka, by móc to zrobić bez większego wysiłku.

– Chodź – powiedziała, prowadząc go do salonu. – Usiądź. Zaraz wracam.

Zniknęła w kuchni.

Wsparł głowę na dłoniach. Trzy dni wcześniej siedział na tej samej kanapie i przekonywał Gaza, by pomógł mu w pewnej sprawie. Rzecz dotyczyła ubezpieczenia – dwa profesjonalne włamania do magazynu w Coburg i kradzież papierosów wartych dwa miliony dolarów. Gaz przepytывał ludzi, chcąc się czegoś dowiedzieć o podobnych przypadkach. Trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny. Co mogło się przez ten czas wydarzyć, kurwa?

„Egzekucja... krew na ścianach i suficie”.

Poczuł na ramieniu dotknięcie. Frankie stała nad nim, trzymając kubek, który pachniał kocią karmą.

– Zupa krem, grzybowa – powiedziała, stawiając naczynie na stoliku do kawy.

Popatrzył na potrawę: w przypadku jedzenia Frankie ograniczała się do chipsów

o smaku soli i octu.

– Ugotowałaś zupę?

– Ugotowałam? Daj spokój, kurwa. Jest z puszki. Albo to, albo płatki śniadaniowe.

– Usiadła na krześle naprzeciwko niego i odsunęła plecak stopą. – Przyniosłam też johnniego walkera. Pomyślałam, że nie masz tu nic mocniejszego od piwa.

Drink byłby dobry. Zły. Fatalny dla Frankie. Nie piła od sześciu lat, ale kiedy spotkali się po raz pierwszy, gdy zaczynał jako audytor śledczy, rozsiewała wokół siebie woń whisky jak perfumy.

– Może później – powiedział.

– Kurwa, Cal, nie wiem, co powiedzieć. Ty go znalazłeś? Jezu. – Przesunęła dłonią po włosach, których końcówki znów się podniosły. – I komórka... Jak zdołałeś wezwać gliny?

Złapał telefon Gary’ego. Mówił w ciszę, modląc się, by ktoś usłyszał, by ktoś się zjawił.

– Wystukałem numer i mówiłem. Sprawę prowadzi detektyw Tedesco. Znasz go?

Zmrużyła w zamyśleniu oczy, potem pokręciła głową.

– Musiał przyjść do komendy już po moim odejściu. I co? Jesteś podejrzany? Ci dranie chuja mi powiedzieli.

Wydawała się nieco zdumiona brakiem miłości ze strony dawnych kolegów.

– Nie sądzę. Wszyscy się cholernie uspokoili, kiedy zdali sobie sprawę, że nie mam przy sobie noża.

– Nie sądzisz? Jezu, Cal, dlaczego nie poprosiłeś o tłumacza?

Poczuł na twarzy gorący rumieniec.

– Bo nie potrzebuję pieprzonego tłumacza.

– Nie wkurzaj się. Oboje wiemy, że masz czasem problemy. Kiedy jesteś zmęczony albo zdenerwowany, albo gdy ludzie zasypują cię pytaniami. Byłabym zdziwiona, gdybyś zrozumiał choć połowę tego, co ci powiedzieli.

– Zrozumiałem wszystko. Tedesco uważa, że Gaz był zamieszany w coś

podejrzanego, tak jak i my. Nie chciał słuchać o tej sprawie z ubezpieczeniem.

– Chodzi o magazyn? A co to ma do rzeczy?

– Gaz przesłał mi wiadomość. Jakiś Scott chciał go dorwać. – Przełknął. – Przeczytałem esemesa, kiedy było już za późno.

– Do mnie też dzwonił. – Odwróciła wzrok. – Nie odebrałam. Włączyła się poczta głosowa. Właśnie byłam w samym środku... kurwa.

Boże, z kim jeszcze Gaz próbował się skontaktować?

– Co ci przekazał? Coś na temat naszej roboty albo o Scotcie?

– Nic, tylko żebym oddzwoniła. Ale Cal, w tej sprawie nie ma nikogo, kto nazywa się Scott.

– Jesteś pewna? W magazynie zatrudniają mnóstwo pracowników. No i jeszcze agencja ochrony i...

– Stary, dobierałam się im do tyłków tak dokładnie, że wiem, który z nich potrzebuje w diecie więcej błonnika. Nie ma tam żadnego Scotta. I nic nie wskazuje na to, by złodzieje uciekali się do przemocy.

– Mówiłaś, że facet z ochrony został ranny podczas drugiego włamania.

– Drobną kontuzją, miał ledwie guza. Wydaje się, że robili wszystko, by go nie skrzywdzić. – Postukała w ramę fotela, rytmiczny takt, wymagający wszystkich palców. – A Gary... czy on... zachował się profesjonalnie? Jak dostali się do środka?

– Wyłamali drzwi wejściowe. – Nie, to nie było tak. Przypomniał sobie, jak stał na ganku, za plecami miał zimowe słońce, które oświetlało nieuszkodzony zamek. – Boże. Otworzył je. Otworzył im drzwi.

– Sprawdźmy, co i jak, zanimby otworzył?

– Gliniarz mający małe dzieci? Robił to za każdym razem.

– Więc to był ktoś, kto wyglądał niegroźnie... Przedstawiciel jakiejś instytucji charytatywnej, dostawca.

Ale za dawnych czasów, kiedy byli jeszcze dziećmi, uczył Gaza sztuki obserwacji. Jak czytać z ludzkich dłoni i oczu. Jak się zorientować, że ukradkowe

spojrzenie to sygnał do ucieczki albo zadania ciosu. Czy Gary mógł się tak bardzo pomylić? Otworzyć drzwi facetowi z podkładką na dokumenty i nożem?

Napotkał spojrzenie bladych oczu Frankie.

– To był ktoś, kogo znał.

Nie odezwała się. Siedziała nieruchomo z dłońmi na kolanach.

– Dwóch ludzi – powiedział. – Może trzech. Gaz umiał się bić, ale w przedpokoju nie było żadnych śladów walki. Jeden z jednej strony, drugi z drugiej, trzeci unieruchomił mu nogi, od razu ruszyli na tyły domu, z dala od sąsiadów. Zabili psa, żeby go uciszyć, potem powywracali wszystko do góry nogami. Zajęło to trochę czasu – rozdarli każdą poduszkę, powyciągali szuflady, rozwalili telewizor i komputer.

Co było najpierw, zabójstwo czy to pobjowisko? Nie myśl o rozciągniętym ciele Gary’ego, jego pustych oczach, tylko o pokoju. Książki porzucane po podłodze; strugi krwi na ich kartkach.

– Zdewastowali dom, potem go zabili. Myślę, że kazali mu klęczeć. – Palce zaciśnięte na włosach, miękka skóra krtani odsłonięta. Błagał o litość? Negocjował? Błysk srebra i zimny żar ostrza. – Nie umarł od razu. Krew... trysnęła. – Zamrugął, powróciła ostrość spojrzenia. Frankie miała wilgotne oczy. – Po co dewastować dom? – spytał. – Po co ryzykować, tracąc czas?

– Czegoś szukali.

– Nie musieli przetrząsać mieszkania. Gary by im to dał. Lada chwila miały wrócić dzieciaki. I Sharon. Nic nie liczyło się dla niego bardziej niż ich bezpieczeństwo.

– Może zabójcy chcieli dać coś do zrozumienia.

– Detektyw Tedesco twierdzi to samo.

– Bystry facet.

– Nie tak bardzo, jeśli uważa, że Gaz był skorumpowany.

Nic nie powiedziała, ale znów zaczęła stukać palcami.

– No, śmiało, mów.

– Dlaczego Tedesco od razu tak pomyślał?

– Bo jest idiotą.

– Stary, przez trzydzieści lat pracy w policji nie spotkałam głupiego gliniarza z wydziału zabójstw. Dupków, owszem, ale nie idiotów. – Machnęła ręką. – Uspokój się. Nie mówię, że Gary był skorumpowany, uważam tylko, że powinieneś dać sobie spokój i pozwolić Tedesco wykonywać swoją robotę.

– Nie mogę... Poprosiłem Gaza, by mi pomógł, Frankie. Wpakowałem go w sam środek jakiegoś gówna, nie mając o niczym pojęcia. – Miał ściśnięte gardło.

Mówiła, ale odwrócił wzrok. Słowa, więcej słów, ale żadne z nich nie mogło zmienić prawdy.

Trzepnęła go po ręku.

– Kurwa, patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię. Ile masz lat? Trzy?

– Nie potrzebuję motywujących przemówień, Frankie.

– Nie wygłaszam cholernych przemówień, tylko wyjaśniam ci sytuację. – Popatrzyła na jego dłonie, a on uświadomił sobie, że pociera nimi o nogawki spodni. Zmusił je do bezruchu. – Posłuchaj. Jeśli ma cię to uspokoić, to jutro się rozejrzemy, zadamy kilka pytań. Okej? Wspaniale. A teraz zjedz zupę, żebym nie musiała na nią patrzeć. Ma kolor kocich rzygowin.

Na powierzchni zupy zebrała się szara zawiesina. Wiedział, że powinien jeść: głódzenie się było pierwszą oznaką bezsilności. Potem brak snu, wreszcie niemożność normalnego funkcjonowania. Jeśli miało się szczęście, zjawiała się przyjaciółka, która pomagała zacząć na nowo w maleńkim mieszkanku o różowych ścianach i pomarańczowych meblach w paski.

Zmusił się do przełknięcia porcji.

– Dzięki.

– Smakuje ci? Mam na deser zwietrzałe chipsy.

3.

Trzymał go za ramiona skrwawionymi dłońmi i potrząsał ciałem.

„Zabili psa, Cal. Dlaczego otworzyłeś drzwi?”

Obudził się gwałtownie, nie mógł złapać powietrza, dusił się. Minęła dobra chwila, zanim młóćąc rękami, uwięziony w koszmarze sennym, uświadomił sobie: szósta rano, wibrujący dźwięk budzika pod poduszką. Chryste. Zaczął macać w poszukiwaniu wyłącznika, potem spuścił nogi na podłogę i z trudem włożył dres; nie było mowy o dalszym śnie.

Od razu ruszył do łazienki, wysikać się pospiesznie i opłukać twarz wodą. Jego aparat słuchowy leżał na toalecie, niczym dwa małe różowe ślimaczki. Dostatecznie drogi, żeby nadwyrężyć jego konto bankowe, dostatecznie mały, żeby ukryć go pod włosami. Zmieniał ciszę w jego uszach w odległe dźwięki: niewyraźne, niczym pomruki podwodnego świata. Wyciągnął dłoń. Nie korzystać z niego to głupota. Dzięki niemu słyszał ostrzegawczy klakson albo nadjeżdżającą ciężarówkę. I każdy inny niewytłumaczalny szum albo huk. Teraz długi bieg wzdłuż rzeki. Tylko uderzenia stóp i oddech, zimne ukłucia wiatru na twarzy. Odwrócił się niemal pewien, że zobaczy w drzwiach Kat, jej zaspane oczy wyrażające ostrzeżenie, żeby uważał na ulicach. Dziwne, że czyjaś nieobecność może być dla człowieka takim ciężarem.

Znalazł Frankie rozciągniętą na kanapie. Wysłała go do łóżka około drugiej, mówiąc, że równie dobrze może tu zostać i przespać się „kilka pieprzonych godzin”. Był pewien, że chrapie. Usta otwarte, włosy zmierzwił: nieszczególny widok. Decyzja, żeby założyć z nią przed pięciu laty Trust Works, wydawała się jedną z mądrzejszych, jakie podjął – niewiele było na świecie rzeczy, których Frankie by nie

wiedziała albo nie doświadczyła. Być może dzięki swej wielkiej umiejętności spania w każdych warunkach.

Nastawił budzik w jej komórce na 7.30, plus kilka minut przypomnienia, i położył telefon przy jej uchu. Znieruchomiał. Coś było nie tak. Wyczuwał... Spenetrował wzrokiem podłogę, potem osunął się na dłonie i kolana. Pod kanapą leżała butelka johnniego walkera, czerwona nalepka. Wyciągnął ją: opróżniona do połowy. Kurwa. Kurwa. Sześć lat abstynencji i właśnie teraz postanowiła sobie pofolgować. Zacisnął palce na szkle. Co dalej? Zostawić flaszkę na miejscu, postawić w zasięgu wzroku? Wylać zawartość do zlewu? Albo na jej głowę?

Wsunął butelkę z powrotem pod kanapę i wyszedł pobiegać.



O 8.30 byli już w trasie, Frankie prowadziła, podczas gdy on przeglądał pobieżnie notatki na zrobionych przez nią wydrukach. W regularnych odstępach czasu porozumiewała się z nim za pomocą języka migowego. Liznęła go trochę przez tych kilka lat, ale kiepsko się nim posługiwała. I powoli. Cholernie powoli.

– Facet niezły – pokazała na palcach, skręcając na północ, w St George’s Road. – Dwadzieścia lat.

Puściła kierownicę, żeby zrobić znak X oznaczający „pracować”.

Chodziło jej prawdopodobnie o ochroniarza, którego zamierzali przesłuchać, ale nie chciał kontynuować rozmowy, zadając dodatkowe pytania.

– Ranny. Nie pamięta. Smutna głowa.

Odpowiednio sugestywny wyraz twarzy przy pokazywaniu, znaczny postęp. Szkoda tylko, że oznaczało to, iż musi patrzeć na niego zamiast przed siebie. Wciskał stopą wyimaginowany pedał hamulca, ilekroć zbaczali na kurs nadjeżdżającej ciężarówki z naczepą.

– Oboje skończymy ze smutnymi głowami, jeśli nie będziesz patrzeć na pieprzoną drogę.

Chwyciła kierownicę jedną dłonią, a drugą pokazała mu uniwersalny znak „wał się”. Postanowił, że następnym razem to on będzie prowadził. Tyle że jego samochód wciąż stoi pod domem Gary’ego. Musi upłynąć trochę czasu, nim zdoła po niego pojechać.

– Nazywa się... – Ujęła kierownicę łokciami i zaczęła pokazywać na palcach z szybkością przesuwanego się lodowca. Jedna pięść na drugiej. G. Dźgnięcie w środkowy palec. I.

Zerknął do notatek: Giannopoulos. Był pewien, że lada chwila zginą.

– Arnie Giannopoulos – powiedział. – Wiek: sześćdziesiąt lat. Od dwudziestu zatrudniony w firmie ochroniarskiej City Sentry Security. Doznał niegroźnego wstrząśnienia mózgu i nie pamięta włamania. – Wskazał przez szybę wozu. – Thompson’s Street, następna w prawo.

Frankie zerknęła pobieżnie w tamtą stronę i skręciła tuż przed pędzącym wozem dostawczym.

Kiedy znów otworzył oczy, podjeżdżali pod bungalow będący w dość opłakanym stanie.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym to ja z nim gadała? – spytała Frankie, kiedy wysiedli z wozu.

Innymi słowy: dasz radę nadażać za rozmową dwojga ludzi?

– Bo chyba mnie trochę polubił – dodała.

– Naprawdę?

Co miało znaczyć, że to on będzie odgrywał rolę złego gliniarza, a ona dobrego. Odwrotnie nigdy nie wychodziło.

Popatrzył na dom, kiedy zbliżali się do drzwi. Wymagał remontu fundamentów, nowego zadaszienia i sidingu, ale w oknach niedawno zamontowano kraty. Na parapetach wciąż zalegał pył po wierceniu dziur. Wskazał je głową, kiedy czekali, aż ktoś odpowie na jej pukanie.

– I nowe zamki – zauważyła.

Obróciła twarz, na którą padły promienie słońca. Zazwyczaj mogła uchodzić za

ekscentryczną szesnastolatkę, ale tego ranka na jej obliczu ujawniły się wszystkie defekty związane z upływającym czasem – z jej pięćdziesięcioma sześcioma latami życia: zmarszczki wokół ust, podkrążone oczy, zapadnięte policzki. Butelka zniknęła, zanim wrócił z porannego biegu. Żadne z nich nie wspomniało o tym słowem.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i znad łańcucha spojrzali na nich mężczyzna. Jego pociągłą twarz pokrywały żółknące siniaki. Jedno ucho było spuchnięte, rozcięcie od podbitego oka do wargi zakrywał plaster z opatrunkiem. Rana zadana rozmyślnie, prosta i głęboka.

Caleb zerknął na Frankie – o wiele poważniejsze obrażenia niż pojedynczy cios w głowę, jak zaznaczono w raporcie policyjnym.

– Świeże – rzuciła bezgłośnie.

– Jezu, znowu policja – mruknął ochroniarz ze zniecierpliwieniem, ale uważnie spenetrował wzrokiem ulicę za ich plecami. Drżały mu policzki i powieki.

Frankie przyjrzała mu się ze zrozumiałą uwagą.

– Nie wyglądasz najlepiej, Arnie. Co się stało?

– Drobnny wypadek.

Caleb nie usłyszał słów Frankie, ale Arnie otulił się szczelniej szlafrokiem.

– Nie – odparł. – Nie tutaj. Wejdźcie.

Zdjął łańcuch, a kiedy znaleźli się w środku, założył go z powrotem.

– Policja? – pokazał na palcach Caleb, kiedy szli za Arniem ciemnym korytarzem. Była sierżant Francesca Reynolds uśmiechnęła się tylko szeroko.

Arnie wprowadził ich do salonu tonącego w przyćmionym świetle i opadł na fotel. W pokoju unosił się odór stęchlizny i niemytego od dawna ciała. Na kominku stały porcelanowe koty i psy, na ścianach wisały oprawione tkaniny dekoracyjne przedstawiające sceny wiejskie. Nawet meble wypoczynkowe powtarzały ten sam motyw: krowy i konie, pogodny wschód słońca nad zielonymi pastwiskami. Albo Arnie miał kiedyś żonę, albo zмага się z rozdwojeniem jaźni.

Mówił coś właśnie, krzyżując niezgrabnie ręce na piersi.

– ...być... ludzie i... prawa.

Cholera. Umykała mu przy tym słabym świetle połowa rozmowy. Czas odegrać rolę złego gliniarza. Przeszedł przez pokój i stanął nad Arniem. Patrząc strażnikowi we wciąż mrugające oczy, pochylił się i zapalił małą lampkę. Twarz mężczyzny spowił różany blask. Nie całkiem onieśmielające światło, jakiego się spodziewał. Kotki na abazurze też nie pomagały. Unikając wzroku Frankie, podszedł do kominka i oparł się o jego gzyms.

– Przepraszam, Arnie – powiedziała Frankie. – Nie pogniewasz się, jeśli usiądę? Mam za sobą trudny dzień.

– Och. – Arnie opuścił ręce. – Przepraszam, kochanie. Oczywiście. Wykonujesz trudną robotę jak na dziewczynę.

Frankie uśmiechnęła się skromnie i usiadła obok ochroniarza.

– Nie tak trudną jak ty. Można by pomyśleć, że wróciłeś z wojny.

Jej numer z rodzaju „słodkie maleństwo” zawsze budził w Calebie lęk – był niemal pewien, że jej głowa obróci się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Pozwolił jej stosować tę magię, obserwując jednocześnie Arniego. Krótkie zdania, suche wargi niczym kurzy dziób, wypluwające słowa. Wyraźne spółgłoski, pomijane nieme g. Skąd te nerwy? Większość mężczyzn w takich chwilach ulega czarowi Frankie, lecz Arnie wydawał się bliski płaczu. Byłoby ciekawe zobaczyć, jak zareaguje na krótkie myszkowanie po domu. Odczekał jeszcze kilka chwil, odsunął się od kominka i wyszedł z pokoju. Arnie poruszył się niespokojnie na fotelu, ale nie zrobił nic, by go zatrzymać.

Najpierw sypialnia. Jeszcze więcej uroczych figurek na toaletce. Wziął do ręki pasterzyka o tępych wyrazie twarzy, potem wytarł grubą warstwę kurzu z palców. A więc żaden ołtarzyk na cześć dawno zmarłej żony, po prostu rzeczy człowieka, który nie znajdował w sobie dość siły, by zmienić nie lubiane otoczenie. Dalej – nic ciekawego. Żadnego sejfów w garderobie w ścianie za śmierdzącymi ubraniami i podniszczonymi butami. Ani za dekoracyjną tkaniną z brykającymi jagniątkami. Teraz do kuchni. Wiekowy piecyk i lodówka, żadnej mikrofal. Jeśli Arnie bierze łapówki, to wydaje pieniądze bardzo ostrożnie.

Ruszył w stronę drzwi na tyłach domu, nagle się zatrzymał. Na podłodze odznaczała się jaśniejsza plama. Powierzchnia wielkości ludzkiego ciała została starannie wyszorowana. Wciąż jednak widoczne były ciemne smugi wskazujące miejsca, gdzie jakaś ciecz wsiąkła w deski podłogi. W takim właśnie miejscu dopadli Arniego prześladowcy. Sporo krwi jak na jedno cięcie. Może Arnie jest hemofilikiem. Caleb poczuł na czole zimny pot. Odczekał chwilę, po czym wsunął dłonie do kieszeni spodni i wrócił do salonu. Frankie popatrzyła na niego przeciągle i zmarszczyła czoło.

Zajął swoje miejsce przy kominku i skupił uwagę na Arniem.

– ...w zeszły wtorek – mówił ochroniarz. – Głupi wypadek. Wypiłem w pubie kilka drinków z kumplem. Pearose, tak się nazywa. Zmuliło mnie, jak zawsze. Wywaliłem się w drodze do domu. Prosto na twarz, wszędzie krew. Pearose mówi, że to cud, że się nie zabiłem.

Pearose? Zabrzmiało dziwnie. Caleb zanotował w pamięci, żeby omówić to z Frankie.

– Poszedłeś się napić dwa dni po włamaniu? – spytała Frankie.

– Tak, kilka drinków z kumplem. Nic w tym złego.

– Wtedy doznałeś wstrząśnienia mózgu?

Arnie bezwiednie otworzył usta.

– Lekkiego wstrząśnienia. – Próbował się uśmiechnąć. – Mam twardy łeb.

Frankie potrząsnęła głową.

– Arnie, wiemy, co się stało. Ktoś ci dokopał. Widziałeś coś podczas włamania i ktoś próbował cię uciszyć.

– Nie. Ja...

– Naprawdę zrobił ci krzywdę, co? Stłukł cię, skopał. – Dotknęła dłoni ochroniarza.
– Użył noża.

– Nie. – Arnie chwycił kołnierz szlafroka. – Upadłem. Upadłem, a tam było szkło. Dosyć.

– Jeden z jego kumpli cię przytrzymał, kiedy tamten ciął – oznajmił Caleb.

Arnie wlepił w niego wzrok.

– Co?

– W twoim własnym domu. Gdzie jesteś bezpieczny, jak ci się wydawało. Jak myślisz, co zrobi, kiedy się dowie, że na niego doniosłeś?

– C... co?

– Bo to właśnie zamierzam zrobić, gdy tylko stąd wyjdziemy – rozpowiem, że jesteś kapusiem. Te lśniące nowe kraty w oknach go nie powstrzymają. Ani nowiutkie drogie zamki. Młotem w drzwi, potem hol i jest w twoim pokoju. Z tym nożem.

Arnie uniósł odruchowo dłoń do policzka.

– Przewróciłem się.

– Widziałem, co on potrafi zrobić tym ostrzem, Arnie. Zabił wczoraj policjanta, mojego przyjaciela. Poderżnął mu gardło. Elegancko i powoli, żeby Gaz wiedział, co się dzieje. Żeby widział, jak krew tryska na ściany i sufit. Na zabawki jego dzieci. –

Ruszył nagle przez pokój i pochylił się nad skulonym ochroniarzem. – Zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda, Arnie? Czym to, kurwa, pachnie?

Ból w nadgarstku: to Frankie go odciągała. Cofnął się, oddychając ciężko. Rzuciła mu wymowne spojrzenie: odsuń się, kurwa, ale Arnie już wyciągał rękę w jego stronę.

– Błagam, nie mów mu. Zabije mnie.

– Kto, Arnie? Nie będziemy mogli ci pomóc, jeśli nam nie powiesz.

Ochroniarz pokręcił głową jak zaszczute zwierzę.

– Nikomu nie zdradzimy, że to wiemy od ciebie, Arnie. Ani twoim pracodawcom, ani policji. Nikomu.

Arnie wyprostował się gwałtownie.

– Nie jesteście glinami.

Cholera. Pieprzony amatorski błąd.

Ochroniarz dźwignął się na nogi.

– Dranie, jak śmieliście tu wejść? Wynocha.

Frankie coś mówiła, dłonie wykonywały uspokajające ruchy.

– Wynoście się. Wynoście się, kurwa.

Na ustach Arniego pojawiły się kropelki śliny. Wyciągnął rękę w stronę drzwi i w tym momencie jego szlafrok rozchylił się, odsłaniając bladą i bezwłosą pierś. Skórę znaczyła czerwona blizna, szeroka na całą dłoń. Chwycił czym prędzej poły szlafroka, ale Caleb zdążył dostrzec ślad i jego kształt.

Poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość; niemal zalała go żółć.

Ktoś wyciął na piersi Arniego dużą literę S.

4.

Bardzo się pomylił w ocenie knajpy, biorąc latające kaczki i laminowane stoliki za cyniczny i zamierzony kicz, podczas gdy stanowiły one oryginalne wyposażenie lokalu. Zakupione mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ostatni raz był czyszczony ekspres do kawy. Niezbyt dobrze, że usiadł plecami do sali: kilkanaście osób z tyłu, w tym grupka młodych mamusiek z wielkimi dziecięcymi wózkami. Nie mógł wykluczyć, że przynajmniej jedna z nich wystraszy go śmiertelnie, pojawiając się znienacka tuż obok.

Frankie wydeła usta, próbując swojej latte.

– Jezu. Następnym razem ja wybiorę knajpę, wieśniaku. – Odsunęła kubek. – Co myślisz o Arniem?

– Pionek, niezbyt bystry. Nie widać, żeby się ostatnio dorobił. Jeśli pracuje dla Scotta, to jest na samym dole łańcucha pokarmowego, poza tym dobrze wyszkolony. Prawie go przyszpiliłaś. Przepraszam, że spieprzyłem sprawę.

– Owszem. Przypomnij mi, żebyś cię potem walnęła. – Potarła się odruchowo po mostku. – Naznaczony. Kurwa.

– Tak, to dziwne.

– Dziwne? To kurewsko zboczone.

– Jasne, ale chodzi mi o to, że dziwny jest sam moment. Jeśli Scott zrobił to, żeby ostrzec Arniego, by siedział cicho, to dlaczego dopiero dwa dni po włamaniu? Dlaczego nie tej samej nocy?

– Może Arnie zrobił coś potem... gadał z kimś albo próbował szantażować Scotta.

Hm. Myślisz, że Gary... Chodzi o to, że żadne przypuszczenie nie jest głupie, zgadza się?

– Są głupie przypuszczenia, a to jest właśnie jedno z nich.

– Więc po co go zabił? Arnie ma niewątpliwie kłopoty ze Scottem, ale żyje.

Gary jako dziesięcioletek, jeszcze w Resurrection Bay. Zawsze u jego boku, nawet wtedy, gdy miejscowe łobuziaki uznawały, że pora dokopać głuchemu debilowi. Gary z rękami chudymi jak patyki, roztrzęsiony. I nigdy przed niczym się nie cofał.

– Bo Gary nie dałby się zastraszyć.

Frankie upiła łyk kawy i skrzywiła się. Jej czoło pokrywała warstewka potu. Albo jej latte było jeszcze gorsze niż jego czarna, albo odczuwała skutki opróżnienia połowy butelki johnniego walkera. Nigdy nie rozmawiali o jej nałogu. Nigdy nie rozmawiali o walce z uzależnieniem, krótkotrwałej przygodzie ze środkami przeciwbólowymi, rozpadzie małżeństwa. Wszystko to wydarzyło się, nim zaistniał w jej prywatnym życiu, ale kiedy zaczęli razem pracować, znał już niektóre historie.

– W porządku? – spytał.

– Stary, to nie ja wrzeszczę na świadków.

Nie mógł zaprzeczyć.

– Rozmawiałaś z tym drugim facetem? Tym od pierwszego włamania?

– Tak, zadzwonili do niego, żeby przyszedł do roboty, i to w ostatniej chwili. – Sięgnęła po papierową serwetkę i machinalnie zaczęła ją drzeć. – Sprawdziłam, nie mógł w żaden sposób wiedzieć, że będzie tej nocy pracował. A pewien świadek widział, jak przez bramę magazynu przejeżdżała ciężarówka.

Łup. Zdusił w ustach pełne wściekłości „kurwa” i odwrócił się. Jakaś matka wyglądająca na zmęczoną próbowała przepchać wózek obok jego krzesła, jednocześnie trzymając na rękach rozwrzeszczane dziecko. Odpowiedział jej uśmiechem, który przypominał grymas, i przesunął krzesło.

– Wiarygodny ten świadek? – spytał.

– Pracownik zmianowy. Powiedział, że zanotował czas, bo jego firma ma na pieńku

z magazynem o ciągły hałas. Ciężarówka przyjechała o pierwszej zero sześć.

– Więc nasi sprawcy wiedzieli, jak wyłączyć system monitoringu i alarm, mieli też klucze do drzwi magazynu. Co myślisz? Wtyka w samym magazynie czy w agencji ochrony?

– W magazynie – odparła. – Agencja wygląda na solidną. Niewielka firma o nazwie City Sentry, funkcjonuje od jakichś dwudziestu lat. Szef uważa się za lepszego od samego Jezusa, ale pilnuje porządku. Strażnicy nie znają kodów do alarmu, nie mają też kluczy do magazynu. No i...

– No i?

– No i Gary został zabity, kiedy akurat zajmował się sprawą tego magazynu.

Łup! Cholera, następny wózek. Powinien był się spodziewać; wiecznie to samo. Zerknął przez ramię, by się upewnić, że pozostałe matki nie wykonują za jego plecami jakichś podstępnych manewrów.

Frankie postukała w blat, chcąc zwrócić jego uwagę.

– Chcesz stąd wyjść?

– Nie.

– To przestań wciąż podskakiwać, bo mam za każdym razem wrażenie, że poszukuje nas gestapo. Jest szansa na zdobycie laptopa Gary’ego? Zaoszczędziłoby to nam sporo roboty, gdybyśmy mieli jego notatki.

– Policja go nie ma, już mnie o to pytali.

Odłożyła resztki swojej serwetki i zabrała się do jego.

– Sądzę, że będziemy musieli jeszcze raz porozmawiać ze wszystkimi pracownikami magazynu. Dasz radę zacząć beze mnie? Chcę pogadać z kilkoma kumplami, sprawdzić, czy nie wiedzą czegoś o Scotcie.

Co go czeka? Mnóstwo nowych ludzi. Niektórzy z wąsami i obcym akcentem, żujący gumę i palacze. No i hałaśliwe otoczenie, tłumiące i tak już cichy pomruk głosów, gdy jego aparat wzmacniał dźwięk każdego podkręcającego obroty silnika i brzęk każdej rury. Przypuszczał, że będzie musiał go wyłączyć. Trudno mu mówić

bez aparatu, a jeszcze trudniej czytać z ruchu warg.

– Jasne – odparł.

– Świetnie. Znalazłeś już swój telefon?

– Nie.

– Jezu. Nie możesz poszukać go przez GPS czy coś w tym rodzaju?

– Nie uruchomiłem tej usługi. Pamiętasz, jak kiedyś ucieliśmy sobie małą pogawędkę na temat cyberbezpieczeństwa?

Mógł pewnie namierzyć swoją komórkę bez GPS: w tylnej kieszeni dzinsów, które pewniegniły już na wysypisku śmieci.

– Kurwa. No dobrze, zanim go znajdziesz, załatw sobie telefon na kartę. Nie chcę, żebyś się pałętał bez jakiegokolwiek środka łączności.

Rozrzuciła skrawki serwetek na stoliku i postukała w niego palcem. Jej dłoń nieznacznie drżała.

W jego głowie zakiełkowała niepokojąca myśl. Czy naprawdę zamierza spędzić dzień na rozmowach z dawnymi kolegami, czy też planuje kolejną sesję alkoholową?

– Frankie.

– Tak?

– Widziałem butelkę.

Na jej szyi wykwitł rumieniec.

– Tylko naparstek. Nie zdarzy się więcej.

– Nie zdarzyło się od dawna.

– Właśnie. – Spojrzała na zegarek i wstała. – Do zobaczenia w biurze, około szóstej. Może od razu tam pojedziesz zamiast do magazynu? Mógłbyś odwalić trochę papierkowej roboty.

Zesztywniał.

– Dlaczego?

– W magazynie jest cholernie głośno. Mnóstwo nowych ludzi jak na ciebie –

osiemnaścioro, nie licząc sprzątaczy.

– Uważasz, że nie nadają się do tej roboty?

– Mówię tylko, że twoje umiejętności przydadzą się gdzie indziej.

Umiejętności. Rozluźnił szczęki.

– Jesteś niezadowolona z mojej pracy?

Zapięła kurtkę, nie spieszyła się z guzikiem.

– Frankie? Masz problem z jakością mojej roboty? Z moimi umiejętnościami?

Spojrzenie jej zaczerwienionych oczu napotkało jego wzrok.

– Nie, Caleb, idzie ci świetnie.

Patrzył, jak się oddala, w środku czuł pustkę. Idzie ci świetnie. Łyknął zimnej kawy, żeby wypłukać smak goryczy. Osiemnaście osób. Jeśli ruszy od razu, upora się ze wszystkimi jeszcze dzisiaj. Odsunął krzesło i poczuł, że uderzyło w coś twardego. Kolejny pieprzony wózek.

Mała kobieta z monstrualnymi dzieciakami. Popatrzyła na niego z gniewną miną.

– ...z panem dzieje, u diabła?



Wrócił do miasta przed piątą. Zapłacił za taksówkę i stanął na chodniku; miał wrażenie, że na jego czole zaciska się żelazna obręcz. Osiemnaście rozmów, a potwierdziło się tylko to, że w magazynach panuje hałas, poza tym zyskał szczegółowe wskazówki co do tego, że może się pieprzyć. Nie ulegało wątpliwości, że dochodzi tam do podkradania towaru, ale nikt nie pasował do obrazu geniusza zbrodni, nikt też nawet nie mrugnął na dźwięk nazwiska Scott.

Popatrzył na zaciemnione okna biura. Godzina do spotkania z Frankie. Sześćdziesiąt minut ciszy, może ze dwa piwa. Albo, biorąc pod uwagę, że gównem osiągnął przez cały dzień, może przejść dwie przecznice dzielące go od Lonsdale Street i złapać szefa City Sentry przed końcem pracy.

„Jeśli to, w czym jesteś najlepszy, nie jest dość dobre, wysił się jeszcze bardziej”.

Ojcowski głos. Niskie dudnienie wciąż w jego głowie, nawet po tylu latach. Jedno z niewielu słuchowych wspomnień wraz z całymi fragmentami etiud Chopina. Kurewsko dziwny... ten ludzki umysł.

Ruszył pod górę, w stronę Lonsdale Street.



Recepcja firmy wyłożona była boazerią z tworzywa imitującego drewno i nylonowym dywanem, ale jedno spojrzenie na znajdujące się w głębi i pozbawione ścianek działowych biuro pozwalało dostrzec nowoczesny sprzęt komputerowy. W pomieszczeniu nie było nikogo z wyjątkiem młodej sekretarki o metalicznorudych włosach i budzących podziw paznokciach. Jak można było wyczytać z jej plakietki w kształcie gwiazdy, miała na imię Elle. Oferowała mu wszelką pomoc.

– Sean? – spytała w odpowiedzi na jego prośbę o spotkanie z szefem. – Tak, wciąż tu jest, proszę poczekać.

Zadzwoiła, machając na Caleba nieznacznie, kiedy dostrzegła, że patrzy na jej paznokcie.

– Podobają się panu? – Wykręciła palce, pokazując tipsy.

– Są wspaniałe.

– Zrobiła mi je przyjaciółka, za darmo. Inaczej kosztowałyby krocie.

Oparł się biodrem o biurko.

– Użyteczna ta przyjaciółka.

– Prawda? Jest manikiurzystką w salonie fryzjerskim. Byłam tam na stażu.

– Jest pani fryzjerką?

– Nie, to było nudne. – Przewróciła wymownie mocno pomalowanymi oczami. – Myłam tylko włosy i zamiatałam podłogę.

– Tu się pani bardziej podoba?

– Jest trochę za spokojnie, ale Sean mówi, że jak dłużej popracuję, to będę mogła zajmować się też innymi sprawami. – Postukała paznokciem w biurko. – Pański akcent... mogę spytać? Jest pan Duńczykiem czy coś w tym rodzaju?

Tak się zdarzało, kiedy był zmęczony. Wszystkie godziny pracy nad wymową z terapeutą na nic. Jego brat nazywał to wacianym głosem.

– Zgadła pani – oznajmił.

– Mama mojego chłopaka stamtąd pochodzi, ale ma wyraźniejszy akcent. Pewnie mieszka pan tu od dłuższego czasu.

– Tak, od dawna.

Od chwili, gdy zachorował na zapalenie opon mózgowych w wieku pięciu lat. Bardzo spostrzegawcza młoda kobieta z tej puszystej i wymalowanej Elle. Zdecydowanie zasługująca na to, by jeszcze z nią pogadać.

Posłała olśniewający uśmiech komuś stojącemu za jego plecami.

– Sean, pan Caleb Zelic z Trust Works do ciebie.

Sean Fleming był po czterdziestce i odznaczał się wysportowaną sylwetką, której poświęcał sporo czasu w siłowni. Jego skóra na tle białej koszuli miała pomarańczowy odcień. Włosy zaczesał do przodu, by ukryć początki łysiny. Mrugnął do Elle i chwycił dłoń Caleba żelaznym uściskiem.

– Caleb, mmmm mmmmm? – Spomiędzy jego sztywnych warg wypłynął cienki strumyk dźwięków.

Obręcz na czole Caleba zacisnęła się jeszcze bardziej. Cholera, usta jak szczelina w skrzynce na listy.

– Chodzi o kilka dodatkowych pytań dotyczących włamań do magazynu Altony, Sean.

Szef zerknął na Elle i skrzyżował ręce na piersi, wsuwając przy tym dłonie pod pachy, by wyeksponować bicepsy.

– Mmmm skończyliśmy z tym?

Twardy skurwiel. Przec do przodu czy się cofnąć? Twardy skurwiel, który popisuje

się przed młodą i ładną widownią? Lepiej się cofnąć.

Uniósł dłonie.

– Tak, przepraszam, przełożeni nas trochę cisną. Jak to w firmach ubezpieczeniowych. Nie lubią rozstawać się z pieniędzmi.

– Mmm mmmmm, Frankie mmmm.

Poczuł tępe pulsowanie w lewym oku.

– Przepraszam, nie zrozumiałem do końca.

– Frankie Reynolds powiedziała mmm mmmm okej.

Chryste. Skinął głową, podrapał się po niej i podkręcił głośność aparatu. Słowa Seana nie staną się wyraźniejsze, ale przynajmniej je usłyszy. Szef patrzył na jego ucho, marszcząc nieznacznie czoło. Bystrzak: niewielu ludzi dostrzegłoby ten ruch, a tylko niektórzy zauważyliby blady kawałek plastiku we włosach. Przygotował się na zwyczajową nerwową reakcję, Sean jednak rozluźnił ramiona i skrzywił usta w nieuchwytnym uśmiechu. Wyrażna ulga. Co znaczyło, że ma coś do ukrycia.

Caleb poczuł nagle, że nie jest już zmęczony.

– Kilka szybkich pytań, Sean.

– Dobra. Jasne.

– Czy ktoś w City Sentry zna kod do alarmu zamontowanego w magazynie?

– Nie.

– I strażnicy mają klucze tylko do bramy wjazdowej?

Sean skupił uwagę na Elle.

– Mmmm mmm.

Zrób to. Zaciśnij zęby i graj dalej.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

Znowu pełen zrozumienia uśmiech.

– Tak, tylko klucze do bramy.

– Ale nie do samego magazynu?

– Nie.

Sean ponownie skierował wzrok na Elle.

– Co możesz mi powiedzieć o Scotcie?

Znowu skupił na sobie uwagę szefa.

– Co?

– Scott. Co możesz mi o nim powiedzieć?

Swobodny uśmiech, otwarte dłonie.

– Nie znam żadnego Scotta.

– Och, przepraszam, wydawało mi się, że powiedzieli... – Wyjął swój notatnik i odszukał starą listę zakupów. – O, mam... Wszyscy powiedzieli: „Spytaj Seana Fleminga z City Sentry o Scotta”.

– Przykro mi, Caleb, nie znam żadnego Scotta.

Szef zaczął wreszcie mówić wyraźnie.

– Przypuszczamy, że to jego gang obrabował magazyn.

– Pierwsze słyszę. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, muszę wracać do pracy.

Już się odwracał.

– Ile nieruchomości twoich klientów Scott załatwił?

Sean odwrócił się ku niemu. Zamiast protekcyjnego uśmiechu na jego twarzy pojawiło się to samo spojrzenie wężowych oczu, jakie widział u dzieciaków, które osaczały go na placu zabaw. Chłopcy napędzani strachem i testosteronem. I zjadłym pragnieniem niszczenia.

– Nie działa, kolego? – Wskazał brodą ucho Caleba. – Powiedziałem, że nie znam żadnego Scotta.

Twardy skurwiel: cofnąć się.

Caleb uniósł dłonie.

– Jasne, jasne. Ale gość taki jak ty, dobrze zorientowany, wie, co się dzieje

w biznesie. Czy któryś z twoich konkurentów na rynku miał do czynienia z tym gangiem?

Sean zbliżył się za bardzo. Woń potu mieszała się z zapachem dezodorantu. Elle podniosła dłoń do ust i zaczęła obgryzać paznokcie kciuka.

– Wciąż masz problemy ze słuchem? – Głos Seana wzniósł się na bolesny poziom. – A teraz?!

Cofnąć się.

– Daj mi tylko jakąś wskazówkę, a zniknę z...

– Nie znam żadnego Scotta. – Szef przy każdej sylabie dźgał palcem w pierś Caleba. Miał ochotę chwycić ten palec i wepchnąć go Seanowi w tyłek.

Cofnąć się.

– Rozumiesz?

– Rozumiem, że cię dymają, Sean. Sądząc po twojej reakcji, powiedziałbym, że twoich klientów naciągnięto wiele razy. A ty na to pozwoliłeś. Jak cię zastraszył? Wyzywał cię? Naśmiewał się z twojego placka łysiny?

Sean zakołysał się na piętach i zacisnął pięści.

Caleb spiął się przed ciosem. Dostrzegł kątem oka, jak poruszają się usta Elle. Pojedyncze słowo. Kłykcie Seana zbieleły, po chwili jednak rozluźnił się i odetchnął z rozmyślną powolnością.

– Przykro mi, że nie mogłem ci pomóc, Caleb. – Zbliżył się do drzwi i pchnął je. – Do widzenia.

Wychodząc, Caleb dostrzegł palce Elle uniesione w geście pożegnania.

5.

Po drodze do biura kupił tani telefon, a potem próbował go uruchomić. Czytanie instrukcji nie miało sensu – była napisana w języku, który przypominał angielski, ale nie do końca nim był. Zanim dotarł na miejsce, udało mu się przesłać Frankie swój nowy numer, ale nie miał pewności, czy zdołałby powtórzyć tę operację.

Biuro świeciło pustkami, panowała w nim wspaniała cisza. Obszedł swoje biurko, kierując się ku temu, które zajmowała Frankie, i przy okazji walnął łokciem o szafkę na dokumenty. Wynajęli pokoje w pozbawionym charakteru wieżowcu, żeby przyciągać korporacyjnych klientów, ale leasing został skalkulowany tak idiotycznie, że uwzględniono szkło i chrom, ale nie powierzchnię.

Usadowił się przy biurku Frankie, śmiercionośnym siedlisku różnych organizmów żywych, zsunął gnijącego banana z podkładki na myszkę, żeby przeczytać to, co ustaliła w sprawie City Sentry. Całe strony suchych i szczegółowych informacji na temat zdolności kredytowych firmy, pracowników i reputacji. Jakim cudem taki flejtuch mógł odwalić tak skrupulatną robotę? Była to jedna z największych tajemnic świata. Według tego, co udało jej się ustalić, Sean pracował w City Sentry od dwunastu lat. Zaczynał jako chłopak na posyłki i przetrwał ostatnią zmianę właściciela, choć zwolniono jedną trzecią personelu. A więc facet jest dupkiem, ale uchodzi za dobrego w swojej robocie. Co nasuwa dwa ważne pytania: Co wie o Scotcie? I dlaczego to ukrywa?

Caleb rozsiadł się wygodnie. Co może zamknąć usta człowiekowi takiemu jak Sean? Sztuczna opalenizna i żałosna fryzura – może groźba poniżenia? Tarapaty finansowe, kochanek gej, paskudna sekstaśma? Nie. Wszystko, co dotyczyło tej sprawy, wydawało

się mroczne. Widać to było po drżących dłoniach Arniego i w bezwzględym wyrazie twarzy Seana. Przesiało przez płytki w kuchni Gary’ego i położyło się cieniem na życiu jego bliskich. A jak było w przypadku Seana?

Wszedł na jego stronę na Facebooku: pozytywne oceny zawodowe, zdjęcie, na którym obejmuje dziecko. Chłopca mniej więcej sześciolatniego o podobnej krępej budowie ciała i prostych kasztanowych włosach jak ojciec. Caleb skupił uwagę na twarzy mężczyzny. Uśmiechał się do swojego syna, nie był to ten grymas „jestem supersexy”, tylko coś naturalnego i pełnego emocji. Koszmar pracownika ochrony: „Rób to, czego chcę, albo skrzywdzę tych, których kochasz”. Półtoraroczna separacja, dokumenty rozwodowe w szufladzie i ten konkretny horror nawiedzający go w snach. Zamknął stronę i podrapał się po twarzy: wiedział, że nic więcej z Seana nie wyciągną.

Dźwigał na barkach ogromne brzemie. Był taki zmęczony. Potrzebował Frankie, żeby z nią wszystko omówić, potem chciał pojechać do domu i uderzyć w kimono. Spojrzał na zegarek: 19.30. Spóźniała się półtorej godziny, ale nie zadała sobie trudu, żeby przesłać mu wiadomość i wyjaśnić dlaczego. Pieprzyć to, ma ją jeszcze niańczyć? Pilnować, żeby nie piła, łykała witaminy, nie oberwała? Oberwała... Przeszył go lodowaty dreszcz.

Zerwał się na równe nogi.



W domu Frankie paliło się światło, ale żadnej reakcji na pukanie. Żadnych oznak mogących wzbudzić niepokój – drzwi były zamknięte, zamek nie nosił śladów zniszczenia. Obszedł pospiesznie budynek, wolnostojący dom z czerwonej cegły w stylu edwardiańskim; Frankie kupiła go w czasach, kiedy podobne nieruchomości nabywało się za bezcen. Obłazące z farby parapety znajdowały się na wysokości jego wzroku. Zamknięte wszystkie okna, opuszczone rolety. Tuż przy krawędziach sączyły się strużki światła, ale wewnątrz nie poruszały się żadne cienie. Na niewielkim podwórzu stały dwie puste donice i wisiał sznur do bielizny, na którym nic się nie suszyło. Kiedy zbliżył się do tylnych drzwi, automatycznie włączyło się światło. Niestety były zamknięte. Wrócił do frontowych i ponownie spróbował je otworzyć.

Czy naruszy zasady przyjaźni, jeśli użyje klucza, który kiedyś mu dała? Postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy.

Nieznaczone drżenie ręki, kiedy wchodził do środka. Powietrze było zimne, jakby nikt nim nie oddychał.

– Frankie. Wszystko w porządku?

Sypialnie po obu stronach; skłębione ubrania i pościel. Dalej, obok łazienki, w głąb korytarza. Żywego ducha w gabinecie i w kuchni, tak samo w salonie. Beładne stosy papierów i książek na każdej możliwej powierzchni, ciuchy na krzesłach. Ani śladu leżącej bez życia przyjaciółki, nigdzie śladów krwi na podłodze. Na stoliku do kawy pusta butelka po johnniem walkerze, odwrócona do góry dnem szklanka. Chryste. Czeka go koszmar, bo Frankie znów wpadła w pieprzony ciąg.

Usiadł na kanapie. Kiedy już się upewnił, że nie będzie rzygać, przesunął się, żeby wyjąć spod siebie książkę, na której siedział. Nie książkę; album z fotografiami. Był otwarty na stronie ze zdjęciami ślubnymi: oto uśmiecha się do niego znacznie młodsza Frankie. Trzyma bukiet i wygląda elegancko w kremowej sukience i z tymi blond włosami o miodowym odcieniu opadającymi na ramiona. Obok niej stoi chłopak z wyszczerzonymi zębami; rozpoznał w nim jej byłego. Otacza ich niewielka grupka ludzi, między nimi nastoletnia dziewczyna o takich samych jasnych włosach jak Frankie i takim samym krzywym uśmiechu. Siostra. Jakim cudem Frankie nigdy o niej nie wspomniała? I był to bez wątpienia jej wielki błąd, bo wiedział, że będzie musiał sprawdzić, dlaczego po pięciu latach wspólnej pracy nie zna tak ważnego faktu z jej życia.

Więc pije, oglądając stare ślubne fotografie. Uczucie irytującego rozrzewnienia, które sam znał aż za dobrze, ale nigdy nie posądziłby o coś takiego Frankie. Co ją tak poruszyło? I kiedy? Jeśli chodzi o utrzymanie porządku jest jak czternastolatka – nie odkłada niczego na miejsce, rzuca wszystko byle gdzie, nie pierze niczego, co może poczekać – ale dziś w jej domu panował bałagan przekraczający nawet jej możliwości. Po pokoju walały się brudne rzeczy co najmniej z dwóch ostatnich tygodni i jeszcze starsze gazety. Czy mógł przeoczyć oznaki jej pijaństwa? Nie zauważyć przekrwionego oczu czy zalewających ją fal potu? Nie.

Ból można jednak przytępić także w inny sposób.

Zmagał się przez chwilę ze sobą, potem poszedł do łazienki i przetrząsnął szafkę. Przesunął dłonią po zakurzonej półce. Nie pierwszy raz robił coś takiego; na imprezach potrafił wywęszyć wszystko. Nic na toaletce i półkach, nic w sypialni. Gdzie jego brat trzymał zwykle towar? Mieszkanie w pojedynkę, nie trzeba niczego chować... Na lodówce. W kuchni panował rozgardiasz, ale było względnie czysto. Żadnych buteleczek z tabletkami na chłodziarce czy ławach przy stole. Nic z wyjątkiem pojedynczego talerza i łyżki na suszarce. Ogarnął go nagły wstyd, wywołany tym węszeniem. Biedna cholerna Frankie: tak bardzo się stara, a on wciąż w nią wątpi. Nic dziwnego, że zrugła go tego ranka; nasłuchiwała się przez te lata od niezliczonych zadufanych w sobie palantów, którzy bez przerwy ją oceniali. Niektórzy z nich widnieją pewnie w tym jej albumie. A jeden z nich przebywa tu w tej chwili. Czas się zbierać.

I wtedy to dostrzegł. Wyrazistą czerwień na ścianie.

Krwawy odcisk dłoni.

6.

Prawa noga Caleba podrygiwała w takt migoczącego światła w pokoju przesłuchań. Panowała w nim dziwna duchota. Szare ściany zdawały się pochylać ku podłodze. Tedesco wyszedł już dawno, ponad godzinę temu. Wróżyło to dobrze czy może źle? Pojedynczy odcisk dłoni, żadnego śladu tętniczego krwotoku czy śladu walki. Może Frankie uległa jakiemuś wypadkowi – brak koordynacji wywołany przez zbyt płynną dietę. Jest pewnie na oddziale urazowym, może właśnie zszywano jej dłoń. Przypuszczał, że pojawi się za kilka godzin, obandażowana i naburmuszona, i walnie go w głowę za tę całą panikę. Błagam, Boże. Nie może stracić także jej.

Drgnął, kiedy drzwi się otworzyły. Do pokoju wkroczył detektyw Tedesco. Jego chód był jakby inny niż zazwyczaj, barki i szyja zeszywniałe. Za nim wszedł rudowłosy mężczyzna po czterdziestce. Błady i piegowaty, o sprężystym kroku. Był w komendzie zeszłej nocy; teraz oparł się o ścianę, z dala od ogólnego gwaru. Młodszy policjanci zerkali na niego nerwowo. To zapewne budzący respekt starszy funkcjonariusz. I obserwator: jego zielone oczy wpatrywały się w Caleba, kiedy wchodził do pokoju przesłuchań i kilka godzin później, kiedy go opuszczał.

– Będzie nam towarzyszył detektyw sierżant McFarlane – oświadczył Tedesco, nie patrząc na nowo przybyłego. Usiadł i odsunął się nieznacznie razem z krzesłem.

Cholera, jakaś polityka wewnętrzna. Czuł, że wszystko będzie przebiegało wolniej.

– Możemy coś panu podać? – spytał McFarlane, siadając na krześle. Miał pełne wargi, niczym wyrośnięty cherubinek. – Woda, kawa?

– Nie. Dowiedzieliście się czegoś o Frankie?

– Nie jest panu za zimno?

– Nie. Zadzwoniliście na miejscowy posterunek policji? Może tam pojechała.

– Wydaje mi się jednak, że jest panu zimno – powiedział McFarlane. – Mam podkręcić ogrzewanie?

Caleb popatrzył na Tedesco, ale napotkał tylko obojętne spojrzenie szarych oczu. Stąd żadnej pomocy; musi sam poradzić sobie z przeciwnikiem w tej dziwnej grze o przewagę.

– Nie trzeba.

– Nadaża pan za mną? Rozumie pan, co mówię?

– Tak.

– Pytam, ponieważ zapoznałem się z nagraniem przesłuchania z wczorajszego wieczoru i wydaje mi się, że nie wszystko pan wychwytał. Proszę mnie źle nie zrozumieć, poszło panu świetnie. Naprawdę. Ale może powinniśmy poprosić tłumacza, aby mieć pewność, że się pan nie pogubi? – Uniósł blade brwi.

Była to technika przesłuchania trzy Z: zdekoncentrować, zbić z tropu, zatrwożyć. Sam się do niej uciekał podczas trudnych rozmów. Musi się skupić na ważnej kwestii: czy McFarlane wykorzystuje właśnie tę metodę w stosunku do niego?

– Nie trzeba.

– Dobrze, dobrze. – McFarlane wyjął oprawiony notatnik, przez jakiś czas szukał właściwej strony, potem wygładzał ją przez chwilę. Małe dłonie o zadbanych kwadratowych paznokciach. – Co dokładnie powiedział panu starszy posterunkowy Marsden o Scotcie?

– Co z Frankie? Próbowaliście ją odszukać?

– Skupmy się przez chwilę na Scotcie, dobrze? Co Gary panu o nim powiedział?

– To, co było w esemesie – że Scott chce go dorwać.

– Daj spokój, Caleb. Nie masz nic przeciwko temu, żebym się tak do ciebie zwracał? Twój kumpel przesyła ci wiadomość, pisze, że się boi. Nie wskakujesz od razu do samochodu i nie pędzisz przez pół miasta, tylko najpierw do niego dzwonisz.

Więc co powiedział? – Dłoń z długopisem zastygła nad kartką.

– Nie mogę... – Czuł, jak pali go kark. – Proszę posłuchać, przerabiałem to wczoraj wieczorem z detektywem Tedesco.

– Co dokładnie przerabiałeś?

Żar powędrował w górę karku i rozpełzł się po skórze czaszki.

– Nie mogę korzystać z telefonu.

McFarlane skinął głową.

– Wiesz, Caleb, moja babka jest głucha jak pień. Ale bystra, chce wiedzieć, co słyhać u wszystkich dzieci. Siedzenie z nią w restauracji to ciekawe doświadczenie, wierz mi. Kończy się na tym, że wrzeszczymy do niej jak opętani, informując ją o swoich prywatnych sprawach. I wiesz co? Radzi sobie świetnie z telefonem. Po prostu włącza aparat słuchowy i to wszystko.

– Cieszę się.

Detektyw się uśmiechnął.

– Daj spokój, Caleb, dałeś radę zadzwonić wczoraj na numer alarmowy. Posługujesz się telefonem.

– Mogę mówić, ale nie słyszę.

– Ktoś zadzwonił do starszego posterunkowego Marsdena z budki telefonicznej pięć minut po tym, jak przesłał ci esemesa. Chcesz powiedzieć, że to nie byłeś ty?

– Tak.

– Zbieg okoliczności, nie sądzisz?

– Niezupełnie.

McFarlane wyduł grube wargi jak rozczarowany ojciec.

– W porządku, Caleb, załóżmy, że to nie byłeś ty. Ale natychmiast po tym telefonie posterunkowy Marsden zadzwonił jeszcze dwa razy. Do Resurrection Bay. Wiesz, o kogo chodziło?

– Nie.

– Mówię o twoim rodzinnym mieście, Caleb. No dalej, spróbuj zgadnąć.

– Nie wiem... Do swojej mamy? A zresztą, dlaczego to takie istotne? Nikt w Bay nie ma związku z jego śmiercią.

– W porządku – powtórzył McFarlane, poruszając gwałtownie głową. – Nieźle. Świetnie mówisz, Caleb. Trudno się nawet zorientować, że jesteś niepełnosprawny.

Byłoby głupotą, wielką głupotą walnąć gliniarza na posterunku policji.

– Dzięki. Muszę jeszcze popracować nad spółgłoskami. – Zwrócił się do Tedesco i dostrzegł napięcie w oczach policjanta. Może uśmiech, a może reakcja na mrugające światło. – Czy w ogóle szukacie Frankie?

– Tak. – Tedesco urwał, kiedy McFarlane odwrócił głowę w jego stronę. – Nie znaleziono nikogo, kto odpowiadałby jej rysopisowi. Żywego ani martwego.

McFarlane uniósł dłoń do ust, żeby je zasłonić, i powiedział coś.

Oczy Tedesco przybrały obojętny wyraz.

– Okej – odparł, ledwie poruszając ustami.

Niezwykłe subtelna gra w dobrego i złego glinę? Bardziej prawdopodobne, że to różnica zdań między nimi. Może istnieje jakiś sposób, by to wykorzystać i przeciągnąć Tedesco na swoją stronę.

McFarlane znowu skupił na nim uwagę.

– No dobrze, opowiedz mi o wincewaku.

– O czym?

– Wincewaku. Opowiedz mi o nim.

A więc kto, a nie co. Wciąż jednak nie potrafił zrozumieć. Pieprzyć to.

– Może pan to napisać?

McFarlane wygładził kartkę w notatniku i nakreślił starannie każdą literę – wielkie litery, jak u dziecka. Podkreślił oba słowa i podsunął mu notes. Vince Kovac. Znał go, ale nie myślał o nim od lat. Wysoki facet, blond włosy i rzęsy tak jasne, że prawie niewidoczne. Osobowość niezbyt ciekawa. Żadnego powodu, by wymieniać to nazwisko na komendzie policji w Melbourne.

– To do niego dzwonił Gary? – zwrócił się do McFarlane’a.

– Co możesz nam powiedzieć o panu Kovacu?

– Niewiele. Rok, może dwa lata młodszy ode mnie, spokojny facet. Tak naprawdę nigdy nie miałem z nim do czynienia.

– Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałeś?

– Nie wiem, może dziesięć lat temu. A może nawet dawniej.

– I twoje billingi to potwierdzą?

– Tak.

– A twój brat?

Brat? Chyba odczytał błędnie ruch warg policjanta.

– Kto?

– Twój brat, Caleb. Czy zna pana Kovaca?

Obaj funkcjonariusze zdradzali głębokie skupienie – doszli do ważnego dla nich momentu.

– Chyba tak. Są mniej więcej w tym samym wieku i obaj chodzili do tej samej szkoły średniej. Dlaczego pytacie o Antona?

McFarlane obrzucił go obojętnym spojrzeniem. Caleb przeczekał to, licząc piegi gliniarza. Ogromne szkody dla skóry wyrządzone przez słońce, jak na człowieka w tym wieku. Gaeliccy przodkowie nie wyemigrowali do miejsca o najłagodniejszym klimacie. Kiedy dotarł wzrokiem do lewego ucha, McFarlane pękł.

– Starszy posterunkowy Marsden był dostatecznie przerażony, żeby zadzwonić do żony i powiedzieć, że muszą uciekać. Pakował torby, wsadzał do walizek ubranka dzieci. Pluszowe zabawki, piżamki z serduszkami. Ale w tym wszystkim znalazł czas, żeby uciąć sobie pogawędkę z twoim bratem. Półtorej minuty to bardzo długo, kiedy ktoś się cholernie boi. Dlaczego to zrobił?

– A dlaczego nie spytacie o to Anta?

Uśmiech McFarlane’a przeczył wszystkiemu, co można było dostrzec na jego twarzy.

– Bo pytam ciebie.

– Są przyjaciółmi, domyślam się, że dzwoniли do siebie.

Tyle że Anton przyjaźnił się z Garym tak jak ze wszystkimi: z wdziękiem i bez zobowiązań, bez głębszego zaangażowania. Nikt nie pomyślałby o nim, będąc w krytycznej sytuacji.

– Anton... Luka... Zelic. – Każda sylaba wypadła z mięsistych ust McFarlane'a niczym dojrzała śliwka. – Posiadanie narkotyków, włamanie, kradzieże. Gliniarze w Resurrection Bay mają dużo do powiedzenia na jego temat. A tu mamy jego wspaniałego brata, najlepszego kumpla policjanta, którego śmierć wygląda na egzekucję. – Tym razem uśmiechnął się szczerze. – Nie pachnie to zbyt ładnie, Caleb. Powiem więcej, po naszej stronie stołu śmierdzi to paskudnie.

Caleb znowu poczuł drżenie nogi. Może powinien zadzwonić do adwokata. Może należało zrobić to dwie godziny wcześniej.

– Jak myślisz, co znajdziemy, kiedy przejrzymy rozliczenia finansowe Marsdena?

– Pańskie rozliczenia finansowe? – dorzucił Tedesco.

– Forsa z narkotyków?

– Prostyucja...

– ...pranie brudnych pieniędzy.

– Szantaż...

Rzucali kolejne słowa; nie sposób było za nimi nadążyć.

Caleb powędrował spojrzeniem ku ścianie.

– Chciałbym porozmawiać z adwokatem.

McFarlane nachylił się nad stołem i pstryknął mu palcami tuż przed nosem. Jego oddech pachniał kawą i miętowym płynem do płukania ust.

– Skup się, Caleb, bo adwokat ci teraz nie pomoże. Wiesz, co zrobili z twoim kumplem, zanim go zabili? Połamali mu palce. Wszystkie po kolei.

Caleb wstrzymał oddech.

– Co?

– Potem go rozpruli. Jedenaście pojedynczych ran. Byłem dziś po południu na sekcji zwłok. Istna masakra. Leżał wypatroszony jak tusza.

– Niech pan przestanie. Niech pan natychmiast przestanie.

– Módl się, żeby ten sam facet nie dorwał Frankie Reynolds, bo ktoś, kto pociął twojego przyjaciela, posługuje się nożem bardzo sprawnie.

Caleb zamknął oczy, ale te straszne obrazy wciąż przesuwały się pod powiekami. Noga drżała mu coraz gwałtowniej.

Grube palce McFarlane'a wcisnęły mu wizytówkę w dłoń.

– Pomyśl w wolnej chwili o ludziach, których wkurzyłeś, Caleb. Zadzwoń do nas, kiedy sobie uświadomisz, jak cholernie powinienes się bać.

Caleb odsunął się razem z krzesłem, wstał i wyszedł. Miał wrażenie, że podłoga chwieje się pod jego stopami.

7.

Złapał taksówkę i wrócił do domu. Zdołał jakoś zapłacić kierowcy i pokonać trzy kondygnacje schodów.

„...rozpruli go...”

Światło na klatce schodowej zgasło, kiedy dotarł do drzwi. Powoli. Zazwyczaj potrafi po ciemku je otworzyć, choć zabiera mu to więcej czasu. Zapalił światło, ale musiał spróbować kilka razy, zanim trafił kluczem do zamka.

„Leżał wypatroszony jak tusza”.

Wszedł do środka, rzucił portfel i klucze na stolik w holu. Przystanął. W mieszkaniu było ciemno, ale nozdrzami wyczuł coś obcego: obrzydliwy zapach petów i taniego dezodorantu.

Ktoś tu jest.

Odwrócił się, chcąc uciec. Chwyciły go czyjeś ręce, wciągając z powrotem. Ramię miażdżyło mu krtań. Powietrza. Łaknął powietrza. Za jego plecami twarde mięśnie, drugi człowiek z przodu, światło padające z klatki schodowej rzucało cienie na jego chudą twarz. Szarą. Poruszające się szybko usta. Wrzeszczące. Pytania? Rozkazy? Tylko hałas... zbyt chaotyczny, by dało się go zrozumieć. Ramię na szyi zacisnęło się jeszcze mocniej. Szarpał je bezskutecznie: krew pulsująca w jego czaszce. Jeszcze jeden ucisk i napór zelżał. Zaczerpnął powietrza przez zaciśnięte zęby.

Szary wypluł na niego jeszcze więcej słów.

– Nie... rozumiem...

Mężczyzna uniósł rękę, błysk w jego dłoni – to nóż. Chryste. Dorwij broń, coś

ostrego. Klucze na stoliku w przedpokoju. Wyciągnął rękę przed siebie i zaczął macać na ślepo. Kurwa, gdzie one są? Opuszkami palców dotknął czegoś zimnego i gładkiego – pojemnik z farbą, który podarowała mu Frankie. Dziesięć litrów, może zrobi swoje. Piekący ból, to Szary go walnął. Krew w ustach. Następny cios. Teraz. Osunął się w stronę stolika, poczuł, jak ciężar przeciwnika zmienia położenie. No, złap puszkę. Chwycił ją i uniósł nad głowę. Powiew śmierzącego papierosami oddechu, krtań uwolniona. Przykucnął, wpakował łokieć w pachwinę mężczyzny i rzucił się w bok, kiedy tamten się zatoczył. Kurwa, nie w tę stronę, powinien wiać ku drzwiom. Wpadł do salonu, kierował się w stronę łazienki. Tam gdzie brzytwa, nożyczki, zamek w drzwiach.

Światło na klatce schodowej zgasło.

Nieprzenikniona ciemność, odwieczny powód dziecięcych koszmarów. Zimna, dławiąca panika. Zatoczył się do tyłu i upadł na brzeg kanapy. Powiew powietrza, to Szary wziął zamach. Uciekać, pełznąć. Za kanapę. Jego pierś poruszała się ciężko. Jak głośno oddycha? Czy Szary go słyszy? Czy skrada się za nim, podążając za odgłosem sapania? Przywarł do podłogi i wstrzymał oddech. Na policzku poczuł vibracje głuchego stukotu, potem znowu. Kroki, ale gdzie? Coraz bliżej? Coraz dalej? Nie ruszaj się, wyczuwaj. Kolejny stukot, teraz słabszy; facet musi zmierzać w stronę sypialni. Za mało ruchu jak na dwóch ludzi; ten, którego uderzył, wciąż pewnie leży. Co znajduje się w pokoju? Papier, krzesła, stolik do kawy, książki. Stół. Ze szklanym blatem. Solidny mebel, ale dostatecznie lekki, by mógł go podnieść.

Dźwignął się na nogi i wymacał kontakt. Nacisnął. Pokój zalało oślepiające światło. Przy drzwiach wejściowych zgięty wpół mężczyzna, z sypialni wybiegający Szary. Byle dotrzeć do stołu – cięższy, niż mu się wydawało. Szary już prawie go ma. Caleb podniósł stół i cisnął nim. Pękające szkło, wymachujące w powietrzu kończyny. Szary leży powalony. Caleb rzucił się do drzwi, zatrzymał się gwałtownie; facet, którego walnął, blokował drogę ucieczki, trzymając się za krocze. Szeroka twarz ze spłaszczonym nosem, jak u boksera. Krew ściekająca z czoła, nieco oszołomiony. Nóż sprężynowy na podłodze obok jego kolana. Wykluczone, by zdołał przebiec, zanim Bokser sięgnie po ostrze. Jakiś ruch dostrzeżony kątem oka – to Szary już się podnosi.

Kurwa. Zrób coś.

Światło na klatce schodowej: ktoś wchodzi na górę. Narób hałasu, krzycz. Nie mógł jednak sobie przypomnieć, jak się to robi. Spróbował jeszcze raz, coś z siebie wyksztusił. W drzwiach staje młody człowiek z sześciopakiem piwa Victoria Bitter. Szary czmycha do sypialni.

Piwosz patrzy na Boksera, jego usta się poruszają. Jezu, pyta Boksera, czy wszystko w porządku.

– Wezwij policję! – wrzasnął Caleb.

Młody człowiek uniósł gwałtownym ruchem głowę.

– Co?

– Policja. Wezwij policję.

Piwosz cofnął się, ale już sięgał po telefon.

Bokser wciąż nie podnosi noża. Może nie chce popełnić morderstwa na oczach świadka. Może czeka, aż on, Caleb, przysunie się bliżej. Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Rzucił się biegiem. Przez próg, korytarzem, waląc do drzwi sąsiadów. Musi się drzeć. Za mało oddechu, po prostu biegnij. Schodami w dół, po dwa stopnie naraz. Kroki dudniące za jego plecami. Niewątpliwie Szary, Bokser nie zdołałby się jeszcze podnieść. Na ulicę. Potrzebował obecności ludzi, tłumu. Skręcił na rogu w Nicholson Street. Cholera, gdzie się wszyscy podziali? Główna arteria w okolicy pusta.

Pobiegł w kierunku południowym, przyciskając dłoń do boku. Kolka. Ma pieprzoną kolkę. Niewiarygodne. Szybkie spojrzenie za siebie. Żywego ducha. W głąb jakiejś alejki na tyłach. Ślepa uliczka. Kurwa. Wsunął się za rząd kontenerów na śmieci. Czy Szary wciąż go ściga? Skrada się wzdłuż tej alejki z nożem w ręku? Nie wyczuje jego kroków na betonie. Nie będzie wiedział nic, dopóki tamten nie pojawi się tuż przed nim. Niespieszne liczenie do pięćdziesięciu, potem zaryzykował i wyjrzał. Nikogo. Oparł się o mur i odetchnął. Dzięki Bogu, że jako dzieciak nauczył się walczyć nieczysto.

„Uderzaj w nos i nerki – mawiał jego ojciec. – Ale nigdy w genitalia. Nikt cię za to

nie będzie szanował”.

Coś jakby śmiech w jego krtani. A może szloch.

Ten nóż. Ten sam, którym rozpruto Gary’ego – nie. Nic dobrego nie może wyniknąć z takiego myślenia. Ból w boku się nasilał. Przycisnął tam dłoń. Mokra. Jakim cudem? Uniósł palce i przyjrzał im się w przyćmionym świetle. Krew. Przed oczami mignął mu obraz zmasakrowanego ciała Gary’ego. No dobra, pozbieraj wszystko do kupy. Wiedziałyby, gdyby ostrze dokonało poważniejszych spustoszeń. Czyż nie? Cholera. Podciągnął ostrożnie podkoszulek. Szrama, długa i głęboka, biegnąca wzdłuż żeber, ale wydaje się, że wnętrzości znajdują się bezpiecznie na swoim miejscu. Przykucnął i skupiał się przez chwilę na oddechu.

Zimno, mglisty deszcz osiadający kroplami na jego włosach i ubraniu. Powinien wstać i iść na policję. Następna runda pytań, następna runda oskarżeń. Uśmiech McFarlane’a jak cios. Idź do hotelu, zmierz się z tym wszystkim rano. Tyle że jego portfel został w mieszkaniu razem z Szarym i Bokserem. Wszystko spieprzone. Totalnie, kurewsko spieprzone. Dokąd może pójść? Odpowiedź, kiedy już się pojawiła, wydała się uderzająco oczywista: Kat. Wiedział, że Kat mu pomoże bez względu na to, jak bardzo go nienawidzi.

Był tego pewien.

8.

Złapał tramwaj numer 86 do Collingwood, a jego wygląd musiał przyciągać uwagę. Włosy w dzikim nieładzie, obłądny wyraz oczu, splamione krwią ubranie – na szczęście nic, czego pasażerowie o tej późnej godzinie nie widzieliby już wcześniej. Dom Kat stał pośród niewielkiego szeregu rozpadających się z wolna wiktoriańskich budynków przy spokojnej bocznej ulicy. Wyłożona terakotą weranda, pogrążona w głębokich liliowych cieniach, znajdowała się tuż za ceglanym niskim murkiem. Dlaczego Kat nie zainstalowała porządnego oświetlenia? Każdy może się czaić za tym murkiem albo stojącą w kącie palmą w donicy. Jakiś ćpun czy uliczny bandyta. Albo jeszcze gorzej.

Przy drzwiach był dzwonek. Bez wątpienia dzieło Kat. Solidny mosiądz, filigranowy wzór wzdłuż brzegu muszli. Piękny przedmiot. Nic, czym mógłby się poszczycić jakikolwiek z jego domów. Nacisnął i przyłożył dłoń do drzwi. Po chwili wyczuł głuchy odgłos kroków, chód równy, posuwisty.

Zaczekał, aż kroki ucichną, i zawołał:

– Kat, to ja, Caleb.

Sekunda, dwie, trzy, cztery.

Drzwi się otworzyły.

Miała dłuższe włosy. Zebrała je w luźny kok, z którego wymykały się loki, opadając na szyję. Ubrana w czarne džinsy i rdzawoczerwony sweter, była istnym studium odcieni: skóra jak gładka połać ciemnego bursztynu, ślady umbry we włosach, niespodziewany blask błękitnych oczu. Geny jej rdzennych australijskich przodków

Koori wydestylowane do oszałamiającej perfekcji.

Zaschło mu nagle w ustach.

Uniosła dłoń i przez chwilę miał wrażenie, że powie „cześć”, ale ona wycelowała w niego palcem, potem w ziemię, a następnie szybko przesunęła kciukiem po klatce piersiowej.

Dlaczego tu przyszedł? Cholera, nie pomyślał o tym wcześniej.

Wymachiwała rękami, potrafił jednak odczytać słowa z samego wyrazu jej twarzy.

– Nie możesz tu się pojawiać bez uprzedzenia. To nie w porządku, mówię poważnie. Następnym razem prześlij wiadomość.

Już zamykała drzwi.

– Kat, proszę. Potrzebuję... – wydobył z siebie słowa. – Potrzebuję pomocy.

Zawahała się, po czym uchyliła drzwi szerzej. Z przedpokoju padło na niego światło, jak jasne ostrze w ciemności.

Obrzuciła spojrzeniem czerwoną plamę na jego podkoszulku.

– Krwawisz.

– Dwaj faceci... mieli noże.

– Noże? – Postąpiła krok w jego stronę. – Cal.

– Myślę, że ludzie, którzy zabili Gary’ego... Myślę, że dorwali Frankie.

Dreszcze nagle powróciły, nogi ugięły się pod nim niebezpiecznie. Oparł się o ścianę. Dotyk na ramieniu, ciepło dłoni Kat na policzku. Obróciła jego twarz ku sobie.

– Karetka? – wymówiła powoli i wyraźnie. Oczy miała szeroko otwarte.

– Nie. Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę roztrzęsiony.

Wzięła go za rękę, podtrzymując go.

– Wejdz.

Poprowadziła go wzdłuż wyłożonego miodowymi deskami holu do niewielkiego pokoju, który pachniał lawendą i olejem lnianym. Cały tonął w łagodnym blasku

ozdobionych paciorkami lamp, był pełen książek i wielobarwnych chodniczków. W kącie stała jedna z jej rzeźb z drewna i brązu – niemal naturalnej wielkości akt kobiecy.

Jego wzrok spoczął na szkicowniku, który leżał otwarty na fotelu.

– Znowu rysujesz drzewa.

Wysunęła dłoń z jego dłoni.

– Niezupełnie.

Zamknęła szkicownik i usiadła w fotelu, zostawiając mu kanapę z wysokim oparciem. Pluszowe obicie w kolorze burgundzkiej czerwieni było nowe, ale meble kupili razem przy Sydney Road. Ich pierwszy małżeński nabytek. Był śmiesznie wielki, z głębokimi poduszkami i drewnianymi nogami w kształcie lwich łap, ale z radością taszczyli go do każdego z trzech domów, w których kolejno zamieszkiwali. Leniuchowali na nim w weekendy z gazetami i herbatą, rozmawiali, drzemali, znowu rozmawiali.

Patrzyła na niego.

– Co miałeś na myśli... że ktoś dorwał Frankie?

– Nie mogę jej znaleźć.

Opowiedział jej o wszystkim: o sprawie, o niepokojącym przesłuchaniu na policji, Bokserze, Szarym. Ale nic o pogruchotanych palcach Gary'ego, nic o jego wypatroszonym ciele.

– Nie szukają jej? Nawet po tej historii z Garym?

– Nie wiem. Tedesco powiedział, że tak, ale nie podeszli do sprawy szczególnie gorliwie.

– Chcesz, żebym... – Urwała, okazując dziwne jak na nią wahanie. – Chcesz, żebym zadzwoniła w parę miejsc?

Jego odruchowe „nie” pojawiło się, nim zdążył się powstrzymać. Spróbował jeszcze raz.

– Byłoby świetnie, dzięki.

Wyciągnęła książkę telefoniczną i zaczęła od szpitali.

– Podaj też rysopis – powiedział, kiedy literowała nazwisko Frankie.

– Około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu – poinformowała. – Krótkie szare włosy.

– Fioletowe końcówki.

Machnęła na niego zniecierpliwiona.

– Pod sześćdziesiątkę.

– Pięćdziesiąt siedem.

Odwróciła się. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wstał.

– Piła ostatnio. Może uznali ją za alkoholikę. Sprawdź, czy...

Wstała z fotela i wyszła z pomieszczenia.

Kurwa.

Krążył po pokoju, biorąc do ręki na zmianę książki i małe drewniane rzeźby. Mnóstwo bielików – jej totemiczny ptak. Niektóre wykonała sama, ale większość dostała w prezencie. Podniósł dużą kamienną figurkę o zniekształconej głowie i ciężkich skrzydłach. Stwór patrzył na niego groźnie. Nikt z bliskich nie dałby jej czegoś tak brzydkiego. Ani żadna z jej przyjaciółek. Nasunęło mu to bardzo niepokojącą myśl. Postawił posążek za grubą świecą i kontynuował obchód pokoju.

Po siedemnastu niekończących się minutach Kat wróciła z apteczką i kubkiem; odstawiła je, żeby móc pokazywać na palcach.

– Nic. Obdzwoniłam wszystkie szpitale z oddziałami pomocy doraźnej w promieniu dwudziestu kilometrów od jej domu. I wszystkie posterunki policji. Podałam jej rysopis, wiek i powiedziałam, jak się nazywa.

– Czy...

– Podkreśliłam, że może posługiwać się swoim nieprawdziwym nazwiskiem? Tak.

– Okej, okej, dzięki.

Usiadł z powrotem na kanapie. Brak wiadomości oznacza na ogół dobrą wiadomość.

Kat podała mu kubek.

– Słodka herbata, dobra na szok.

Miała herbatę na każdą okazję: Irish Breakfast na początek dnia; Darjeeling na koniec; Earl Grey po leniwym popołudniowym seksie. W dniu, w którym odeszła, parzyła filiżankę za filiżanką Oolonga. Ten zapach wciąż wzbudzał w nim mdłości.

– Dzięki – powiedział. – I za to, że nie walnęłaś mnie telefonem.

– Potrafię się opanować. – Uklęła i otworzyła apteczkę. – Oczyszczymy ci to skaleczenie.

Ciemne kosmyki włosów musnęły jej szyję, kiedy się pochyliła. Pachniała pyłem drewna, woskiem pszczelim i czymś nieokreślonym, charakterystycznym tylko dla niej.

Cofnął się.

– Nic mi nie jest. Przestałem już krwawić.

– Albo ja, albo szpital – oznajmiła, wcielając się nagle w rolę córki lekarki.

Kiedy wciąż rozważał tę alternatywę, podciągnęła mu podkoszulek i zaczęła go czymś dźgać, prawdopodobnie odłamkiem szkła. Wstrzymał oddech. Byłoby to mniej żenujące, gdyby nie błagał jej, by przestała. Kiedy użyła papieru ściernego, drgnął odruchowo. Nie spojrzała mu w twarz, ale jej dłoń dotknęła przelotnie jego dłoni; delikatna pieśczoła. Poczował nagle łzy w oczach.

Zabandażowała sprawnie ranę i przysiadła na piętach.

– Dobrze się czujesz?

Skóra w miejscach, gdzie go dotykała, była zimna.

– Owszem, od momentu, gdy przestałaś mnie opatrywać.

Na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech, który natychmiast zniknął.

– Będą musieli założyć ci jutro parę szwów. I dać zastrzyk przeciwtężcowy. Ale na razie jest w porządku. – Podniosła się. – Pościelę ci łóżko.

– W porządku, mogę...

– Chodź.

Gościenna sypialnia była ciepła i pachniała jak w Boże Narodzenie; aromat szyszek sosnowych w kącie mieszał się z wonią gałęzi eukaliptusa przy oknie. Blask lampki z różowym abażurem oświetlał łagodnie rysunki na ścianach. Szkice do jakiegoś większego dzieła, sądząc po ich charakterze. Były tam sosny i akacja australijska, ale głównie eukaliptusy: młode drzewka o patykowatych gałęziach i odrobinie ognistości na młodych listkach. Jak zamierzała uchwycić te ich poczerwienione czubki? Za pomocą metalu? Drewna? Poczł, jak Kat sztywnieje, kiedy przyglądał się jej szkicom, więc się odwrócił. Szczelina w zasłonach ujawniała mrok panujący na zewnątrz.

– Potrzebujesz na zewnątrz lepszego oświetlenia.

Monitoring, łańcucha, wielkiego zaślinionego dobermana.

– Co?

– To nie jest bezpieczne, każdy może się schować na twoim ganku. Zajmę się tym rano.

A także wymianą zamka. Ten przy drzwiach wejściowych jest gówniany.

– Nie.

– Nie bój się, to nie potrwa długo. Myślę...

– Nie obchodzi mnie, co myślisz. – Teraz mówiła, nie pokazywała.

– Chodzi mi tylko o to...

– Nie. Nie będziesz wypowiadał się na temat mojego ganku czy mojego domu ani tego, co jem na śniadanie. Rozumiesz?

Skinął głową.

Odwróciła się, ale zdążył dojrzeć w jej oczach łzy. Struktura wszechświata wydała mu się nagle zachwiana. Kat rzadko płakała, a jeśli już, nie ukrywała tego. Jej rodzina była bardzo wylewna, siostry, matka i ojciec okazywali emocje z beztroską łatwością, co zawsze wprawiało go w osłupienie, kiedy się z nimi widywał.

Zgasił światło, a potem leżał wpatrzony w ciemność; na poduszce wyczuwał zapach Kat.

9.

Caleb wstał z łóżka i ubrał się bardzo ostrożnie, krzywiąc się przy tym. Dziwne, że zawsze bolą bardziej następnego dnia: skaleczenia, rozstania, smutki. Odnalazł łazienkę, a potem podążył za zapachem smażonych jajek do kuchni. Poczuł, jak jego żołądek próbuje wykonać powolne salto. Może tylko sucha grzanka na śniadanie. Przystanął gwałtownie w drzwiach. Szafki, stół i krzesła bezbarwne jak w katalogu Ikei, ale każdą dostępną płaszczyznę ścian zakrywały rysunki; od pojedynczych postaci po starannie opracowane sceny uliczne. Zastanawiał się, czy Kat wynajmuje to mieszkanie i ile wynosi czynsz.

Na stole stał dzbanek z herbatą i talerz ze smażonymi jajkami, ale Kat była zajęta rysowaniem. Twarde, zdecydowane pociągnięcia – nic z radosnego tworzenia. Odważył się podejść bliżej. Pod jej ręką właśnie nabierał kształtu bielik pikujący w kierunku mężczyzny o czarnych włosach i oczach. Kto by pomyślał, że ptak może wyglądać tak groźnie?

– Dzień dobry – powiedział.

Odwróciła się gwałtownie, upuszczając ołówek.

– Boże, nie skradaj się tak.

Jej włosy opadały luźno na ramiona, wciąż wilgotne po prysznicu. Gołe stopy, spłowiałe džinsy i lekka bawełniana koszulka opinająca piersi przy każdym ruchu. Wydawało się, że nigdy nie odczuwa zimna. Materiał ze wzorem w maleńkie kwiatki, czerwone, żółte i czarne, barwy aborygeńskiej flagi. Blask słońca na miękkiej śniadej skórze. Nie ulegało wątpliwości, że od półtora roku jest bardzo zajęta: projektowaniem tkanin, odlewaniem dzwonów, tworzeniem nowych rzeźb. Uporczywe podążanie do

przodu. Pomyślał, że to dobrze, że tak właśnie powinno być.

Schylił się po ołówek, potem, prostując się, znieruchomiał.

– Boli?

W wyrazie jej twarzy nie było nic prócz grzecznościowego zainteresowania – uprzejme pytanie ze strony dobrego gospodarza.

– Nic mi nie jest.

– Znowu wszystkich obdzwoniłam. Wciąż żadnych wiadomości o Frankie.

– Och.

Cholera.

Jej twarz złagodniała.

– To pewnie dobrze. Policja wiedziałaby, gdyby Frankie...

Leżała na stole w kostnicy.

– Tak.

– Chcesz, żebym jeszcze do kogoś zadzwoniła?

– Nie, to znaczy dzięki, prześlę pozostałym maile.

Żadne z nich nie odzywało się przez długą chwilę. Umknęła spojrzeniem gdzieś w bok, a on poczuł się nieswojo, jak kochanek na jedną noc, której się potem żałuje. Odsunął krzesło.

Wzięła klucze ze stołu.

– Jadę do pracowni. Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę?

Zastygł z tyłkiem tuż nad siedziskiem krzesła. Było to jak chirurgiczne cięcie: szybkie, na głębokość mięśnia. Wstając, oderwał wzrok od nietkniętego śniadania: kłamstwa sprawdzają się najlepiej wtedy, kiedy wszyscy udają, że w nie wierzą.

– Nie, dzięki. Lepiej pojedę do Broadmeadows i opowiem policjantom o minionej nocy. Dzięki za... Dzięki za wszystko.

Skierował się w stronę drzwi, poklepując kieszenie. Ani kluczyków do samochodu, ani portfela: utrudniało to bardzo sprawy. Pracownia Kat była po drodze... nie, nie

chciał naciskać.

– Mój portfel... – Odchrząknął. – Pożyczysz mi na taksówkę?

Popatrzyła na kluczyki w swojej dłoni.

– Broadmeadows?

– Tak.

– Mogę... – Skrzywiła twarz. – Podrzucę cię, jeśli chcesz.

Godzina szczytu. Dotarcie na miejsce zajęłoby co najmniej pół godziny. Dzieliące ich centymetry w samochodzie. Powinien był powiedzieć „nie” – rany po bezproblemowych rozstaniach goją się szybciej.

– Dzięki, byłoby super.



Jej wiekowy garbus mógł się pochwalić szybkością niespełna stu kilometrów na godzinę i malunkiem, który pokrywał całą karoserię. Jego autorem był ktoś odznaczający się głębokim uwielbieniem dla kobiecych kształtów i pewnymi zahamowaniami moralnymi. Kierowcy zwalniali, przejeżdżając obok, często gestykulując przy okazji. Trudno było sobie wyobrazić, żeby auto nie przyciągało uwagi także zбочeńców, kiedy wyjeżdżało na ulice. Zerknął na nią. W przeciwieństwie do Frankie Kat potrafiła prowadzić i jednocześnie posługiwać się językiem migowym, prawdopodobnie mogłaby też w tym czasie tkać koc i kroić warzywa w wąskie paski; w ciągu ostatnich trzydziestu minut ani razu nie puściła kierownicy. Przed drugim poronieniem ich życie było wypełnione milczeniem równie miękkim jak uścisk ramion. Żadnych słów, żadnych znaków, tylko jej dłoń w jego dłoni, wspólny rytm ich oddechów. Potem pełne bólu milczenie.

Skreśliła w Pascoe Vale Road. Byli już prawie na miejscu. Dziewięćdziesiąt sekund przy tym pełznącym ruchu. Powiedz coś. Cokolwiek.

– Jak długo masz tego garbusa?

– Około roku.

– Dobry?

– Tani.

Zamajaczyła przed nimi komenda policji: dwukondygnacyjny monolit z czerwonej cegły, przyciemniane okna.

– A ten malunek na twoim samochodzie... to jest to, co myślę?

– Jeśli myślisz, że to inspirująca pochwała kobiecości, to owszem.

No cóż, uważał, że to orgia.

– Nie twoje dzieło?

– Przyjaciela.

Bardzo bliskiego przyjaciela. Bardzo bliskiego mężczyzny? Może tego samego idioty, który dał jej tego kurewsko brzydkiego ptaka. Sznur samochodów ruszył z miejsca i nagle znaleźli się w odległości kilku metrów od komendy, parkując w niedozwolonym miejscu. Ani chwili do stracenia. Zabrakło mu tchu.

Odwróciła się do niego, ale ręce wciąż trzymała na kierownicy.

– Mam nadzieję, że sprawa z Frankie się wyjaśni. Wszystko inne też.

Jej usta miały doskonały kształt: łagodnie wychwytywała F na dolnej wardze, całowała Ł. Mógłby patrzeć na nią cały dzień.

– Może prześlesz mi maila? – powiedziała. – Dasz znać?

– Dobrze. – Przemożna chęć, by objąć ją na pożegnanie. Kiepski pomysł. Pocałować w policzek? Uścisnąć dłoń? I tak już spoglądał na nią zbyt długo. – Uważaj na siebie.

Pomachał nieznacznie i wysiadł.

Patrzył, jak garbus włącza się z wolna do ruchu. Machanie. Pieprzone machanie. Siedem lat małżeństwa, bezustanna tęsknota, a on pomachał na do widzenia. Samochód jechał bardzo wolno. Gdyby rzucił się biegiem, dogoniłby go. Obrócił się w stronę komendy. Godzina szczytu, tak na jezdni, jak i na chodniku. Ludzie w ciemnych garniturach potrącali się nawzajem, ich łokcie niebezpiecznie blisko jego pulsującego boleśnie boku. Może powinien do niej napisać i przeprosić. Krótki liścik. „Przepraszam, że jestem takim dupkiem. Życzę ci wszystkiego najlepszego”.

Znajoma postać z przodu, idąca powoli w jego stronę z pochyloną głową, pisząca esemesa. Chudość charta, ziemista szara skóra. Poczuł, jak serce wali mu o żebra.

Szary.

Nie zatrzymuj się, nie przyciągaj uwagi. Uniósł jedną stopę, potem drugą, poruszył rękami. Co Szary tu robi, u diabła? Śledzi ich? Wydaje się nieświadomy jego obecności, wzrok skupiony na telefonie, żadnych znaczących spojrzeń czy wahania. Pięć sekund, a potem się miną. Zbyt tłoczno, żeby uciekać. Bariierka zagradzająca ulicę. Trzy sekundy. Przejść obok, licząc na dłuższego esemesa. Licząc na to, że nie ma noża. Dwie sekundy.

Szary podniósł wzrok.

Caleb spiął się, kuląc ramiona. Ale tamten właśnie się obracał, spoglądał przez ramię. Caleb podążył za jego spojrzeniem: od strony budynku biegł w jego kierunku umundurowany funkcjonariusz, wymachując świstkiem papieru. Aresztowanie? Młody człowiek zatrzymał się gwałtownie przed Szarym, jego pierś unosiła się i opadała spazmatycznie. Caleb pokonał ostatnie centymetry, patrząc na posterunkowego, który wyciągał rękę z karteczką, mówiąc coś. Mówiąc...

– Przepraszam, sierżancie, zapomniałem o tym.

Sierżant policji. Detektyw.

Swobodne ruchy, miarowy krok. Sierżant policji. Nie oglądać się. Na skrzyżowaniu: szalony taniec samochodów skręcających w lewo i prawo, nie sposób przejść na drugą stronę. Sierżant. I oto garbus Kat, właśnie rusza na zielonym świetle. Podbiegł do wozu i wsiadł.

Kat obróciła się do niego, jej oczy wydały się odrobinę za jasne.

– Powinnaś blokować drzwi – powiedział. – Każdy może wpakować ci się do samochodu.

10.

Po przyjeździe do domu Kat od razu zabrała się do parzenia herbaty. Dziś czynność ta wymagała od niej chyba więcej zaangażowania niż zwykle. Grzebała się z sitkami, łyżeczkami i talerzami tostów, a gdy już zrobiła wszystko, co w jej mocy, by uniknąć siedzenia obok niego, postawiła naczynia na kuchennym stole.

– Dzięki. – Ujął kubek obiema dłońmi; w kuchni było lodowato, ale Kat wydawała się tego nie zauważać.

– Jesteś pewien, że to ten sam facet?

– Tak. – Nie czuł potrzeby wyjaśniać, skąd ta pewność przyprawiająca go niemal o sraczkę. – Przepraszam za tę panikę. Nic by mi nie zrobił pod samą komendą.

– Boże, Caleb, ten człowiek próbował cię zabić! Myślę, że miałeś prawo tak zareagować. Tego drugiego tam nie było? Tego Boksera?

– Nie.

– Chwała Bogu. Sądziś, że to też policjant?

– Nie wyglądał na gliniarza, ale skąd mam wiedzieć? Szarego uznałbym za przedsiębiorcę pogrzebowego. – Trząśł się teraz, ale Kat zdjęła buty. – Nie zimno ci?

– Nie.

Rozsmarowała masło na grzance. Biały chleb.

– Co by powiedziała twoja matka, gdyby zobaczyła, że jesz to świństwo?

– Myślę, że miałyby więcej do powiedzenia o tym, z kim to jem.

Przywołali stary obyczaj łączenia znaków z mową. Już zapomniał, jakie to może być

łatwe.

– Przynajmniej Tedesco uwierzy, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Gary’ego, jak mu opowiesz o Szarym.

– Nie. Uważa, że jestem skorumpowany. Jeśli pojawię się z informacją, że jakiś gliniarz chciał mnie zabić, każe mi się wynosić. Albo jeszcze gorzej, pójdzie prosto do Szarego. Pracują w tej samej komendzie, mogą się kumplować.

– Funkcjonariusz prowadzący śledztwo przyjaźni się przypadkowo z podejrzanym? Byłby to cholerny zbieg okoliczności. Detektywi nie wybierają sobie spraw, są im przydzielane.

– Zbiegi okoliczności się zdarzają. Stąd określenie „koincydencja”.

– Także paranoja. – Ugryzła kawałek pozbawionego błonnika pieczywa. – Ale okej, może nie powinieneś iść tam sam. Chcesz, żebym zadzwoniła?

Już kręcił głową.

– Wyślę maila, mam jego wizytówkę. – Wsunął dłoń do kieszeni spodni i wyjął kartonik. Nie Tedesco, tylko McFarlane.

Sierżant Hamish McFarlane, Wydział Wewnętrzny Policji.

Wydział Wewnętrzny. To nie miało sensu.

Kat pomachała, by na nią spojrzeć.

– O co chodzi?

Pokazał jej wizytówkę.

– Wydział Wewnętrzny – przeczytała. – Po co detektyw z Wydziału Wewnętrznego miałby się angażować w śledztwo dotyczące zabójstwa?

Dobre pytanie. Dlaczego? Informacje kłębiły mu się w głowie; musi je tylko uporządkować. Szkoda, że jego umysł zamienił się w papkę. Może za mało snu albo za dużo adrenaliny. Przycisnął dłonie do oczu: czuł piasek pod powiekami. Zastanów się, przemyśl to. Wydział Wewnętrzny nie zajmuje się zabójstwami; tyle wiedział od Frankie. Więc dlaczego McFarlane wtrynił się w przesłuchanie prowadzone przez Tedesco? Złe pytanie. Dlaczego McFarlane był w pokoju przesłuchań tamtej nocy,

kiedy zginął Gary? Opierał się o ścianę: obserwował, czekał. Na długo przed tym, nim ktokolwiek dowiedział się czegoś konkretnego o ofierze oprócz jej nazwiska. Cholera.

Opuścił dłonie.

– McFarlane już wcześniej sprawdzał Gary’ego.

– Co? Przed jego śmiercią?

– To jedyny powód, dla którego znalazł się tam tuż po zabójstwie Gaza. I wyjaśnia to, dlaczego Tedesco tak szybko zaczął oskarżać mnie i Gaza o jakieś przekręty – wszedł do jego domu przekonany, że Gaz jest nieuczciwy.

Wrócił myślami do dusznego pokoju przesłuchań, do pytań, którymi zarzucali go obaj detektywi.

„Narkotyki”.

„Prostytucja...”

„...pranie brudnych pieniędzy”.

„Szantaż...”

– Obserwowali go, ale tak naprawdę nie wiedzieli, czego szukają. Wysuwali różne teorie, żeby sprawdzić, jak zareaguję. Idiotyzmy w rodzaju...

– Jak co?

Zawahał się.

– Pytali o Antona. Gaz dzwonił do niego tamtego dnia.

– Masz na myśli narkotyki?

– To nie w stylu Gaza. Żadnych narkotyków. Niczego.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Czy policjanci z Wydziału Wewnętrznego zajmują się czymś jeszcze prócz skorumpowanych gliniarzy?

Skorumpowani gliniarze.

Niepowiązane wcześniej informacje ułożyły się grzecznie w szeregu i wszystkie wskoczyły na właściwe miejsce.

– To nie tylko Szary – oznajmił.

– Co?

– To właśnie ze względu na kontakty, jakie miał Gaz, poprosiłem go, żeby z nami pracował. Miał pogadać ze swoimi kolegami, spytać, czy wiedzą coś o włamaniach. A Frankie... Frankie przez cały wczorajszy dzień rozmawiała z dawnymi kumplami z policji.

– Żaden zbieg okoliczności – zauważyła Kat. – Organizacja.

– I Gaz wiedział.

Oczywiście, że tak, w przeciwnym razie jego rodzina znajdowałaby się pod ochroną krzepkich i przysadzistych facetów z bronią, a on sam składałby zeznania. Poczł, jak ziemia usuwa mu się spod stóp: samochód Kat stojący pod komendą policji przy Broadmeadows, podczas gdy on zastanawiał się rozpaczliwie, jak ma się z nią pożegnać. Okej, bez paniki. Jeden z wielu samochodów w szczycie ruchu ulicznego, nie ma powodu, by ktokolwiek go zauważył.

Pomijając pornograficzny malunek na karoserii.

– Musisz się stąd wynieść – powiedział. – Ktoś mógł widzieć twój samochód. Jezu. Szary mógł go widzieć.

– I co z tego? To tylko samochód.

– Tylko samochód? Ludzie robili mu zdjęcia!

– Owszem, czasem się zdarza. Ale sam powiedziałaś, że Szary cię nie widział. I nikt potem za nami nie jechał. Przecież przez całą drogę oglądałaś się za siebie. Więc się zrelaksuj, wszystko w porządku.

– Po prostu... – Wbił palce w obolałą czaszkę. – Musisz wyjechać. Jedź do Bay czy gdzie indziej i zatrzymaj się u rodziców.

– To trzy godziny drogi, nie mogę tak po prostu wstać i wyjechać. Mam swoje życie, mam pracę.

Dlaczego nie dostrzega niebezpieczeństwa?

– To zbyt wielkie ryzyko. Musisz wyjechać. Dopóki nie zorientuję się, o co chodzi.

Zmrużyła oczy.

– Rozumiem, że masz problem z określeniem granic swojej odpowiedzialności, więc ci to ułatwię. Nie jestem twoim bratem, nie jestem twoim partnerem, nie jestem nawet twoją żoną, więc daj spokój, kurwa.

– Kat, na litość boską.

Wstał. Pokój zawirował nagle, a żołądek podjechał mu do gardła.

– Cholera, dobrze się czujesz?

Osunął się na krzesło.

– Niezupełnie.

– Nie zamierzasz chyba rzygać, co?

Był cały lepki, spocony. Trzymaj się.

– Nie, ale nie wiem, czy wytrzymam.

– Bo nie będę po tobie sprzątać. – Postawiła przed nim bezceremonialnie miskę i przyłożyła zimną dłoń do jego czoła. – Masz gorączkę. Myślisz, że wdało się zakażenie? Jak się czujesz?

Zakażenie. No tak. Dlatego boli tak bardzo. Przez całe życie ignorował wszelkie dolegliwości i właśnie teraz musiało się tak skończyć.

– Boże, Cal, trzeba było powiedzieć. Chodź, zawiozę cię do lekarza.

– Nie. Wiedzą, że jestem ranny. Sprawdzą wszystkie szpitale.

Siedziała przez długą chwilę bez ruchu.

– Okej. Zostań tutaj.

Wyszła i wróciła moment później, trzymając coś, co wyglądało jak broń laserowa z kiepskiego filmu science fiction.

– Co to jest?

– Termometr elektroniczny. Mama mi go dała.

– Maria? Więc zamierzasz wetknąć mi go w...

Wyjęła mu z ucha aparat i bezceremonialnie wsunęła w jego miejsce termometr.

– Chryste, takie podejście do pacjenta to też robota twojej matki?

Skrzywiła się na widok odczytu.

– No tak, masz dostatecznie wysoką temperaturę, żebym mogła podejrzewać posocznicę. Chodź, musimy zaryzykować ten szpital.

Godziny w poczekalni, oczekiwanie na kogoś, kto wpakuje mu nóż między zębra.

– Nie, pojedę do lekarza pierwszego kontaktu.

– On od razu wyśle cię do szpitala.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł, równie praktyczny, co budzący niechęć. Wymówił te słowa, zanim zdążył zmienić zdanie.

– A Maria?

– Mama? – Gapiła się na niego przez chwilę z otwartymi ustami. – Chcesz, żeby się tobą zajęła?

Nie, już wolałby ryzykować posocznicę, cokolwiek to oznacza. Miejscowa dziewczyna, która wyszła na ludzi – Maria Anderson była szanowana przez wszystkich i wzbudzała strach u bardzo wielu. Pierwsza lekarka aborygeńska w Resurrection Bay, specjalistka od nagłych przypadków, która wróciła do domu, żeby stworzyć rodzinę i prowadzić miejscową przychodnię. Jako teściowa szybko zaakceptowała fakt, że zięć nie słyszy i że nie jest czarny jak jej przodkowie, ale nie wahała się wytykać mu innych wad. Między innymi niewątpliwej porażki jako męża jej najmłodszej córki.

– Oczywiście – zapewnił. – Jest wspaniałą lekarką o znakomitych referencjach.

– Ty po prostu chcesz, żebym wyjechała z Melbourne.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności.

Westchnęła.

– Do diabła. Niech będzie.



Obudził się gwałtownie: łamało go w kościach, miał dreszcze.

Kat dotknęła jego ramienia.

– Jesteśmy na miejscu.

Zmrużył oczy pod wpływem jasnego światła. Zaparkowali pod rodzinnym domem Kat, długim budynkiem z kamienia i drewna, zaprojektowanym przez jej ojca. Bujny ogród, który go otaczał, stanowił królestwo Marii. Zasadziła każdą paproć drzewiastą i orchideę, sprawiła, że drzewa owocowe rodziły na gliniastej glebie, i zamieniła skalne podłoże w gładkie ścieżki. Caleb zastanawiał się, czy ta kobieta wciąż ma ten swój ubijak.

– Jest tu twój tata?

– Nie, wyjechał do Nowej Zelandii na jakąś konferencję. Nie ma też żadnej z moich sióstr, więc będziesz musiał zmierzyć się z moją mamą w pojedynkę.

Fakt, że nie mógł liczyć na pełen spokoju wpływ łagodnego ojca Kat, był poważnym ciosem, ale nieobecność jej trzech sióstr działała zapewne na jego korzyść. Był niemal przekonany, że wciąż żywią sporo niechęci wobec człowieka, który przyprawiał o łzy ich młodszą siostrę.

– Jesteś blady, nawet jak na białego. Jak się czujesz?

– Bywało lepiej.

– Chodź, mama ci pomoże.

Otworzył drzwi wozu i wyprostował się, ale miał wrażenie, że ziemia się pod nim zapada. Po chwili leżał na żwirowej ścieżce, patrząc w niebo. Zbyt jasne. Kat była tuż obok, klęczała przy nim. Oczy miała szeroko otwarte.

– Cal, Boże. Trzymaj się.

Oddaliła się biegiem.

Zacisnął powieki. Wydawało się, że brakuje mu powietrza. Gdzie się podziało? Rytmiczny stukot – biegnący ludzie. Palce przyciśnięte do jego szyi. Przyjrzał się ich właścicielowi. Niebieskie oczy, przetykane siwymi pasemkami czarne włosy, spojrzenie pełne irytacji: Maria. Próbował przeprosić za to, że leży na jej podjeździe, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Co ty sobie myślałaś, przywożąc go tutaj? Już dawno powinien trafić na oddział urazowy.

– Czuł się dobrze – odparła Kat. – Nie było z nim tak źle. Naprawdę.

Maria zacisnęła usta.

– W porządku, Caleb, pomożemy ci usiąść, żebyś mógł łatwiej oddychać.

Podniosły go i oparły o samochód. W bok dźgały go jakby gorące ostrza, słońce przesunęło się i pociemniało. Podtrzymywały go pod rękę.

– ...nie będzie bezpieczny w szpitalu. Zabili ludzi, mamó. Zabili Gary'ego.

Maria nie poruszyła się. Pewnie zamierza zostawić go tutaj, żeby umarł. Miał nadzieję, że to jakoś przyspieszy, walnie go w głowę czymś twardym.

– Weź kamień – poradził.

Popatrzyła na niego ze zmarszczonym czołem.

– Możesz się podnieść, Caleb?

Pokręcił nieznacznie głową i od razu tego pożałował.

– No dalej, nie damy rady cię nieść.

Pchały, ciągnęły go i jakoś zdołały dźwignąć na nogi. Nie pragnął niczego innego jak tylko znowu położyć się na zimnej ziemi. Potykał się o własne stopy, jakby nie były częścią jego ciała. Do domu. Cudownie ciemniejszego. Leżał teraz, jego bok kęsały małe ostre zęby, wywołując dotkliwy ból. Ktoś klepał go po ramieniu, bezustannie. Otworzył oczy. Maria mówiła coś o leczeniu i szpitalach.

– Tylko nie szpital.

– Nie będę ryzykowała... albo wstrząs septyczny... więc zabiorę cię... bo antybiotyki nie działają... Rozumiesz?

Teraz ostre zęby wbijały się w jego kości.

– Czy rozumiesz?

– Tak.

Rozszczepiały mu żebra.

W polu jego widzenia pojawiła się Kat, jej dłonie poruszały się wolno, koily.

– Naprawdę zrozumiałeś?

– Tak mi się wydaje.

Jakby wypluwał odłamki szkła.

Przyłożyła mu chłodną dłoń do policzka.

– Trzymaj się, zaraz dam ci środek przeciwbólowy.

Coś nie tak z jej oczami. A może z ustami? Wargi zsuwały się po jej twarzy. Kapały. O Boże, jest ranna. Usiadł gwałtownie, jego serce pompowało wściekle.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Połóż się.

– Widziałem krew.

– Nie ma żadnej krwi. Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Dzięki Bogu. Opuścił powieki.

– Z Garym też? Nic mu nie jest?

11.

Kat mieszała coś na piecyku, jej biodra poruszały się w rytm dudniącej muzyki. Prawdopodobnie rocka australijskiego z lat osiemdziesiątych. Na stole dostrzegł otwartą paczkę ryżu Arborio, ogonki grzybów i łupiny czosnku – domyślił się, że daniem dnia będzie risotto. Coś nowego. Podobnie jak zupy, które przyrządzała przez kilka ostatnich dni. Kat potrafi gotować: robi wspaniałą lasagne, a jej laksa to szczyt doskonałości, ale na tym się kończy. Opanowała w stopniu perfekcyjnym oba przepisy i chyba doszła do wniosku, że wraz z otwieraczem puszek pozwolą jej przejść przez życie.

Uniosła dłonie zaciśnięte w pięści, pokazując, że kończy się piosenka, po czym wsypała sól do garnka.

– Musisz pewnego dnia pogodzić się ze śmiercią lat osiemdziesiątych – powiedział.

Odwróciła się na pięcie. W jej oczach pojawił się uśmiech, ale zamarł na ustach. Popatrzyła na jego rękę.

– Więc przekonałeś mamę, żeby dała sobie spokój z kroplówką?

Poruszył nadgarstkiem.

– Tak, wreszcie jestem wolny. Powiedziała, że będę mógł wyjechać za kilka dni.

Konkretnie siedem, ale mniejsza z tym.

– Wspaniale.

Na twarzy Kat gościła ta sama grzeczna maska, jaką nosiła w Melbourne. Miała ją też za każdym razem, kiedy zaglądała do pokoju, w którym pocił się przez ostatnie cztery dni. Im dłużej tu przebywał, tym bardziej wydawała mu się odległa.

Obrzucił spojrzeniem jej telefon na kuchennym stole.

– Czy...?

– Pięć minut temu. Nie oddzwoniła.

Stracił dwa dni, ale kiedy tylko oprzytomniał, zaczął rozsyłać maile do wszystkich, którzy mu tylko przyszli do głowy: sąsiadów Frankie, dawnych kolegów z pracy, jej byłego męża. Nikt jej nie widział ani nie miał od niej żadnej wiadomości. Zdołał nawet wytropić siostrę ze zdjęcia ślubnego. Maggie Reynolds potrzebowała dwóch dni, żeby ułożyć odpowiedź składającą się z czterech wyrazów: „Nie rozmawiamy ze sobą”.

– Sprawdzasz swoją pocztę głosową? – spytał.

– Co pół godziny, ale będę wiedziała, kiedy Frankie zadzwoni.

Może nie przeczytała żadnej jego wiadomości. Za bardzo zajęta chlaniem, żeby sprawdzać esemesy. Tyle że jej związek z komórką był najtrwalszym ze związków w jej życiu. Spała z nią, zabierała do restauracji i na wakacje.

Poczuł, jak skacze mu puls. Oczywiście.

– Telefon – powiedział. – Mogę zlokalizować ją po komórce. Jest strona, dzięki której mogę to zrobić, na litość boską.

– Musiałbyś znać jej hasło, prawda?

Pomyślał o Frankie, która pewnego leniwego poniedziałkowego popołudnia postanowiła zmienić wszystkie swoje hasła, coraz bardziej poirytowana różnymi wymogami bezpieczeństwa.

– To nie problem.

Wziął ze stołu laptopa Kat i otworzył go.

– Podała ci hasła?

– Nie podała, tylko wyrzeszczała. I tylko do Apple'a.

Boże, żeby tylko go nie zmieniła w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Wszedł na stronę i wpisał Nieznoszepieprzonychhasel. Wrzasnęła też coś w rodzaju: „Jak wam się to podoba, pojechańcy?”, ale odniósł wrażenie, że był to tylko krzyk rozpacz, żeby sobie ulżyć.

Nieprawidłowe hasło.

Przemyśl to. Frankie, nawet wkurzona, przestrzegałaby zasad bezpieczeństwa. Podstaw cyfry pod litery.

Niezn0szepieprz0nychchasel.

Nieprawidłowe hasło.

Niezn0szepieprz0nychcha\$el.

Nieprawidłowe hasło.

Cholera. Niewłaściwie zrozumiał słowa? Wyobraź sobie Frankie przy jej biurku z coraz bardziej czerwoną twarzą, jak wrzeszczy do komputera. Wrzeszczy!

NIEZ NOSZEPIEPRZONYCHHA\$EL!

Udało się, mała ikonka telefonu, migająca radośnie na mapie. Gdzie to jest? W Yarra River? W miejscowym pubie?

Mary Street, Brunswick.

Adres Frankie.

Istnieje niewiele scenariuszy, według których Frankie świadomie zostawiłaby gdzieś swoją komórkę.

– To tylko pięć dni – powiedziała Kat. – Wiem, że wydają ci się wiecznością, ale to niezbyt długo, jeśli poszła w tango. Od jak dawna pije?

– Nie robiła tego od sześciu lat.

– Nie musisz jej bronić. Nie przede mną.

Oczywiście, że nie. Kat, dorastając, widziała, co alkohol może zrobić z jej rodakami. Z całymi społecznościami. Powód, dla którego jej rodzina przestrzegała zasady: jeden drink i koniec.

– Myślę, że zaczęła tamtej nocy, kiedy zginął Gary. Trzymała się tylko ze względu na mnie, ale była cholernie poruszona. – Umilkł, a po chwili powiedział jej prawdę: –

Ale potem widziałem jej mieszkanie. Totalny bałagan, jakby nie sprzątała przez całe tygodnie. Obawiam się, że piła od jakiegoś czasu, a ja nic nie zauważyłem.

– Niemożliwe, zauważyłbyś. Tym się właśnie zajmujesz na co dzień.

– Nie wiem. Ostatnio miałem w głowie mętlik.

Kąciki jej ust wykrzywił lekki uśmiech.

– Przez większość czasu. Ale jakoś dajesz sobie radę.

Uścisnęła mu ramię i poszła nastawić czajnik.

Nie poruszył się, nie spojrzał na miejsce, w którym spoczywała jej dłoń.

– Zamierzałam cię spytać... – powiedziała. – Wciąż korzystasz ze swojego starego adresu mailowego?

– Niezupełnie. Nie sądzę, by Frankie go znała.

Mimo wszystko warto sprawdzić. Przysunął komputer. „Zamierzałam cię spytać”. Nietypowe wyrażenie jak na Kat. I nietypowa postawa: ze skrzyżowanymi ramionami, oparta o zlew. Niespokojna i być może jakby... czuła się w pewien sposób winna?

– Co jest? – spytał.

– Nie panikuj, dobrze?

Jezu, co ona zrobiła?

– Okej.

– Zadzwoiłam kilka dni temu do detektywa Tedesco i powiedziałam mu o Szarym. Odparł, że przyśle mi maila, jeśli się czegoś dowie.

Jej słowa były niczym lodowaty prysznic. Otworzył parę razy usta, zanim złapał oddech.

– Chodziło o to... Boże, Kat, przecież dlatego tu przyjechaliśmy...

– Żebyś nie umarł.

– ...żeby nikt nie wiedział, że jesteś w tę sprawę zamieszana. – Jego dłonie wyrzucały z siebie słowa. – A... teraz... zna... twój... numer.

– Nie mów do mnie takim tonem.

Odczekał chwilę, potem zaczął ciosać zdania powolnymi i starannymi ruchami.

– A jeśli jest skorumpowany? Albo jeśli nawet jest czysty, ale pogada z niewłaściwą osobą?

– Przestań się tak pienić na minutę i uświadom sobie, że nie ma się czym martwić. Nie zna mojego nazwiska ani telefonu, nic o mnie nie wie. Zadzwoiłam z automatu telefonicznego i udawałam pracownika asysty technicznej dla niesłyszących.

To było genialne. I jak najbardziej prawdopodobne. Nigdy nie korzystał z tej usługi, o czym Tedesco nie wiedział; prędzej odciąłby sobie rękę, niż pozwolił, by jakiś obcy człowiek wymawiał za niego słowa.

– Mimo wszystko było to ryzykowne. Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłaś? Byłam pięć metrów dalej, na litość boską.

– Byłeś pięć metrów dalej, rzygając wnętrznościami i bredząc, że ściany krwawią. Posłuchaj, jeśli ten gliniarz jest skorumpowany, to jest skorumpowany, ale jeśli jest w porządku, to musi być po twojej stronie i polować na Boksera i Szarego. Zyskał w ten sposób cztery dni na działanie.

– Jak może ich szukać, skoro nawet nie wie, jak wyglądają?

– Wie. Przesłałam mu kilka szkiców z twojego maila.

– Co? Jak...

Błysk koszmaru, który gnębił go w snach i na jawie: Bokser i Szary pod drzwiami, Kat im otwiera. Przypomniawszy sobie, jak chwyta ją za ramię i nie puszcza, dopóki nie powtórzy mu ich rysopisów. Miał wrażenie, że zrobił to kilkakrotnie. Kurwa. Kurwa.

– Wiesz, co się mówi w takiej sytuacji? „Świetny pomysł, Kat. Dziękuję ci”.

W jej oczach rozpały się ostrzegawcze ogniki.

– To nie było sprytne. To nie było mądre. To było bezmyślne. Nie chcę, żebyś rozmawiała o tym z kimkolwiek.

– No cóż, na szczęście mam głęboko gdzieś to, czego chcesz.

Wyszła z kuchni.

Kiedy się już uspokoił na tyle, by nie walnąć komputerem o ścianę, zajrzał do swojej poczty. Skrzynka zapchana była wszelkiego rodzaju śmieciami, ale pośród wiadomości obiecujących mu seks z gorącymi samotnymi mamuškami znalazł kilka wiadomości od uri.tedesco@police.vic.gov.au. Nie zawierały one jednak żadnych

ważnych informacji.

„Zadzwoń natychmiast”.

Odpisał: „Żadnego telefonu. Muszę korzystać z maila. Wiadomo coś o Frankie?”.

Przesłał wiadomość i patrzył na kursor. „Zadzwoń natychmiast” musi oznaczać coś ważnego. Może Tedesco znalazł Frankie w jakimś squacie z tygodniowym zapasem opróżnionych butelek. Może znalazł ją w płytkim grobie, usta i oczy wypełnione ziemią. Kliknął „odśwież”, potem jeszcze ze dwa razy i poszedł zrobić rundę wokół domu. Na chwiejnych nogach, niczym żrebak, który właśnie przyszedł na świat, i zwyczajnie pozbawiony tchu. Jak często Tedesco otwiera swoją pocztę? Użył kilka razy komórki pod domem Gary’ego; z pewnością nie należy do tych, co gapią się bezustannie w ekran, ale na pewno często korzysta z telefonu. Była 13.05. Istniała szansa, że przejrzy maile podczas lunchu. Caleb pokonał kilka ostatnich metrów biegiem.

Czekała na niego wiadomość:

„Co się tak długo nie odzywasz? Cztery dni. Muszę mieć możliwość częstszego kontaktu. Podaj mi swój numer telefonu”.

Siadając, otarł dłonie o dzinsy.

„Tak jest lepiej. Jakież wiadomości o Frankie?”

„Nie”.

Zamknął na chwilę oczy, potem przeczytał wiadomość do końca.

„Detektyw McFarlane chciałby, żebyś zgłosił się na przesłuchanie”.

„Dlaczego?”

„Dalsze pytania dotyczące tego, co Gary robił w dniu zabójstwa”.

Gary, nie starszy posterunkowy Marsden. Po raz pierwszy Tedesco nazwał go po imieniu. Próba okazania empatii w stylu typowego sprzedawcy, a może znał Gary’ego? Słowa wydawały się szczerze.

„Znałeś Gary’ego?”

Odpowiedź zabrała detektywowi całą minutę, ale była równie zwięzła jak

poprzednie.

„Nie za dobrze. Przez kilka miesięcy pełniliśmy służbę w Nhill”.

Siedem albo osiem miesięcy temu. Tedesco już wtedy piał się w górę, by awansować na detektywa, a Gary nie rzucał się w oczy, robił swoje i był zadowolony. Dwaj gliniarze na zadupiu, gdzie nawet rześisty deszcz uchodzi za rozrywkę. Musieli być co najmniej kompanami od kieliszka.

„Więc wiesz, jaki był. Że nigdy nie wykorzystywał radiowozu w sprawach prywatnych. Że dorzucał się regularnie do kawy, przez cały miesiąc. Że doprowadzał innych gliniarzy do szału swoim kurewsko irytującym przestrzeganiem każdego możliwego przepisu. Wiesz, że nie mógł być zamieszany w coś paskudnego”.

Krótką pauza, potem nowa wiadomość.

„Musimy się spotkać. Kiedy możesz tu dotrzeć?”

„Nie interesuje mnie ponowna rozmowa z McFarlane’em”.

„Nie z McFarlane’em, tylko ze mną. Ale musi to być osobiście, nie online”.

„Dlaczego?”

...

...

...

Tedesco się wyłączył? Miał już wystukać następną wiadomość, kiedy przyszła odpowiedź.

„Mam zdjęcia pasujące do tych rysunków, które przysłałeś”.

Więc ten wielki facet traktuje go poważnie. Dzięki Bogu.

„Nie jestem w Melbourne. Będziesz musiał przesłać je mailem”.

„Nie. Pokażę ci to osobiście albo w ogóle”.

Tedesco najwyraźniej się rozluźniał pomimo oschłego tonu ich konwersacji. Jak przeciągnąć go na swoją stronę jeszcze bardziej?

„Nie dotrę do jutra. Prawdopodobnie pojutrze. Jeśli chcesz czekać, to zgoda, ale

będzie szybciej, jeśli je prześlesz. Możesz mi zaufać, nikomu ich nie przekażę. Potrzebuję cię po swojej stronie. Po stronie Gary'ego. Nie spieprzę tego”.

Długie oczekiwanie tym razem. Wstał i spróbował przeciągnąć się ostrożnie. Bardzo ostrożnie. Wskoczyła nowa wiadomość, nowy temat: USUŃ NATYCHMIAST.

„Prześlę je z innego adresu. Odpowiedz na ten sam adres. Usuń wszystko natychmiast. Odpowiedz natychmiast. Nie kopiuj ani nie przesyłaj. Jeśli to zrobisz, wytropię cię, obetnę ci jaja i wepchnę do gardła. Rozumiesz?” Uśmiechnął się: nawet groźby Tedesca odznaczały się poprawną interpunkcją. Zupełnie jak u Gary'ego. Ważne, by nie zapomnieć, że nie jest przyjacielem. Może nawet nie sprzymierzeńcem.

Mail został wysłany z adresu usuń.natychmiast.ty.uparty.draniu@hotmail.com. Więc Tedesco ma poczucie humoru. Nie ulegało wątpliwości, że przez kilka ostatnich dni zajmował się tą fotograficzną konfrontacją. Dziesięć zdjęć białych mężczyzn między trzydziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia, wyraźne ujęcia twarzy, niektóre pozowane, inne przypadkowe. Na pięciu facet podobny do Szarego, na kolejnych pięciu do Boksera. Czwarte zdjęcie, instynktowna reakcja: Szary. Przejrzał wszystkie jeszcze raz, wpatrując się uważnie w usta i oczy. To nie Bokser, ale numer czwarty był pewniakiem. Odpowiedział.

„Numer cztery to Szary”.

„Stopień pewności?”

„100%. Jak się nazywa?”

„Nie musisz tego na razie wiedzieć”.

„Czy to Scott?”

„Nie”.

„Więc jest powiązany ze Scottem”.

„Nie ma żadnego dowodu, że Scott w ogóle istnieje”.

„Skąd więc obawa o dostęp do twojej poczty? Dlaczego zareagowałeś na to nazwisko, kiedy po raz pierwszy powiedziałem ci o esemesie Gary'ego?”

„Plotki to nie fakty”.

Bingo.

„Ale możesz fakty ustalić. Jeśli Szary i Scott się znają, to gdzieś to odnotowano. Scott jest informatorem, świadkiem albo został kiedyś skazany. Jeśli Szary jest cwany, będzie próbował ukryć powiązanie, ale w końcu coś znajdziesz”.

Przez długą chwilę wpatrywał się w ekran.

„Podaj mi numer swojego telefonu na wypadek, gdybym musiał się z tobą szybko skontaktować. Połączę się przez asystę techniczną dla niesłyszących. Sprawdziło się ostatnim razem”.

„Lepiej będzie tak jak teraz. Bez udziału osób trzecich”.

„Uparty drań z ciebie”.

„Wciąż mi to powtarzasz”.

Zamknął komputer i odetchnął z ulgą. Ktoś jest wreszcie po jego stronie. Prawdopodobnie. Może.



Przygotował dwa kubki herbaty i wyszedł z nimi na zewnątrz. Podwórce na tyłach domu było pochyłą połącią buszu o powierzchni hektara, którą Maria przemieniła w tajemniczy ogród. Wokół zachęcających do spaceru trawników rozpościerały się zagajniki kwitnących eukaliptusów i miejscowych traw. Wiły się po nich żwirowe ścieżki, wiodąc ku ukrytym dziedzińcom. Ruszył w stronę ulubionego zakątka Kat i nieomal się potknął, pokonując zakręt. Wejścia do altanki strzegła nowa rzeźba: nienaturalnej wielkości postać kobiety wyrzeźbiona z pojedynczego pnia. Odznaczała się wojowniczą postawą, włosami ze splątanych drutów i spojrzeniem, od którego ścisnęły się jaja.

Ominął ją szerokim łukiem i zbliżył się do Kat, która siedziała w kucki na drewnianej ławce. Pomimo niskiej temperatury nie zauważyła, że zrobiony na drutach szal zsunął się z jej nagich ramion. Pochylała się nad dużym szkicownikiem i kreśliła zamaszyste długie linie. Wstępne szkice. Potem przyjdzie kolej na szczegóły, odmienne kąty widzenia, kalkulacje dotyczące materiałów. Podniosła wzrok, kiedy na kartkę padł

jego cień. Oczy miała matowe, wciąż tkwiła w swoim wewnętrznym świecie. Znowu rysuje drzewa – szkielet o nagich konarach i kwitnący eukaliptus o mocnych gałęziach.

Podał jej kubek.

– English Breakfast.

Ujęła naczynie obiema dłońmi, a on zauważył, że drży. Wziął odruchowo szal i okrył jej ramiona, potem usiadł obok.

– Dobra herbata. Dzięki.

– Oferta pokoju – zawahał się, szukając odpowiednich słów. – Może moja reakcja była przesadna.

– Może?

– Była przesadna. Chwilowa niedyspozycja. Chcesz mi coś powiedzieć? Jeszcze jakieś telefony czy maile? Sygnały dymne? Nie będę się już wściekał, obiecuję. Już tylko zrelaksowany ja.

– To słodkie, że uważasz siebie za zrelaksowanego, ale nie, nic więcej nie chcę ci powiedzieć.

To takie słodkie. Słodkie są kocięta. Kucyki. Mimo wszystko musiał się tym zadowolić.

– Jakieś wiadomości od Tedesca? – spytała.

– Nic na temat Frankie, ale ucieliśmy sobie pogawędkę. Znalazł Szarego. Nie chce mi powiedzieć, jak facet się nazywa, ale trochę się rozluźnił. Może nawet przyjął do wiadomości, że nie jestem skorumpowany. – Milczał przez chwilę. – Ta rozmowa za pośrednictwem usługi dla niesłyszących chyba pomogła.

Będąc z natury osobą ekspresyjną, tym razem zachowała kamienny wyraz twarzy.

– Musiałeś trafić na doskonałą telefonistkę.

– Najlepszą.

Zamknęła szkicownik, ale zamiast odejść, rozsiadła się wygodnie i napiła herbaty. Jej oddech był powolny i równy: czuła się zadowolona, mogąc odpocząć przez chwilę. Miejsce świetnie się do tego nadawało; osłonięte przed wiatrem, z ceglanyimi ścianami

oddającymi ciepło popołudniowego słońca. Z jakiegoś powodu pomyślał o ich kanapie z lwimi łapami.

Promień słońca musnął czubek głowy dzikiej kobiety, odbijając się od jej włosów.

Kat wskazała na nią.

– Przedstawiłeś się Bercie?

– Nie, wycofałem się, unikając kontaktu wzrokowego. Rozumiem, że symbolizuje pewną fazę twojego życia spod znaku „jestem kobietą, słuchaj, jak się wydzieram”, co?

Patrzyła na niego bez zmrużenia powiek.

– Nie, wyraża fazę „wszyscy mężczyźni to dranie”.

– No tak. – Zastanawiał się nad źródłem inspiracji w przypadku tej rzeźby. – A kiedy to było?

– Nie wiem, czy ta faza dobiegła już końca.

Uśmiechnął się i bez zastanowienia po prostu wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Znieruchomiała. Szal znowu się osunął, odkrywając miękkie zarys jej krtani. Kiedyś przywierał ustami do tej jedwabistej skóry. Smak soli, miodu i piżma. Pragnął jej dotknąć. Wziąć w ramiona i wdychać tę woń, aż wypełniłaby go całkowicie. Jej oczy wpatrywały się w niego – mroczne i niezgłębione jak ocean. I nie było niczego, tylko jej ciepło, dudnienie krwi w jego żyłach, jej miękkie rozchylone wargi. Schylił ku niej głowę.

Wstała.

Uwolniony gwałtownie, poczuł zawrót głowy. Wyjęła komórkę z kieszeni, a potem wpatrywała się w ekran.

– Cześć, Ross. – Uśmiechnęła się. Zadowolona, że może odebrać. Zachwycona. – Nie, nie jestem zajęta.

Ruszyła w stronę domu. Nawet się nie obejrzała.

12.

Nazajutrz po południu odważył się wyjść na miasto, żeby zrobić zakupy z Kat.

Po raz pierwszy od ich spotkania w ogrodzie odprężyła się na tyle, żeby spędzić z nim sam na sam więcej niż kilka minut. Jego powolny chód miał swoje dobre strony: piętnastominutowy spacer będzie trwał co najmniej pół godziny. Odnosił wrażenie, że jego nogi są pozbawione kości, jak podczas pierwszego maratonu. Tyle że tym razem był na samym końcu. Albo w karetce, gdzie uzupełniano mu elektrolity. Kiedy dotarli do szkoły podstawowej na obrzeżach miasta, skorzystał z okazji i oparł się o niskie druciane ogrodzenie ogródka warzywnego, który powstał obok boiska. To była właśnie jego stara szkoła, do której chodził, kiedy jeszcze słyszał.

– Kalarepa – przeczytał na małych drewnianych tabliczkach. – Jarmuż, topinambur. Drobną różnicą w porównaniu z naszymi kanapkami z pastą vegemite.

– Przyrządzają też własne czatni – powiedziała Kat. – Z daktylami i koprem włoskim. Mam przepis.

Stracił cały semestr jesienny, wrócił do szkoły w taki sam wietrzny dzień jak ten. Świat tamtego ranka wydawał się nowy: jego dłoń w dużej dłoni, dłuższy krok, zapach old spice'a zamiast perfum matki, White Linen. Ojciec nigdy wcześniej nie prowadził go do szkoły. Dopiero gdy Caleb usiadł w ławce, uświadomił sobie, jak bardzo wszystko jest przerażające. Dłonie poklepujące go bez ostrzeżenia po plecach. Rozdziawione usta, które szybko się poruszały, ale słowa dopływały jakby przez niezmierzone oceany. W jego żołądku wzbierał kwaśny żar. Potem pojawiła się panna Peterson; jej twarz zbyt blisko, smuga szminki na przednim zębie. Wypowiadane przez nią słowa wznosiły się gdzieś wysoko, daleko poza jego zasięgiem. Kręciła głową ze

zmarszczonym czołem. Miał coś zrobić. Powiedzieć coś. Być czymś. Siedział sztywno, dopóki żar nie powędrował do krtani, a z ust trysnął strumień palących rzygów.

Ojciec zaprowadził go także następnego dnia, potem następnego i następnego, aż w końcu to matka trzymała go za rękę, prowadząc do szkoły, która „bardziej by mu odpowiadała”. Porażka wciąż cuchnęła pyłem kredy szkolnej i wymiocinami.

Kat patrzyła na niego. W pikowanym czerwonym płaszczu i pomarańczowej wełnianej czapce była jak wytęskniony błysk koloru na tle szarego nieba.

– Jesteś pewien, że mama pozwoliła ci wędrować tak daleko?

Odsunął się od ogrodzenia i ruszył dalej.

– Powiedziała, że to zależy tylko ode mnie.

– To do niej niepodobne. Co dokładnie powiedziała?

– Idź, jeśli chcesz, ale jak się przewrócisz, wsadzę ci jeszcze jeden cewnik.

– Okej, to już bardziej w jej stylu. – Zatrzymała się, kiedy dotarli do niewielkiego supermarketu na obrzeżu centrum handlowego. – Wejdę tam na chwilę. Może w tym czasie wybierzesz jakieś wino na dzisiejszy wieczór, a potem się tu spotkamy?

Nastawił uszu jak pies.

– Maria pozwoli mi pić?

– Nie, ale to mnie nie powstrzyma. Kup takie, które będzie pasowało do gulaszu.

Zupy, risotto, a teraz jeszcze wschodnioeuropejskie potrawy.

– To całe gotowanie... to coś nowego?

Gwałtownym ruchem wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza i popatrzyła na niego zdecydowanie; wiatr rozwiął jej włosy. Olśniewająca – takie było pierwsze słowo, które przyszło mu do głowy. Drugim było Meduza.

– Nie smakuje ci?

– Jest jak z najlepszej restauracji – zapewnił pospiesznie. – Najwyższa jakość. Jestem po prostu zaintrygowany.

– Cóż, powód jest taki, że dłonie mam bezczynne, a głowę pełną.

Poczuł ukłucie żalu.

– Niedługo wrócisz do swojej pracowni.

– Prawdopodobnie ta niezamierzona przerwa ma swoje dobre strony. Pozwoliła mi spojrzeć z dystansem na to, nad czym pracowałam.

Pomyślał o szkicach, nad którymi siedziała poprzedniego dnia, i tych w jej domu – młodych drzewek o złotoczerwonych liściach.

– Drzewa? Chciałbym zobaczyć ich jeszcze więcej.

Cień zasepienia, po czym jej twarz się wygładziła, przyjmując obojętny wyraz. Cholera. Zabrnął na jedno z tych pustkowi, które zawsze gdzieś majaczyły podczas ich rozmów. Dostrzegał je przelotnie już wcześniej i wiedział, że to bezkresne i opuszczone miejsca. Szukał rozpaczliwie wyjścia z tej niezręcznej dla niego sytuacji.

– Więc, no, czerwone wino do gulaszu?

– Jasne.

Pokazała to odruchowo na palcach, ale miała przygarbione ramiona, kiedy się odwracała.

Co takiego tym razem zrobił? Chodzi o to, że wspomniał o drzewach? O gotowaniu? Zaczekał, aż zniknie w wejściu do supermarketu, ale się nie odwróciła. Ruszył w stronę sklepu z winami.

Główna ulica w Bay obiegała leniwym łukiem plażę, sklepy obracały swe upstrzone solą witryny ku morzu. Domy z bazaltu i kute w żelazie balkony widniały we wszystkich miejscowych folderach turystycznych, ale odległość od Melbourne i dzikie fale przyływu odstraszały większość turystów. Pojawiły się trzy nowe tabliczki „Do wynajęcia”, a sądząc po ubogim asortymencie w sklepie z artykułami domowymi, przed końcem miesiąca pojawi się czwarta. Dawne biuro ojca zostało wystawione na sprzedaż zaraz po jego śmierci przed czterema laty.

Wydawało się, że dobrze prosperuje tylko sklep z winami. Caleb przemierzał jego zatłoczone alejki, biorąc do ręki butelki i odstawiając je z powrotem. Potrzebował czegoś dobrego, czegoś przemyślanego, co ogrzałoby lodowate pustkowia i pasowało do gulaszu. Zbyt dużo, by żądać od jednej butelki wina. Potem je dostrzegł. Odmiana

winogron, o jakiej nigdy nie słyszał, z kraju, którego nigdy by nie posądził o produkcję wina, ale na etykietce widniał ptak w pełnym locie. Otarł kurz z butelki i uśmiechnął się. Tak, bielik.

Kiedy wychodził, w wejściu pojawiła się znajoma postać. Jeden z kuzynów Kat, ciemnoskóry mężczyzna z więziennym tatuażem, o oczach kilka tonów jaśniejszych niż oczy Kat. Na piersi w nosidełku trzymał dziecko o pulchnych nóżkach z różową opaską na czole. Oczy o identycznym odcieniu jak u Kat.

– Mick.

– Cal, stary, kopę lat.

Pokleпали się nawzajem po plecach i wymienili szybki uścisk dłoni. Dzieciak majtał z ożywieniem nóżkami, ale Caleb wpatrywał się z uporem w Micka.

– Nie wiedziałem, że ty i Pauline doczekaliście się kolejnego dziecka. Gratulacje.

– Co mogę powiedzieć? Jestem chodzącą pieprzoną fabryką spermy. – Mick pogłaskał miękkie loczki córki, na kostkach jego dłoni widać było wyraźnie napis „Pieprzyć gliny”.

Kiedy Caleb zaczął się spotykać z Kat, Mick uznał za stosowne „pogadać z nim sobie” o ewentualnych konsekwencjach, jeśli poleci z nią w chuja. Był tak przekonujący, że Caleb potrzebował miesięcy, by się zorientować, że za przerażającą fasadą tego człowieka kryje się serce miękkie jak z wosku.

Mick spojrział na butelkę w dłoni Caleba, przyglądając się dłuższą chwilę etykietce.

– Ty i Kat znowu razem?

– Nie.

– Więc frajer z ciebie, że to kupiłeś, co?

– Cholerny.

– Dobrze, że o tym wiesz, jak mi się wydaje. Słuchaj, smutna sprawa z twoim kumplem Gazem. Dorwali już skurwiela, który to zrobił?

– Nie.

– Daj nam znać, kiedy będzie pogrzeb, dobra? Był porządnym gościem, zwłaszcza

jak na glinę. W zeszłym roku pomógł wygrzebać się z gówna młodemu Jai. – Zmrużył oczy. – Skoro mowa o pojebach...

Caleb przygotował się na cios.

– Anton?

– Tak. Nie mam w zwyczaju węszyć, ale moje okna w kuchni wychodzą na jego drzwi frontowe, kapujesz? W tym tygodniu dwa razy odwiedzili go gliniarze.

– Aresztowali go?

– Nie, nie otworzył im drzwi.

Bo nie chciał? Czy dlatego, że nie mógł? Raczej nic mu nie było. Na pewno nie leżał bezwładnie na podłodze łazienki z igłą wbitą w przedramię i zsiniałymi ustami.

– Widziałeś go? To znaczy od tamtej pory?

– Tak, stary, sprawdziłem, co i jak. Nie ma się czym martwić. Nieźle ostatnio wygląda, szczerze mówiąc.

Jego serce zwolniło.

– Okej. Dzięki. Doceniam, że się o niego zatroszczyłeś.

– Rodzina, stary. Odziedziczyliśmy go razem z tobą.

– Chyba możesz nas obu olać, skoro ja i Kat się rozeszliśmy.

Mick klepnął go w ramię.

– Nie pozbędziesz się nas tak łatwo. Jesteś wiecznym szwagrem, stary. Więc odrobiona kuzynowskiej rady. Warto, żebyś przypilnował Kat. Kręci się koło niej jeden z O'Brienów.

– Kurwa. Naprawdę?

– Tak. Walnąłbym go, ale sam rozumiesz. – Wsunął kciuki pod paski nosidełka.

– Masz dzieciaka.

– No, tak. Ale chodzi głównie o to, że Kat zrzędzi, kiedy robię takie rzeczy. Wciąż mi nie wybaczyła jednej przyjacielskiej pogawędki, którą kiedyś sobie ucieliśmy, ty i ja. Pamiętasz?

– Wspominam z rozrzewnieniem. Dzięki, muszę lecieć. – Kiedy już się odwracał, nagle poraziła go pewna myśl. – Ci gliniarze... byli miejscowi?

– Nie, dwóch gości z miasta.

– Zapamiętałeś, jak wyglądali?

Mick obrzucił go taksującym spojrzeniem.

– Duży gość i rudzielec, obaj w garniturach. Przyjechali na jeden dzień, wiem od Allie ze stacji benzynowej. Mógłbym dać ci znać, gdyby wrócili.

Siedem godzin jazdy tam i z powrotem. Albo Tedesco i McFarlane bardzo interesowali się telefonem Gary’ego do Antona, albo chodziło o więcej, niż mu powiedzieli.

– Dzięki, Mick. Jestem ci winien kolejkę.

– Nie ma o czym mówić, dopóki nie powiesz Kat, że cię wkurzyłem.

Znalazł ją pod supermarketem, rozmawiała z barczystym facetem pod czterdziestkę. Nie jakiś tam O’Brien, tylko Brad, największe gówno, jakie pływało w ich rodzinnym kiblu. Wszyscy czterej bracia lubili sobie pożartować, jak to dowalają Aborygenom, ale to właśnie Brad puszczał w ruch pięści. Ten palant nie powinien przebywać na tej samej planecie co Kat, a co dopiero z nią gadać.

Puścił się koślawym biegiem, ale Brad już się cofał, potrząsając głową nad czymś, co mu powiedziała. Zanim Caleb stanął u jej boku, drań był już w połowie jezdni, sunąc tym swoim osobliwym iksowatym krokiem.

– Wyluzuj i nie praw mi morałów – powiedziała. – Potrafię poradzić sobie z takimi jak on.

– Nigdy w to nie wątpiłem – odparł, kiedy już złapał oddech. – Co mu zrobiłaś?

– Uraczyłam go woogie boogie.

– Co to takiego woogie boogie?

– Przypadkowe dźwięki dochodzące z moich ust, ale przez kilka następnych dni będzie się macał po jajach. Gnojek. Za każdym razem, kiedy mnie widzi, podchodzi, żeby uciąć sobie ze mną miłą pogawędkę. Dlaczego to robi? Nie zauważył jeszcze, że

jestem czarna?

Jak na tak bystrą kobietę Kat była zaskakująco nieświadoma wrażenia, jakie robi na mężczyznach.

– Bo jesteś olśniewająca, Kat. Jasne, że chce z tobą gadać. Który mężczyzna by nie chciał?

Zapanowało pełne napięcia milczenie. Głupota powiedzieć coś takiego. Poważna wpadka.

– Dobra – oznajmiła w końcu. – Więc kutas przebija rasizm?

Westchnął.

– Kutas przebija wszystko. Omawialiśmy już to, Kat. Mężczyźni są nieskomplikowani, kierują nimi zwierzęce popędy. Nie przeceniaj nas.

– Wierz mi, rzadko mam z tym problem. – Spojrzała na butelkę wina. – Co kupiłeś? Pokazał, wykonując zamaszysty gest.

– Ze Sri Lanki? Odważny wybór.

Mimo wszystko się uśmiechała.

Powinien ją poprosić, żeby poszła z nim na kawę. Może nie. Tak, powinien. Jezu, jakby znów miał siedemnaście lat. Musiał poddać się intensywnej terapii i dostać porządnego kopa w tyłek od Gary’ego, nim zdołał namówić ją na randkę. Tyle że teraz to nie byłaby żadna randka. Po prostu dwoje dorosłych ludzi raczących się kofeinowym napojem.

– Więc? – spytała Kat. – Chcesz napić się kawy, zanim wrócimy do domu?



Joe’s Cafe była pusta, nie licząc wychudzonej kelnerki, która zignorowała ich, kiedy zmierzali w stronę stolika obok okna z koronkowymi firankami. Niebieskie obrusy i żółte ściany nie zmieniły się od czasu, gdy umówili się tu pierwszy raz. Co prawda, miało to niewiele wspólnego z randką: ryba z frytkami na plaży i gwałtowana ulewa, która zmusiła ich do poszukania schronienia. Znaleźli dwa ostatnie wolne miejsca

w tym lokalu. W obliczu ciekawskiego zainteresowania połowy populacji miasta i olśniewającego jak stuwatowa żarówka uśmiechu Kat oblał się zimnym potem i całkowicie stracił zdolność mówienia.

– Pamiętasz, jak tu przyszliśmy ten pierwszy raz? – spytała Kat. – Byłam taka zdenerwowana.

– Ty? Zdenerwowana?

– Żartujesz? Nie mogłam się zamknąć, trąkotałam bez końca, a ty siedziałeś spokojny i opanowany. I ten deszcz, przez który miałam splątane włosy.

Leżąc w łóżku, miał w zwyczaju przesuwać dłonią po jej ciemnych niczym melasa lokach. Ślizgały się między jego palcami jak jedwabne nici.

– Nie zauważyłaś, że byłem spocony?

Miał wrażenie, że teraz jego czoło jest trochę wilgotne – to prawdopodobnie długotrwały skutek choroby.

– Spocony? Byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Kto zauważyłby odrobinę potu? Co innego splątane włosy. Wszystkie te białe dziewczyny, które patrzyły na mnie wzrokiem mordercy i zastanawiały się, dlaczego umówiłeś się z tą czarnuchą, skoro mógłbyś chodzić z kimś, kto ma blond loki.

– Kocham twoje włosy.

I oto doczekał się – jej uśmiech. W tym momencie wszystko straciło znaczenie, ważne było jedynie to wygięcie warg. Ciepło zalało jego pierś. Dotknął czubka jej palca.

– Kat, ja...

Na stół padła smuga cienia. Oto doskonałe wyczucie chwili – sekret obsługi klienta. Kelnerka miała około dwudziestki, z daleka widać było jej zamiłowanie do piercingu – przekroczyła już granicę między modą a śmiesznością. Widział przez tunele w jej uszach tablicę ze specjalnościami dnia: ciasto i kawa. Sądząc po jej nieobecny wyrazie twarzy i braku zainteresowania ich miganiem, musi brać środki uspokajające, żeby przetrwać ciężki dzień.

– Podacoanstwu?

Nie spojrział jeszcze w menu, ale uznał, że im szybciej ta Morticia z rodziny Addamsów się oddali, tym lepiej.

– Ciasto dnia i czarna kawa, dziękuję.

Morticia nabazgrała coś w swoim notatniku i znowu się odezwała. Mnóstwo ruchów i manewrów językiem między zębami. Sepleni?

– Przepraszam, co to było?

Postukała długopisem.

– Smmmm, smmmm?

– Przepraszam, nie bardzo zrozumiałem...

– Smmm, smmm?

Kat z wielkim skupieniem wpatrywała się w obrus. Czuł na twarzy palący rumieniec. Jak brzmiało to ostatnie słowo – sweterka? Szmacianka? Śmietanka.

– Tak, ze śmietanką, dziękuję.

Ciężkie powieki Morticii uniosły się po raz pierwszy w sposób satysfakcjonujący; była jednak nieco zaskoczona. Mówił prawdopodobnie zbyt głośno. Trudno modulować natężenie głosu, mrugając jednocześnie, by pozbyć się potu, który spływał mu do oczu.

– Smmm?

– Tak – odparł, a raczej wyszeptał.

Wzruszyła ramionami i wymieniła jeszcze kilka spółgłosek szczelinowych z Kat, podczas gdy on zamieniał się w kałużę potu i dosłownie płynął.

– Hiszpanka – oznajmiła z westchnieniem Kat, kiedy dziewczyna się oddaliła.

To wyjaśniało sprawę; rzadko trafiał na osoby hiszpańskojęzyczne. Kat oderwała spojrzenie od kelnerki i popatrzyła na niego.

– Co? – spytał.

– Naprawdę chcesz śmietankę do kawy?

– Och. Kurwa. Myślałem... nie.

– Chcesz zmienić zamówienie?

– Nie, nie trzeba.

– Ja mogę to zrobić.

Po co się upiera?

– Jest okej.

Podniosła łyżeczkę i zaczęła przesuwać ją między palcami: szybko, wolno, szybko. Kat nigdy nie wykonuje bezsensownych ruchów. Kreatywne, owszem – tworzy małe ludziki z folii aluminiowej, ptaki orgiami z papierowych serwetek – ale nigdy nie porusza dłońmi bezmyślnie. Czekał, aż mu wyjaśni, co ją trapi. Albo i nie.

Odłożyła łyżeczkę.

– Wiesz, co powiedział mi kiedyś Brad O'Brien?

– Co?

– Że mogłabym uchodzić za kogoś innego.

Kutas o łasicowatej twarzy; miał ochotę go zabić.

– Nie za białą – uprzedziła. – Tak dobrze nie jest. Ale za kogoś mniej odrażającego niż Aborygenka. Może za Hinduskę albo Pakistankę. – Wsparła brodę na dłoni. – Myślisz, że powinnam? To mogłoby być mniej stresujące.

Palący kwas w krtani.

– Ja nie próbuję uchodzić za kogoś innego.

– Próbujesz za każdym razem, kiedy otwierasz usta.

– Żyję w świecie słyszących, Kat. Czego ode mnie oczekujesz? Że będę zmuszał innych do nauki języka migowego? Nawet moi rodzice się nim nie posługiwali.

– Nie, ale może powiedziałbyś coś w stylu: jestem głuchy i robię zdumiewającą rzecz, kiedy obserwując wasze usta, twarze i ciała, wychwytyuję prawdziwe zdania. Pomożecie mi, mówiąc trochę wolniej?

Ponownie napełnił szklankę wodą, poświęcając na to zbyt dużo czasu. Kat zacisnęła dłoń, potem sięgnęła po serwetkę – odwrócenie wzroku w środku rozmowy było skutecznym sposobem, by coś mu zarzucić. Spojrzał na nią.

Wygładziła serwetkę, którą przed chwilą zmięła w kulkę.

– Pytam szczerze.

– Dlaczego? Nigdy wcześniej się tym nie przejmowałaś.

– Zawsze się tym przejmowałam.

Zawsze. Zawsze się przejmowała.

– Bo to, co robię i jak to robię, nie jest niczyją sprawą, tylko moją.

– Ależ jest – powiedziała z zapalem, nachylając się nad stolikiem. – Nie rozumiesz?

To...

Zmusiła dłonie do bezruchu, kiedy Morticia zbliżyła się do nich ociężale i postawiła przed nim kawę: filiżankę tłustego brązowego płynu z plamą roztopiającej się śmietanki.

Kiedy odeszła, Kat ciągnęła:

– To dotyczy kelnerki, która nie rozumie, dlaczego jesteś taki zły, taksówkarzy, którzy nie wiedzą, dlaczego im nie odpowiadasz. I, co ważniejsze, to dotyczy ludzi, którzy cię kochają. Starasz się za wszelką cenę udawać, że jesteś normalny, więc nie potrafisz być przy nich taki, jaki jesteś naprawdę.

I przez te wszystkie lata sądził, że nie mogliby mieć już gorszej randki niż ta pierwsza. Co nie znaczy, że teraz są na randce – wydawało się to kurewsko oczywiste i przypominało bardziej przesłuchanie przez inkwizycję. Obdarcie żywcem ze skóry – nic prócz nagiego, płaczącego ciała.

Dotknęła jego dłoni.

– Nie atakuję cię.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz. Tak bardzo jesteś spięty, że ledwie oddychasz. Właśnie dlatego nigdy... Posłuchaj, nie potrafię tego odpowiednio wyrazić. Sądzę, że to, co udało ci się osiągnąć...

– ...tak jak tobie, choć jesteś czarna? Tak brzmi zakończenie tego zdania?

Jej oczy przypominały niebieskie lodowe szparki.

– To nie to samo.

– Niektórzy ludzie traktują ciemną skórę jak niepełnosprawność.

– Czy któryś z nich siedzi przy tym stole?

– Nie.

– To czemu miałabym się przejmować? Lubię siebie. Odczuwam głębokie zadowolenie, będąc taka, jaka jestem.

– Ja też jestem zadowolony, będąc sobą. To reszta świata ma problem. Włącznie z tobą, jak się wydaje.

Opuścił głowę, ale zdążył jeszcze usłyszeć, jak Kat szepcze: „kurwa”.

– Posłuchaj – powiedział. – Wiem, że jesteś tylko...

– Nie – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Przesadziłam. No dobrze, jak twoje ciasto? Tak niejadalne, jak wygląda?

Znów grzeczna i uprzejma Kat. To jest doprawdy niezwykle, jak kiepsko radzi sobie z życiem. Chciał coś powiedzieć, ale jej wzrok spoczął w tym momencie na czymś, co znajdowało się za jego plecami. W drzwiach pojawiły się właśnie dwie kobiety. Odwrócił się i spojrzał na tę młodszą; miała około trzydziestki, ale poruszała się jak osoba znacznie starsza, przygarbiona i wyczerpana. Żołądek podjechał mu do gardła, potem runął gwałtownie w dół – żona Gary’ego, Sharon.

13.

Kiedy ją objął, wydała mu się niezwykle krucha.

– Zatrzymałaś się u Michelle? – spytał.

Skinęła głową. Nie odpowiedziała na żaden z jego maili czy esemesów, ale domyślał się, że jest u starszej siostry. Nie uznał jej nagłego wyjazdu za tchórzostwo, to byłoby zbyt proste.

– Przepraszam, powinienem był się z tobą spotkać.

Upłynęła chwila, zanim dotarł do niej sens jego słów.

– Mnóstwo ludzi nas odwiedziło – powiedziała w końcu.

Michelle skinęła na nich.

– Chodźcie, usiądziemy razem.

Polecenie, nie zaproszenie.

Chwila niezręczności: ich dwoje naprzeciwko dwóch sióstr, on siedzący tyłem do światła. Sharon przycupnęła na krześle przygarbiona, kosmyki kasztanowych włosów opadały na zmęczone oczy, ale najbardziej poruszyła go jej nieruchoma poza. Zawsze była wyjątkowo dobrze zorganizowana i stanowiła centrum rodziny: nieodmiennie zajmowała się przyrządzaniem posiłków, szyła, pocieszała albo łajała. Nigdy wcześniej nie zauważył, by siedziała tak nieruchomo.

– Jak Nell i Cooper sobie radzą? – spytał.

Pięć lat i sześć: za mało, by zrozumieć, jak zmieniło się ich życie, zbyt wiele, by trwać w nieświadomości.

- Są... zagubieni.
- Pomogłoby, gdybym wpadł i zobaczył się z nimi?
- Może. Nie wiem.

Zamilkła.

Rzucił okiem na Kat i Michelle. Były zajęte rozmową: coś o planach i datach.

– ...pogrzebu, dopóki nie wydadzą jego ciała – mówiła Michelle. – Dłużej, jeśli zdecyduje się na kremację. Może około tygodnia.

Boże. Rozejrzał się, szukając wzrokiem kelnerki: im szybciej zamówię, tym szybciej skończy się ta mordęga. Znowu zniknęła. Da jej minutę, potem wybierze się na poszukiwania. Przywlecze ją siłą, jeśli będzie trzeba.

Kat trąciła go w nogę i wskazała dyskretnie na Michelle: patrz.

– ...Wydział Wewnętrzny. Można by pomyśleć, że Gary był przestępcą, a nie ofiarą. Facet powtarzał w kółko, że wiedzą o narkotykach i pieniądzach, i że powinniśmy im wszystko powiedzieć. Cały czas się uśmiechał, zarozumiały drań.

Cholerny McFarlane. Co on knuje?

Michelle spojrzała na niego.

- Pytał o ciebie i twojego brata. To prawda? Z tymi narkotykami?
- Wiesz, że Gaz nigdy by czegoś takiego nie zrobił.
- Wiem tylko, że mąż mojej siostry nie żyje, i to z powodu jakiejś idiotycznej sprawy, w którą go wplątałeś.

Jej usta przypominały cienką prostą linię.

Sharon poruszyła się po raz pierwszy.

– Gary nie zrobił nic złego. Mówiłam ci. To był Scott.

Wstrzymał oddech.

– Scott. Znasz Scotta?

Zamrugła niespiesznie powiekami, patrząc na niego.

– Nie, Gary mi o nim powiedział.

– Kiedy? Kiedy ci powiedział?

– Nie wiem, Cal. Mówiłam policji. – Uciekła spojrzeniem.

– Sharon, proszę, to ważne. – Zignorował mordercze spojrzenie Michelle. – Naprawdę ważne. Co ci Gary powiedział?

– Że ma kłopoty i że musimy tu na jakiś czas przyjechać. Zadzwoił do mnie do pracy. Zwykle tego nie robił.

– Co dokładnie powiedział? Zaczynij od samego początku. Siedzisz przy biurku, podnosisz telefon, a Gary mówi...

– Powiedział: „Wpakowałem nas w kłopoty, kotku. W coś złego. Weź dzieciaki i spotkaj się ze mną w Geelong. Musimy na jakiś czas wyjechać do Bay”. Nie chciałam się zgodzić. Mówiłam, że nigdzie nie pojedziemy w środku tygodnia, kiedy dzieci mają szkołę.

– Ale on się upierał. Co powiedział?

Sharon pokręciła głową.

– Nie wiem, Cal. Nie pamiętam.

Położył dłoń na jej chłodnej ręce.

– Zamknij oczy. Wyobraź sobie swój gabinet. Biurko i komputer, telefon, który trzymasz. Mówisz, że nie wyjedziesz, a Gary mówi...

– „Proszę, kotku, posłuchaj mnie. Dzieciaki nie są tu bezpieczne. Scott je zabije, jeśli się dowie”.

Jezu.

Michelle mówiła coś, wypluwała to z siebie.

– Martwisz się, słyszysz panikę w jego głosie i mówisz...

– „Jezu, Gary, co się dzieje? Kim jest Scott?” A on mówi... mówi: „Przepraszam, kochanie, nie martw się, załatwię to, wiem, z kim pogadać. Ale musisz na pewien czas wyjechać do Bay. Weź po prostu dzieciaki i spotkaj się ze mną w Geelong. Wszystko ci wyjaśnię. Kocham cię”. I rozłączył się. – Otworzyła oczy, po jej policzkach płynęły łzy. – Czekałam bez końca, ale się nie zjawił.

Michelle wstała.

– Wystarczy. Chodź, Sharon, wracamy do dzieci.

Chciał coś powiedzieć, ale Sharon już się podnosiła. Podszedł do niej i objął ją mocno. Przyjęła to niechętnie.

– Tak mi przykro – wyszeptał. – Przepraszam za wszystko.

– Będziesz szukał Scotta? – spytała, gdy uwolnił ją z uścisku.

– Tak.

– Dobrze. Cieszę się.

Wyraz jej twarzy miał w sobie tyle ekspresji, ile można zobaczyć u komentatora pogody.

Powiedział bezgłośnie do Kat: „zajmij ją”, a ona w odpowiedzi skinęła energicznie głową. Dostrzegł spojrzenie Michelle, odsunął się. Podążyła za nim bez wahania.

– Jesteś dumny z tego małego popisu?

– Próbuję ustalić, co się stało. Słyszałaś gliniarzy – starają się dowieść, że Gary był w coś zamieszany.

– Tak? Zastanawiam się, skąd ten pomysł. Nie wiem, co obaj kombinowaliście, ale lepiej, żebyś nie szargał jego dobrego imienia, by ocalić swoje.

– Chcę się rozejrzeć po jego domu, sprawdzić, czy policja czegoś nie przeoczyła. Masz zapasowe klucze?

Zerknęła na swoją torebkę.

– Nie.

– Mógłbym poprosić Sharon, ale nie chcę jej męczyć.

– Tak, tego byś nie chciał.

Milczał. Po chwili wyjęła z torebki pęk kluczy i podała mu je z gniewem.

– Wiesz, byłeś kiedyś małym słodkim dzieciakiem. Kiedy stałeś się takim kutasem?

Do kluczy dołączone były różne przybory: niebieski scyzoryk, długopis, latarka ledowa. Klucze Gary’ego. Caleb kpił sobie z niego co niemiara, a Gaz odpowiadał

w typowy dla siebie autoironiczny sposób: „Stary, nie ma sensu nosić przy sobie długopisu podczas apokalipsy zombie, jeśli nie masz latarki pozwalającej zobaczyć, co napisałeś”. Nie bronił jednak kiepskiego scyzoryka, co najwyżej mruknął, że zawiera jakiś „niesamowity element”. Pewnie coś równie irytującego jak wskaźnik laserowy.

Kat podeszła do nich.

– Sharon chce już iść. – Popatrzyła na klucze, potem spojrzała mu w oczy. – Wszystko w porządku?

Skinął głową.

– Dzięki – powiedział do Michelle. – Będę ostrożny.

– Ostrożny? Teraz, kiedy Gaz nie żyje, będziesz ostrożny? Wspaniale. Powiem dzieciakom, okej? Sharon i jej mamie. Jestem pewna, że znajdą w tym wielką pociechę, kiedy nie będą mogły zasnąć, myśląc o tym, jak krzyczał, gdy jakiś drań go rozpruwał. Jasne, wielka pieprzona pociecha.

Zarzuciła sobie torbę na ramię i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę Sharon.

Ostry ból: klucze Gary’ego parzyły go. Kat wsunęła palce w jego drugą dłoń i ścisnęła ją mocno.

14.

Powlókł się z powrotem do domu. Kat wciąż trzymała go za rękę.

„Scott je zabije, jeśli się dowie”.

Nic dziwnego, że esemes Gary’ego był taki paniczny: nie tylko jego życie było w niebezpieczeństwie, ale i jego rodziny.

„Scott je zabije, jeśli się dowie”.

Jeśli. Więc Scott nie wiedział wszystkiego... co wiedział Gary? Chodziło o jakieś dowody? O zdradę? McFarlane zdawał się skupiać na narkotykach. A może po prostu walił na chybił trafił. W dodatku celnie, jeśli w to wszystko zamieszany był Anton.

Już blisko domu, chwala Bogu. Nie dałby rady iść dalej. Tyle że Kat odsunie się od niego, jak już tam dotrą. Powinien się zatrzymać. Powinien wziąć ją w ramiona i pocałować.

– Powinieneś to zrobić.

Omiał się nie potknął.

– Co?

– Spotkać się z Antonem. Unikasz tego, od kiedy tu przyjechałeś, ale musisz się dowiedzieć, dlaczego Gary do niego zadzwonił. Musisz się dowiedzieć, czy był w to zamieszany.

Czekał, wiedząc, że jeszcze nie skończyła.

– Poza tym to twój brat. Kochasz go. Musisz z nim porozmawiać.

Nie odpowiedział. Kat nigdy nie rozumiała, że bracia to nie to samo co siostry.

Bracia mogą przez bardzo długi czas nie poddawać próbie wzajemnych relacji. Nawet przez całe życie, jeśli dopisze im szczęście.

Skrećili na podjazd i zauważyli Marię. Stała na taborecie, by przyciąć gałąź drzewa owocowego. Ubrana w granatową jedwabną koszulę i czarne spodnie wyglądała w typowy dla siebie sposób – jakby właśnie znalazła się w niewłaściwym miejscu, sprawiając jednocześnie wrażenie kogoś, kto całkowicie panuje nad sytuacją.

Ściągnęła ciemne brwi, kiedy podeszli bliżej.

– Wygląda jak wariatka – zauważył.

– Owszem – przyznała bez wahania Kat. – Coś ty z nią zrobił?

Popatrzył na sekator, który Maria trzymała w ręku, i uwolnił dłoń z palców Kat.

– Nie poruszasz się zbyt sprawnie – oznajmiła Maria, kiedy się do niej zbliżył. – Boli cię?

– Och. – Potrzebował chwili, żeby zrozumieć. – Trochę, sama wiesz.

Kiedy tak stała na taborecie, była tylko odrobinę wyższa od niego.

– Nie, Caleb, nie wiem i właśnie dlatego pytam.

Kat poruszyła gwałtownie głową. Zakasłała sucho.

– Jestem trochę zesztywniały – przyznał.

– Zesztywniały? Chodzisz, jakby ci siadł kręgosłup. Wejź do domu, zbadam cię.

Kat odpowiedziała na jego błagalne spojrzenie mdłym uśmiechem.

W sypialni Maria zerwała opatrunek z jego boku mocniej, niż wydawało się to konieczne.

– Mówiłam ci chyba, żebyś się przez tydzień nie przemęczał.

– To był tylko spacer.

– Wstałeś z łóżka dopiero dwadzieścia cztery godziny temu. Ta odgrywana przez ciebie rola nadczłowieka jest jeszcze bardziej wkurzająca niż kiedyś. – Wzięła termometr elektroniczny. – Aparat słuchowy.

Wyjął go po krótkiej chwili wahania. Robiąc to w jej obecności, czuł się obnażony,

ale i tak było to lepsze niż alternatywna metoda mierzenia temperatury.

– No, przynajmniej nie masz gorączki. – Zbadała mu puls. – Wyglądasz na zmęczonego. Wciąż masz problemy ze snaniem?

Z pewnością kończyła już te swoje zabiegi; musiała skupić się na ogrodzie, przestrzegać ścisłego rozkładu zajęć.

– Nic mi nie jest.

– Daleko ci do tego, Caleb. – Puściła jego nadgarstek i napisała coś na podkładce, którą trzymała obok łóżka. – Rozwazałeś pomoc psychologiczną? Mogę polecić ci kilku dobrych terapeutów.

– Doceniam to, ale naprawdę wszystko w porządku. Dzięki, Mario.

Słowa te w jego ustach brzmiały zbyt sucho, zbyt formalnie. Mówił pewnie jak prezenterzy wiadomości w BBC, których słuchał jego ojciec. „Jeśli chodzi o pozostałe informacje, Caleb jest wyjątkowo skrupowany, omawiając z teściową kwestie swojej psychiki”.

– Ta rozmowa cię krępuje? – spytała.

– Bardzo.

Cień uśmiechu. Odetchnęła, ale nic nie powiedziała. Maria wahająca się? Nie wróżyło to dobrze. Nowotwór. Koniec świata. Porada dotycząca związku uczuciowego.

– Czasem prawda może ludzi zranić – oznajmiła, po czym zamilkła.

A więc rak.

– Nie owijaj w bawełnę, Mario.

– Kathryn mi powiedziała, że badasz sprawę śmierci Gary’ego.

– Och. Tak.

– Jesteś bardzo zdeterminowanym człowiekiem. Nie wątpię, że skupisz się na śledztwie tak samo jak na wszystkim, co robisz. Nawet bardziej. Musisz jednak pamiętać, że masz do czynienia z życiem innych ludzi.

Jej rzucona ad hoc propozycja konsultacji psychologicznej nabrała nagle sensu.

– Słuchaj, Mario, wiesz coś o zabójstwie Gary’ego?

– Tylko to, co powiedziała mi Kathryn. Ale gdy jesteś lekarzem rodzinnym w małym miasteczku, po prostu wiesz o pewnych sprawach. Że młode małżeństwo kilka domów dalej martwi się eksmisją, i to nie bez powodu. Że sprzedawczyni w supermarkecie zamierza rozwieść się z mężem, a on nie ma o tym pojęcia. Wiesz to wszystko, ale nie możesz nikomu powiedzieć.

Jej słowa były jasne jak zwykle, ale potrzebował chwili, by zrozumieć, o co jej naprawdę chodzi.

– Co więc możesz mi powiedzieć?

– Że policjanci rozmawiali z Honey Kovac i są bardzo zadowoleni, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Gary’ego.

Honey Kovac. Żona Vince’a Kovaca, człowieka, w którego sprawie naciskał go McFarlane.

– Honey? Masz na myśli Vince’a... faceta, do którego Gary dzwonił w dniu, kiedy zginął?

– Vince podróżuje często w sprawach zawodowych. Był za granicą, kiedy Gary zadzwonił.

– Więc co Honey ma z tym wspólnego?

– Nic. To właśnie ci mówię. Dwa ostatnie lata były dla niej trudne, powinieneś uszanować jej prywatność.

Podrapał się po twarzy.

– Postawmy sprawę jasno. Mówisz mi, że nie muszę rozmawiać z Honey Kovac, ponieważ policja już ją przesłuchała i ustaliła, że kobieta nie jest zamieszana w zabójstwo Gary’ego.

– Właśnie. Cieszę się, że rozumiesz. – Uśmiechnęła się przelotnie i wyszła.

Odprowadził ją wzrokiem. O co tu chodzi, do diabła? Odtworzył w myślach całą rozmowę, a skutek był taki, że rozumiał jeszcze mniej. Zmęczenie, synapsy w jego mózgu nie odpalały. Nawet kości go bolały. Tak musi czuć się człowiek w podeszłym wieku. Usiadł na łóżku, ale zwalczył chęć, by zwinąć się w kłębek i spać przez tydzień. Najpierw fakty: Gary zadzwonił do Vince’a, Vince’a nie było, odebrała Honey.

Koniec, kropka. Tyle że najwyraźniej to nie koniec. Co wie o Honey Kovac? Niewiele: bystra, miła, dwadzieścia kilka lat, dziecko, może dwójka. Rdzenna Australijka, więc można z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że Kat wie o niej więcej. Miejsca społeczność Koori tworzy skomplikowaną sieć powiązań, którą ledwie mógł pojąć, ale którą Kat zna od podszewki. Zlitowała się kiedyś nad nim i nakreśliła diagram: ogromna płachta papieru wypełniona wielobarwnymi liniami i strzałkami. Nie pozostały mu w pamięci żadne szczegóły, ale przetrwał obraz porządku społecznego: najpierw rodzina, potem przyjaciel, na końcu outsider. Do której kategorii by go teraz zaliczyła? Skup się. Honey Kovac. Spytaj o nią Kat. A jeśli wspomni o ich rozmowie swojej matce? Niezręczne. Czy raczej przerażające.

Dźwignął się na nogi. Czas na dyskretną pogawędkę z Honey.



Adres Honey Kovac był łatwy do ustalenia, a znalezienie domu jeszcze łatwiejsze: stał mniej więcej naprzeciwko przychodni, w której przyjmowała Maria. Nietrudno zrozumieć, skąd wiedziała o wizycie policji. Jedna z typowych w Bay chat z bazaltu. Właściciele lokalnego kamieniołomu pod koniec lat osiemdziesiątych wzniesli dziesiątki podobnych z myślą o swoich pracownikach. Większość chat wciąż stała, ale sam kamieniołom przestał funkcjonować dwadzieścia lat wcześniej, pozostawiając po sobie stu bezrobotnych i zranioną ziemię, z której nic już nie wyrosło. Kiedy odwiedził ostatnim razem miasto, mówiło się o przekształceniu wyrobiska w turystyczną atrakcję. Niezbyt przemyślany plan. Podobnie jak stanie w tym miejscu na ogólnym widoku i czekanie, aż ktoś otworzy drzwi.

Klepięcie w ramię.

Niemal podskoczył.

Nie Maria; jakiś wiekowy mężczyzna o twarzy przypominającej wysuszony rodzynek. Mnóstwo brązowych elementów garderoby, wszystkie o trzy rozmiary za duże. Nazwisko. Nazwisko. Heraldson. Hanson. Henderson. Tak, Henderson.

– Witam, panie Henderson.

– Młody Caleb, tak? Gardło sobie zdzieralem. Nic dziwnego, że mnie nie słyszałeś.

Pan Henderson parsknął śmiechem. Albo wykaszlał płuco. Przycisnął do ust chusteczkę wątpliwej czystości i charknął.

Caleb odwrócił na chwilę wzrok.

– Szukam Honey Kovac. Orientuje się pan, czy jest w domu?

– Dlatego właśnie wrzeszczałem. Powiedziałem sobie: „Mój Boże, musi być chyba głuchy”.

Znów unosząca się spazmatycznie klatka piersiowa.

– Honey? – naciskał Caleb.

Pan Henderson wygrzebał z kieszeni płaszcza paczkę papierosów Benson and Hedges i podsunął mu. Caleb pokręcił głową.

– Mądry człowiek. Bardzo mądry. – Odczekał chwilę, by jeszcze raz charknąć i splunąć, potem zapalił. – Przed chwilą ją widziałem. Codzienny spacer dla zdrowia. Twoja teściowa tego pilnuje, sam rozumiesz. Przeróżająca kobieta.

Caleb zerknął w stronę przychodni.

– Gdzie pan widział Honey?

– Na placu zabaw. Była...

– Dzięki, panie Henderson – rzucił i umknął.

Znalazł Honey w niewielkim parku na końcu ulicy. Obok stał wózek, a ona bujała małego chłopca na huśtawce. Włosy zebrała w koński ogon i była ubrana w długą fioletoworóżową spódnicę i niebieski wełniany sweter. Niejaka odmiana w porównaniu z obcisłymi dzinsami i koszulkami do pępka, jakie zwykle nosiła. Trudne lata, o których wspominała Maria, wypisane miała na twarzy w postaci zmarszczek wokół ust i oczu, poza tym wydawała się za chuda jak na matkę na oko dziewięciomiesięcznego dziecka. Zachowała jednak ten sam nieśmiały uśmiech.

– Honey? – spytał, zbliżając się do niej.

– Zgadza się.

Nieznaczone zmarszczenie brwi. Lęk, że zachowuje się niezbyt grzecznie, nie

poznając go.

– Jestem Caleb. Mój brat Anton chodził z tobą do szkoły średniej, ale był dwie klasy wyżej.

Wyglądziło jej się czoło, kiedy zerknęła przelotnie na jego aparat słuchowy.

– Zgadza się. Od razu wydałeś mi się znajomy. Cześć.

– Mogę ci zadać kilka pytań? Okej?

– Pytań? Coś w rodzaju sondażu?

– Nie. Chodzi o ten telefon od Gary’ego, zanim zginął. Rozmawialiście. Wiem, że policja już cię o to pytała, ale może zechcesz o tym ze mną pogadać?

Huśtawka, którą bujała, zwolniła.

– Dlaczego? To była pomyłka.

– Pomyłka?

Spojrzała na wózek i poprawiła kocyk.

– Pośpij jeszcze, kochanie. Tak, Gary zadzwonił do mnie przez pomyłkę. Wybrał niewłaściwy numer.

– Z kim chciał się skontaktować?

– Ze swoją mamą.

– Aha. Rozmawialiście w ogóle?

Zacząła bujać wózek.

– Właściwie nie, tylko „cześć, jak tam rodzina”, tego rodzaju sprawy. Nie znałam go za dobrze, tyle co z przyjęć w pracy i podobnych imprez.

– Przyjęć w pracy?

– Tak, pracowałam razem z Sharon, zanim przenieśli się do Melbourne.

– Czy on...

– Słuchaj, muszę nakarmić małego. Jak już zacznie płakać, trudno go uspokoić.

– Jeszcze tylko kilka pytań.

– Byle szybko. – Odpięła starszego syna z huśtawki. – Idziemy do domu na obiad?

– Czy Gary chciał rozmawiać z Vince’em?

– Nie, mówiłam ci, chciał skontaktować się ze swoją mamą. Okej, poważnie, nie znoszę, kiedy płacze. Przepraszam, muszę lecieć.

Obróciła wózek.

– Jeszcze ostatnie pytanie. Czy Vince przyjaźni się z Antonem?

Pokręciła głową.

– Anton? Co on ma z tym wspólnego?

– Tylko się zastanawiam.

– Nie sądzę, by Vince... To znaczy, nie zrozum mnie źle, ale nie sądzę, by pochwalał to, co robi twój brat. Przepraszam, muszę iść. – Chwyciła starszego syna za rękę i oddaliła się zdecydowanym krokiem.

Caleb patrzył za nią. Szła tak szybko, że malec musiał biec, by dotrzymać jej kroku. Po prostu zmordowana mamusia zmierzająca do domu, żeby nakarmić dziecko. Dziecko, które spało głęboko, kiedy nakrywała je kocykiem.

15.

Obudził się gwałtownie ze snu, serce waliło mu jak młot, zewsząd napierała ciemność – 2.43. Długie, długie godziny, które trzeba przetrwać do świtu. Obrazy czające się pod powiekami, gotowe uderzyć brutalnie: zbryzgane krwią kafelki, puste oczy Gary’ego, pokryta ziemią twarz Frankie. Wciągnął dzinsy i poszedł do kuchni. Tęsknił za bieganiem. Pomyślał, że może pokona rano krótki dystans, delikatny jogging. Albo to, albo zacznie walić głową w coś twardego. Zapalił gaz pod czajnikiem i poszukał herbaty w torebkach. Mógł się tym zadowolić. Kat powiedziała, że tylko herbata liściasta zachowuje właściwości uspokajające, ale w tej chwili nie uległby zapewne mocy jej działania. Jego umysł powracał bezustannie do ostatnich godzin życia Gary’ego, który pakował w panice torby i przerwał to, żeby zadzwonić: do Kovaców i Antona. W pierwszym przypadku mogła to być pomyłka, ale telefon do Antona nie miał sensu. Nie do końca prawda – istnieje scenariusz, według którego ma to głęboki sens. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał się z tym zmierzyć. Później.

Pod sufitem błysnęło światło. W drzwiach stanęła Kat, jej włosy opadały na ramiona kaskadą loków. Miała na sobie długi podkoszulek z dowcipem rysunkowym na temat niewiarygodnie brzydkiej krowy i, sądząc po jego wyglądzie, nic więcej. Wziął głęboki oddech. Podeszła do kuchenki i wyłączyła gaz pod parującym czajnikiem. Gwizdał pewnie wściekle już od dłuższej chwili; wysokość dźwięku poza jego zasięgiem, nawet z aparatem słuchowym.

– Cholera, przepraszam.

– Naprawdę musimy coś zrobić, żebyś lepiej sypiał.

Ze zmierzwionymi włosami i długimi gołymi nogami wyglądała tak, jakby właśnie wyłoniła się z folderu turystycznego jakiegoś ciepłego i wulkanicznego regionu, obiecującego parne popołudnia i owoce egzotyczne. W powietrzu dało się wyczuć moc tropiku; było gęste i pachniało perfumami. Prawdopodobnie to efekt zwiększonej wilgotności z przegrzanego czajnika. Ziewnęła, jej piersi naparły na materiał podkoszulka. Skup się na niebieskiej krowie. Nie, kiepski pomysł. Przesunął spojrzenie na jej twarz.

– Przepraszam. Obudziłem cię?

Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek; jej wzrok wzburzył mu krew.

– Owszem.

Czy to było to, co podejrzewa? Nie, to tylko hormony zalewające mu mózg.

– Herbaty? – spytała.

– Należę.

Poruszyli się jednocześnie; otarł się o jej ciepłą od snu skórę. Wciągnął w nozdrza znajomy, przyprawiający o zawrót głowy zapach. Przeniknął go, sadowiąc się gdzieś nisko i uporczywie w jego kroczu. Znieruchomiała. Uderzenie serca, jedno, dwa, potem sięgnęła po kubki. Stało mu serce. Zdecydowanie nie miała nic pod podkoszulkiem. Odwróć wzrok. Popatrz na podłogę albo na ścianę. Nie patrz na jej szczupłe brązowe nogi. Nie wspominaj, jak cię oplatały. Nie wspominaj gładkości jej skóry, miękkiego ciężaru jej piersi.

Odwróciła się i dostrzegła kierunek jego spojrzenia. Chyba miała ochotę oderwać mu głowę. Albo inną część ciała.

Podawała mu herbatę.

– Ćwiczenia fizyczne zazwyczaj pomagają zasnąć.

Dobrze, bezpieczny temat. Nudny. Bezosobowy.

– Spróbuję jutro pobiegać.

Wydeła kapryśnie wargi, dmuchając na herbatę. Jego dzinsy skurczyły się jeszcze bardziej.

– Miałam na myśli dzisiejszy wieczór.

Nocny spacer po plaży. Z Kat. Blask księżycyca muskający jej ciało...

– Ja... – Odstawił kubek. – Chyba pójdę się położyć.

Też odstawiła swój i zbliżyła się do niego.

– Dobry pomysł. – Objęła go za szyję i pocałowała.

Smak herbaty i czegoś dzikiego i słodkiego. Poczul żar gwałtownego pożądania.

Odsunął się.

– Nie powinniśmy...

– Przestań gadać.

– Ja...

– Trudno cię zwykle zmusić do mówienia. A teraz nie mogę cię nakłonić, żebyś się przymknął.

Znowu go pocałowała, a z jego mózgu odpłynęły wszystkie myśli i większość krwi. Przyciągnął ją do siebie. Miękka skóra, gorąco, sól. Jakiś odległy głos podpowiadał mu, że lepiej, by dali spokój, bo będzie za późno. Chwycił ją mocno w ramiona i skierował się do sypialni, nie puszczając jej z objęć ani na chwilę.



– No, wreszcie się przymknąłeś.

Miał wrażenie, że jego ciało jest ciepłą galaretowatą substancją, pozbawioną mięśni i kości.

– To twoja nowa metoda? Stosujesz seksualne sztuczki, żeby postawić na swoim?

– Uhm. Zapewnia mi wspaniałą obsługę w sklepach.

– Wyobrażam sobie.

Uśmiechnęła się sennie.

– Jutro ci to zademonstruję.

Wtulila się w niego, opierając głowę na jego ramieniu. Po kilku sekundach jej

oddech zwolnił, rytm serca stał się miarowy. Przywarł ustami do jej czoła; czuł w oczach narastające ciepło, które spływało na policzki. Dom.

16.

Nazajutrz rano wrócili do jej sypialni na bis. Na kilka bisów. Zdecydowana poprawa, jeśli chodzi o jego wytrzymałość. Odnotował w pamięci, by włączyć do treningów seks.

– Doskonale – oznajmiła Kat. – Tak się powinno zaczynać dzień.

Leżała z nogami zgiętymi w kolanach, kreśląc palcem jakiś leniwy wzór na jego piersi.

Tak, doskonale. Zdumiewające, że seks uprawiany z kimś, kogo się kocha, pozwala spojrzeć na życie w zupełnie inny sposób. Świat budzący radość, uczucie dobroci wobec wszystkich ludzi. Podparł głowę poduszką, żeby patrzeć na Kat. Blask porannego słońca oświetlał łagodnie jej twarz, podkreślając kości policzkowe i wplatając bursztynowe refleksy w jej włosy.

– Boże, jaka jesteś piękna.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– W rzeczy samej. I jaka jeszcze?

– Skromna.

Ścisnęła mu sutek.

– Zabawna – powiedział. – Bystra, utalentowana.

– I?

Ukochana.

– Nienasycona.

Jej śmiech wywoływał wibracje w całym jego ciele.

– To coś poważnego z tym facetem? – Słowa mu się wymknęły, nim zdążył się zorientować, że pokazał je na palcach. Nie. Kiepskie posunięcie.

– Jakim facetem?

– Tym, z którym rozmawiałaś dwa dni temu przez telefon. W ogrodzie. Tak albo nie, szczegóły niepotrzebne.

– A, ten facet. Chcesz wiedzieć, jak się nazywa?

Chciał wiedzieć, gdzie mieszka.

– Jasne.

Przyłożyła zgięty palec do dłoni – R. Potem O i S. Miał rację, drań się nazywa Ross. Następnie postukała palec wskazujący – E. Rose.

Nagle złagodzenie bólu, jakby ktoś poluzował imadło.

Uważał, że wymawianie nazwisk i imion powinno być zakazane. Rose wygląda jak Ross, Matt wygląda jak Pat, Ian w ogóle nie przypomina niczego. Każdy powinien nosić miano migowe. Łatwo było zapamiętać jego własne CZ albo zorientować się, kim jest Czarnowłosa czy odnaleźć faceta zwanego Człowiekiem z Blizną. No i są imiona, które pragnie się pokazać na palcach tylko po to, by odczuć ich doskonałość. Jak na przykład Kat. Kiedy powiedział, jakie miano nadali jej jego głusi przyjaciele, jej twarz pojaśniała. „Powtórz”, poprosiła. Więc powtórzył. Dwa miękkie ruchy, naśladujące kocie wąsy: znak oznaczający panterę. Ilekroć to robił, na jej twarzy pojawiał się uśmiech.

Teraz też się uśmiechała.

– Co cię tak bawi?

– Ty. Dobrze. Więc twój brat... – Przycisnęła palec do rowka między brwiami. – Jeśli będziesz cały czas się uśmiechał, to już tak ci zostanie. W każdym razie Anton... Kochaj go bezwarunkowo, ale on nie jest do końca wiarygodny.

– A konkretnie?

– Gary był bystrym facetem. Wyobraźmy sobie przez chwilę, że prowadził

tajemnicze podwójne życie oszusta – dlaczego zdecydowałby się współpracować z kimś tak lekkomyślnym jak Anton?

Nie zdecydowałby się. Oczywiście, że nie. Anton byłby ostatnią osobą, z którą Gary chciałby współpracować.

– Masz rację – przyznał. – Więc dlaczego do niego zadzwonił?

– To szalony pomysł, ale może spróbujesz spytać Antona.

Odłożyć chwilowo zagadkę Kovaców na bok i pomyśleć o tym, do kogo Gary dzwonił tamtego dnia: rodzina, on, Frankie. Boi się, musi powiedzieć komuś o Scotcie, ale za chwilę wyruszy w drogę. Albo będzie martwy. Frankie nie odbiera, Caleb nie potrafi rozmawiać przez telefon. Lecz Anton tak. To idealny posłaniec: dostatecznie bliski, by mu zaufać, dostatecznie daleki, by nic mu nie groziło.

I dostatecznie przymulony, by zapomnieć o przekazaniu cholernej wiadomości.

Kamień spadł mu z serca. Wiadomość, nie jakaś podejrzana intryga.

Usiadł i pocałował Kat.

– Jesteś genialna. Zobaczę się z Antem.

Zaczął się ubierać.

– Chcesz dokądś uciec? Tam, gdzie jest ciepło?

– Więc nie Melbourne?

– Australia Zachodnia – odparła. – Albo Queensland. Mam nowe bikini, które chciałabym przymierzyć.

Znieruchomiał z włożonym do połowy podkoszulkiem: Kat w bikini na tle białego piasku.

– Pierwsze miejsce albo drugie. Oba.

– Jeśli wyjedziemy od razu, zdążymy na wieczorny lot.

Zdążymy. My: takie piękne słowo. Uniosło się z jej warg niczym błogosławieństwo.

– Nie mogę – odparł.

Wyjęła laptopa z szuflady nocnego stolika.

– Zastanawiam się nad Whitsundays. Mała wysepka. Tylko my dwoje.

Ani śladu ludzi, śmierci, noży, jedynie Kat u jego boku, zawsze na wyciągnięcie ręki.

– Nie mogę.

Przebiegła palcami po klawiaturze.

– Jest lot, dziś wieczorem. Wygląda na to, że są jeszcze wolne miejsca.

– Kat. – Dotknął jej dłoni, by przestała stukać gorączkowo w klawisze. – Nie mogę wyjechać. Dopóki nie znajdę Frankie.

– Szuka jej policja, Caleb. Co takiego możesz zrobić, czego policja nie może?

– Przejmować się.

– Nie znajdziesz jej dzięki temu. Dasz się tylko zabić. I nie będziesz nawet wiedział dlaczego.

– Nie zamierzam dać się...

– Przestań – powiedziała. – Nie waż się tego obiecywać.

To sprawiło, że pozostały tylko puste słowa. Ukląkł na łóżku i przyciągnął ją do siebie. Nie było już miękkości, a jedynie fizyczne zwarcie ciał.



Zmusił pochlebstwami starego garbusa do pokonania kilku kilometrów dzielących go od dawnej rodzinnej siedziby i zatrzymał się pod nią w kłębach czarnego dymu. Wyglądało na to, że dom trzyma się nieźle mimo zaniedbania ze strony Antona. Okapy wymagały malowania, a trawnik porastały czteroletnie chwasty, nie widać było jednak drastycznych oznak zniszczenia. Był to jednopiętrowy pudełkowaty budynek o zbyt dużej liczbie pokoi jak na rodzinę składającą się z czterech osób. Ivan Zelic sam położył większość tych cegieł, każąc synom pomagać w każdy weekend i w czasie wolnym po szkole. Calebowi miesiącami śniło się wchodzenie po drabinie. W górę i w dół, w górę i w dół, malując raz, potem jeszcze raz każdy centymetr kwadratowy, który Ivan uznał za niedoskonały.

„Jeśli to, co zrobiłeś najlepiej, nie jest dostatecznie dobre, postaraj się bardziej”.

Kiedy wysiadał z samochodu, otworzyły się drzwi w sąsiednim domu i na zewnątrz wyszła pani Naylor, szurając nogami; sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ani milimetra więcej, rzadkie siwe włosy. Za późno, by udawać, że jej nie zauważył. Za mało odwagi, by dać nogę.

– Młody Caleb. Mój Boże, całe wieki. Powiedziałam: CAŁE WIEKI!

Zbliżył się do jej ganku. Skurczyła się od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni, ale jej ogród jak zawsze miał postać nieskazitelnego kwadratu trawy. Pośrodku znajdowała się kamienna sadzawka, do której rzucając sobie nawzajem wyzwanie, sikali z Antonem. Punkty za wytrwałość i celność.

– Jak się pani miewa, pani Naylor?

– Och, dobrze, nie mogę narzekać. Powiedziałam: NIE MOGĘ NARZEKAĆ!

Jej wrzaskom towarzyszyły przesadne ruchy warg, zawsze przy nim tak robiła. Jako dziecko starał się jej za wszelką cenę unikać. Chyba że oddawał się akurat grze translatorskiej Antona.

„Powiedz jej, że wygląda jak goryl – pokazywał bratu na palcach. – I że pierdzi jak krowa”.

„Pani Naylor, Caleb mówi, że wygląda dziś pani pięknie”.

Punkty za wytrwałość i bezczelność.

– ...i tabletki, ale pogarsza się jej. Powiedziałam: POGARSZA SIĘ JEJ!

– Niedobrze.

– Davis Harrington mówiła, że widziała cię wczoraj w mieście z Kathryn. Znowu jesteście razem? Powiedziałam: ZNOWU JESTEŚCIE RAZEM?

– Nie.

– Szkoda. Powiedziałam: SZKODA! Nie lubię patrzeć, jak wy, młodzi, tak łatwo rezygnujecie z małżeństwa. Ja i Harold byliśmy ze sobą czterdzieści lat. CZTERDZIEŚCI LAT. Ale przypuszczam, że mieszane małżeństwa mają swoje problemy. Powiedziałam: TO MUSI BYĆ NIEŁATWE.

Trudno z tym dyskutować. Kat nie miała z nim łatwego życia. Konieczność nauki całkiem nowego języka migowego, żadnych koncertów ani dużych zgromadzeń, filmy tylko z napisami, poza tym...

– ...może tak jest lepiej. W końcu wasze dzieci byłyby mieszańcami, a to nigdy się nie sprawdza.

– Co?

– Powiedziałam: TO SIĘ NIGDY NIE SPRAWDZA W PRZYPADKU DZIE...

Pieprzyć to. Odszedł, zostawiając ją w połowie wyrzaskiwanego zdania.

Drzwi frontowe otworzyły się, zanim się do nich zbliżył, i zobaczył, jak Anton patrzy na niego zza zasłony długich brązowych włosów. Źrenice normalnej wielkości, ogolony, czysty. Przybrał nieco na wadze, chociaż wciąż był chudy.

Węzeł, który ścisnął mu żołądek, poluzował się.

– Cal. Ja pierdolę. No, to wyjaśnia te wrzaski. – Pomachał nad ramieniem Caleba. – Witam, pani Naylor. Cal mówi, że wygląda pani cudownie. Och, już jej nie ma. Od dawna jesteś w mieście? Chcesz tu zostać? Hej, superauto. Robisz teraz w pornobiznesie?

Wyłuskał z tego potoku słów rzeczywiste pytanie i odpowiedział.

– Nie zostaję, muszę po prostu czegoś się od ciebie dowiedzieć.

– Ty? Ode mnie? – Twarz Antona przypominała parodię spektaklu emocji: szoku, zaskoczenia, pokory. – Uczeń stał się mistrzem.

Skłonił się i otworzył drzwi szerzej; nieodmiennie klaun, nawet kiedy gnije od środka.

Caleb przystanął na progu. Spod ostrej woni dymu papierosowego przebijały nuty innych aromatów: środka do czyszczenia mebli, olejku eukaliptusowego, lawendy i wody White Linen. Dom wciąż tchnął zapachami dawno minionego życia rodzinnego.

Ruszył za Antonem w głąb szerokiego holu, ich kroki rozbrzmiewały głucho na płytkach terakoty. Puste pokoje po obu stronach, cienka warstwa nieruszanego kurzu. Ant, krążący w samotności po tym mauzoleum; nie mogło mu to pomagać.

– Pomyślałeś kiedykolwiek, żeby wziąć paru lokatorów?

Anton zatrzymał się przed nim.

– Potrzebujesz forsy? Radzę sobie, mogę ci trochę dać. Pracuję w wytwórni butelek.

Wytwórnia butelek. Współczynnik inteligencji dwa razy wyższy niż u niego, a pracuje w pieprzonej fabryce.

– Nie, tak się tylko zastanawiam.

W salonie było znacznie czystiej niż trzy lata wcześniej, kiedy zjawił się tu poprzednio. I bardziej pusto. Zniknął stół, podobnie jak stojący zegar. Jednak wszystkie szkolne dyplomy wciąż znajdowały się na swoim miejscu w oszklonej gablocie. Prawdopodobnie niewarte tego, by zastanawiać się w ogóle nad ich sprzedażą. Niejaka ironia losu, zważywszy na krwawy pot, który musiał przelać, by je zdobyć. Pianino też wciąż tu stało; przysadziste i swojskie, klawisze pożółkłe ze starości. Niewiele to dla niego znaczyło, ale dobrze, że Anton wciąż gra. Czy dom wchłania muzykę tak jak zapachy? Wszystkie te etiudy Szopena, które wygrywała ich matka. Przesunął dłonią po ścianie, ale nic nie poczuł.

Anton zaprowadził go na małą werandę na tyłach domu; wyglądało, jakby spędzał tu większość czasu. Mała sosnowa półka na książki i stolik do kawy z MDF-u, dwa brązowe pufy, przypominające wyglądem lwy morskie. Wystrój rodem ze sklepu z tanioczą. Ale czysto. Żadnych strzykawek czy spalonych łyżeczek, żadnych petów po skrętach w opróżnionych do połowy filiżankach. Nie zamierzał jednak otwierać jeszcze szampana; wszystkie te rekwizyty można było tu wcześniej znaleźć.

– Posadź tyłek – powiedział Ant, zagłębiając się w fotelu.

Caleb próbował naśladować swobodne ruchy brata, ale skończyło się na tym, że po chwili patrzył w sufit z kolanami na wysokości uszu.

Anton uśmiechnął się złośliwie.

– Nieźle ci poszło.

Wciąż mówił, nie pokazywał. W czasach dorastania, kiedy ojciec był akurat w pokoju, posługiwał się w obecności Caleba tylko głosem.

„Głupia błazenada to całe miganie. Mów, jak Bóg przykazał”.

– Naprawdę mi przykro z powodu Gaza – powiedział Anton. – Zamierzałem napisać, ale mail wydawał się bezosobowy, potem pomyślałem o liście, ale to z kolei wydało się zbyt formalne. W każdym razie jest mi przykro.

– Tak. Właśnie o Garym chcę z tobą pomówić. Próbuję ustalić, dlaczego go zamordowano. Gliny twierdzą, że był skorumpowany.

– Gaz? Nie ma mowy. Uczciwy do szpiku kości. Wiesz, zawsze mnie zdumiewało, że został policjantem. Nigdy nie wyobrażałem go sobie stojącego do walki z wielkimi gośćmi. Myślałem, że ty to zrobisz, zwłaszcza po tym, jak obroniłeś mnie przed Jasperem Hollowayem. I Benem Jardinem. I Steve'em O'Brienem.

Był przyzwyczajony do pokrętnych tłumaczeń Antona, ale to, co usłyszał, stanowiło dla niego coś nowego.

– Ja policjantem? Nie przyszło ci do głowy, że mógłbym mieć z tym problemy?

– No cóż, sądziłem wtedy, że odznaczasz się nadprzyrodzonymi mocami.

Zapomniał o tej supermańskiej fazie. Anton miał wtedy cztery lata, zaczytywał się w komiksach i był przekonany, że skoro Caleb poszedł do szkoły specjalnej, to musi odznaczać się czymś wyjątkowym. A on sam być może nie wyprowadził brata z błędu.

– Miałem nadzieję, że nauczysz mnie latać – wyznał Anton. – Ale nie miałem też nic przeciwko temu, żebyś był gliną. Wyobrażałem sobie, że pozwolisz mi użyć swojej broni.

– Tak, z pewnością by tak było. Słuchaj, kiedy Gary zadzwonił do ciebie w zeszłym tygodniu... czy przekazał ci jakąś wiadomość dla mnie?

– Gaz? – Anton rozejrzał się po pokoju, jakby się spodziewał, że go ujrzy. – Zadzwonił do mnie?

– Ant, nie żartuję, mówię poważnie. Co powiedział?

– Nie dzwonił do mnie.

Ciężar, który spadł mu wcześniej z serca, znowu się tam zagnieździł, sprawiając jeszcze bardziej dojmujący ból.

– Policja ma wykazy jego połączeń, Ant. Zadzwonił do ciebie na dwie godziny

przed śmiercią. Rozmawialiście przez ponad minutę.

– Och.

Nic z wyjątkiem zdumienia na jego twarzy. Lecz Anton był mistrzem w okazywaniu emocji: nie tknął tych pieniędzy, pastylki były od bólu głowy, trawkę przechowywał dla przyjaciela.

– Czy kombinowaliście coś razem? Sprzedawaliście coś?

– Chodzi o meble? Przepraszam, wiem, że powinienem cię spytać, ale sądziłem, że nie będziesz miał pretensji. I było to dwa lata temu. Próbowałem odkupić ten zegar, ale już go komuś sprzedano.

– Nie, Ant. Pytam, czy handlowaliście narkotykami.

– Handlowaliśmy? Ja i Gaz? – Anton skrzywił twarz w pełnym powątpiewania uśmiechu. – To ma być żart?

– Odpowiedz mi: handlowaliście narkotykami?

– Nie. Oczywiście, że nie. Nie handluję.

– Poszedłeś za to do więzienia, Anton.

– Jezu, Cal, to było wieki temu, miałem dziewiętnaście lat. I wszystko skończyło się na posiadaniu.

Nie odpowiedział.

– Jestem czysty – zapewnił Anton. – Jestem czysty od czternastu miesięcy. Nie patrz tak, Caleb. Słowo daję. – Wychylił się na swoim fotelu. – Chodzę na terapię, o której pisałem ci w mailach. Najgorsze już za mną, nie ryzykowałbym tego, handlując prochami.

– Policja uważa, że masz coś na sumieniu.

– O cholera, naprawdę? Kurwa. Przyszli tu dwa dni temu. Ale ja... jak by to powiedzieć... zignorowałem ich.

– Dlaczego?

– A jak myślisz? Bo nigdy nie dają mi spokoju. Za każdym razem, gdy ktoś włamuje się do jakiegoś domu albo sprzedaje trawkę, przychodzą do mnie. Cholera,

naprawdę myślą, że mam coś wspólnego ze śmiercią Gaza? – Dłonie Antona ugniatały nerwowo uda. – Nie mogę wrócić do więzienia, Cal.

Pojawiło się wspomnienie wychudzonego, roztrzęsionego wraka, jakim był jego brat po odsiedzeniu sześciu miesięcy.

– Nie dojdzie do tego. Powiedz policji to, co powiedziałeś mnie. Ale na zewnątrz, nie wpuszczaj gliniarzy do domu. Jeśli wezwą cię na komendę, zadzwoń do adwokata taty. Nic nie mów, dopóki tam nie przyjedzie. Nic. Nie proś nawet o szklankę wody. Zrozumiałeś?

– Trzymać gębę na kłódkę. – Wciąż ugniatał uda. – Ale wierzysz mi, prawda, Cal? To znaczy, nawet jeśli mnie uważasz za gnoja, to wiesz, że Gaz nim nie był.

– Nie uważam cię za gnoja, Ant. Tylko za palanta.

Anton uśmiechnął się, ale bez wielkiego przekonania.

– Akceptuję.

– Słuchaj, Gary tamtego wieczoru dzwonił też do Vince’a Kovaca. Domyślasz się dlaczego? Dobrze się znali?

– Vince. – Anton się skrzywił. – Można by przypuszczać, że Gary lepiej dobierał sobie przyjaciół. Z drugiej strony... – Zerknął na Caleba.

– O co chodzi? Co jest nie tak z Vince’em?

– Chyba nie widziałeś go ostatnio. Doznał kilka lat temu nawrócenia. Ze zwyczajnego sztywniaka stał się totalnym sztywniakiem.

– Ach. Domyślam się, że nie pałacie do siebie sympatią.

Anton uśmiechnął się lekko.

– Gdyby chciał ze mną rozmawiać, to tylko po to, żeby wypędzić ze mnie szatana.

– Okej, dzięki. – Caleb zaczął uwalniać się z uścisku ruchomego siedziska.

Anton zerwał się z miejsca.

– Może zostaniesz jeszcze chwilę? Mógłbym zamówić pizzę i... – Urwał. – Telefon. Hej, zaczekaj moment.

Chwycił słuchawkę leżącą na półce z książkami. Bezprzewodową, ze stacją

dokującą, z której mógłby wystartować boeing.

– Nie chcę pizzy, Ant.

– Zaczekaj. – Anton przyłożył słuchawkę do ucha, marszcząc w skupieniu czoło.

Caleb poczuł, jak wali mu serce – wiadomość.

– Od Gaza?

Anton opuścił słuchawkę, błyszczały mu oczy.

– Cholera, nigdy nie sprawdzam wiadomości. Wiesz... kto w ogóle je zostawia? Kto teraz w ogóle dzwoni na telefony stacjonarne? Nie wiem nawet, po co jeszcze taki trzymam. Cholera... trochę dziwne słyszeć jego głos.

– Anton, do kurwy nędzy.

– Tak, przepraszam. To Gaz. Pyta... pytał, czy może przywieźć tu Sharon i dzieciaki. I jeszcze coś, że nie chce jechać tam, gdzie wydaje się to oczywiste. Ma to sens?

Jak najbardziej. Ale nie przyszło mu to do głowy. Nie, on wybrał scenariusz „handel prochami: mój najlepszy przyjaciel i brat”. Niewykluczone w przypadku Antona, ale Gaz jako dzieciak nigdy nie zwędził niczego w barze mlecznym; to on krył Anta, kiedy ten chciał się wkręcić za darmo do kina, ale sam zawsze płacił za bilet.

– Tak. Ma sens. Słuchaj, musisz od razu iść z tym na policję. Dadzą ci spokój, gdy tylko to usłyszą.

– Dobry pomysł.

Twarz Antona straciła swój zwykły wyraz.

– Co jest? Dasz radę, no nie?

– Tak, jasne.

Wciąż nawet cienia emocji.

– Więc o co chodzi?

– O nic, nie jestem wielbicielem posterunków policji.

– Nie przymkną cię ani nic takiego. Powiedzą: „Dziękujemy panu” i pozwolą

wrócić do domu. Zadzwoń do adwokata, jeśli się boisz.

– Tak, to dobry pomysł. Zadzwonię do niego rano.

Cholera, Anton zamierza jak zwykle udawać strusia chowającego głowę w piasek. Pomyślał, że sam będzie musiał zawlec tam tego idiotę. Do budynku pełnego gliniarzy. Kurwa. Mimo wszystko jakie jest prawdopodobieństwo, że któryś z nich ma powiązania z Szarym?

– To ważne, Ant. Chodźmy teraz. Zabiorę cię...

– Nie trzeba, jutro pójdę.

Albo niech ten palant sam załatwi sprawę.

– Jak chcesz.

Zbliżyli się do drzwi wyjściowych w milczeniu. Anton zatrzymał się przed nimi, unikając jego wzroku.

– Cal... – Poklepał się po piersi, potem zsunął dłoń niżej i odsunął od siebie. – Chcę – postanowił przejść na język migowy.

– Ile? – spytał Caleb.

– Co? Nie, nie, nie potrzebuję pieniędzy. Na pewno nie chcesz zostać na drinka czy coś w tym rodzaju? Nie widzieliśmy się już jakiś czas.

– Może następnym razem. – Zatrzymał się na progu. – Zapomniałbym. Masz numer Scotta?

– Scotta? Jakiego Scotta?

Normalny kontakt wzrokowy, żadnych nieprawidłowości w oddechu.

– No wiesz... tego faceta, z którym Gary pracował. Powiedział, że go znasz.

– Przykro mi, ale nie, nie sędzę. – Twarz Antona wyraźnie pojaśniała. – Chcesz, żebym się rozpytał? Mógłbym zadzwonić tu i tam, sprawdzić, czy ktoś zna jego numer.

– Nie, w porządku. Dzięki. – Caleb szukał odpowiednich słów. – Przepraszam, że cię...

– ...oskarżyłem o to, że jestem mordercą i handlarzem narkotyków? – Anton wzruszył ramionami. – To ja upłynniłem tego bmxa, którego dostałeś na jedenaste

urodziny, więc sędzę, że jesteście kwita.

– To byłeś ty? Mały gnojek. Mama powiedziała, że go skradziono.

– Jak mówiłem, jesteście kwita.

– Daj znać, jeśli zmienisz zdanie w sprawie policji – dodał, kiedy Anton zaczął zamykać drzwi. – Jestem u Marii.

Czuł dziwną lekkość w stopach, zmierzając w stronę samochodu.

17.

Kiedy zajechał pod dom, Kat wybiegła mu na spotkanie. Boso na zwirowanym podjeździe, zdyszana, ściskając w dłoni komórkę.

Wyskoczył z wozu, jeszcze zanim silnik przestał jazgotać.

– Co się stało?

– To Frankie. Cała i zdrowa.

Nie, nie powiedziała tego. Widział po prostu to, co chciał wiedzieć.

– Frankie – powtórzyła, potem pokazała na palcach: FRANKIE.

Chwycił ją za rękę.

– Jest okej? W szpitalu?

– Mówi normalnie. Wciąż mam ją na linii.

– Czy ona...? Nie, czekaj, podaj jej swojego Skype'a, chcę z nią pogadać.

Kat skinęła głową, ale wyglądało na to, że pamięta jego wcześniejsze próby takich rozmów. Wbiegł do domu i zaczął szukać laptopa. Ani na stoliku nocnym, ani pod łóżkiem. Okrążył tydzień. Dlaczego zadzwoniła dopiero teraz? Co się stało? W kuchni też nie. Spróbuj w salonie. Straciła przytomność? Była zakładniczką? Zobaczył go, leżał na kanapie.

Kat, pochłonięta rozmową, weszła do pokoju.

– Tak, ja też jestem trochę zdziwiona.

– Podałaś jej swojego Skype'a? – spytał Caleb.

Skinęła głową i przycupnęła z podwiniętymi nogami na fotelu.

– Wiem, ale jest szansa, że się zmienił.

– Kat, rozłączysz się?

– Czekaj, zaczyna się denerwować. Tak, masz rację, wścieka się.

Wyrwał jej komórkę z dłoni.

– Rozłączam się. Przejdź od razu na Skype’a.

Frankie musiała być blisko komputera, ponieważ od razu zaczął migotać niebieski znaczek. Ekran wypełniła jej blada twarz: włosy przyklepione do czaszki, skóra jak sprany materiał. Zanikający żółtawy siniec pod okiem.

Ścisnęło go w krtani.

– Kurwa, Frankie. Wszystko w porządku? Wyglądasz koszmarnie.

Uśmiechnęła się posępnie i zaczęła szybko mówić.

– Trochę wolniej, Frankie.

Znowu się odezwała. Coś o kotle i garnku. Gotuje? Wciąż jest pijana? Potem zrozumiał: przyganiał kocioł garnkowi. Wolniej.

– Tak – odparł. – Trochę chorowałem. Wyjaśnię ci za chwilę. A ty? Co się stało?

– ...pojebaniec... dupek... pierdolony kutas...

– Przepraszam, możesz powtórzyć, Frankie? Trochę wolniej.

– ...kuchni... pojebaniec... dupek... w głowę... pierdolony kutas...

Wyczuwał napięcie, jakim emanowała Kat. Trzymała dłonie złączone, by nie wysunęły się błyskawicznie w stronę jego aparatu słuchowego.

Zwrócił się do niej.

– Umyka mi co drugie słowo. Mogłabyś...?

Jego twarz była tak spięta jak jej plecy.

– Pewnie.

– Jeszcze raz, Frankie. Kat mi pomoże.

– Wszystko w porządku – zaczęła tłumaczyć Kat. – Jestem tylko trochę posiniaczona. Jakiś kutas podkradł się do mnie od tyłu w pieprzonej kuchni. Pechowo

dla niego nauczyłam się od ciebie kilka sztuczek w stylu ninja – poczułam ruch powietrza, kiedy się zbliżał. Nawet się nie zastanawiałam, po prostu się odwróciłam i walnęłam go w łeb butelką. A jak padał, wpakowałam mu kolano w jaja.

Stosował taki sam styl walki jak pięćdziesięciosiedmioletnia kobieta. Wspaniale.

– Ale nic ci nie jest? Musiała się polać krew.

– Tak, nie zwał się na dobre za pierwszym razem, więc wyprowadził ze dwa ciosy, rozkwasił mi nos. Ale chwiał się już na nogach, więc z pomocą pani butelki załatwiłam go bez większych problemów.

– Nie miał noża?

– Nóża? Kurwa, nie. Dlaczego każesz mi to sobie wyobrażać? Jezu.

– Dobrze mu się przyjrzałaś?

– Tak, chudy mały pojebaniec, trochę chorowity z wyglądu.

– Chyba się z nim spotkałem. Nazywam go Szary.

– Tak? A ja nazywam go Cipa.

Zamrugał, nieco zdumiony translatorskimi umiejętnościami Kat.

– Gdzie się podziewałaś? Wariowałem z niepokoju. Nawet policja cię szuka.

– Cholera, naprawdę? Zatrzymałam się u starego kumpla z pijackich... no, u starego kumpla.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś, do licha?

– Dzwoniłam. Zapomniałam, że zgubiłam telefon. Przypomniałam sobie dopiero dziś rano, kiedy wróciłam do domu po swój i znalazłam ze dwadzieścia wiadomości z twojego nowego numeru.

– I nie przyszło ci do głowy zadzwonić jeszcze raz, kiedy nie odebrałem? Jezu, Frankie, robiłem w gacie ze strachu.

– Tak mi się wydawało, że będziesz wkurzony. Nie mam pretensji, sama jestem na siebie wściekła. Sześć cholernych lat. Ale dość o mnie, co działo się z tobą? Dlaczego jesteś w Bay? Pomijając oczywiste.

Zrelacjonował jej pokrótce wydarzenia minionego tygodnia. Kiedy skończył,

przesunęła dłonią po włosach, ale nie zdołała przywrócić im charakterystycznego dla nich nastroszenia.

– Jezu, wskoczę w pociąg i przyjadę do was.

– Nie. Zostań w Melbourne.

– Kurwa, daj spokój, Caleb. Nawaliłam, ale wychodzę na prostą. Nie piję od czterdziestu ośmiu godzin. – Miała niepokojąco błagalny wyraz twarzy.

– Nie ma sensu, żebyś tu przyjeżdżała. Ja wrócę. – W końcu. – Pozbieraj się spokojnie, potem pomyślimy, co dalej.

Spenetrował wzrokiem wewnątrz za jej plecami. Kiepska rycina australijskiego buszu, beżowe zasłony, beżowa narzuta na łóżku. Tani motel.

– Płacisz gotówką za pokój?

– Gotówką? Nie.

– Więc lepiej się stamtąd zabieraj.

– Stary, nie sądzisz, że to wszystko robi się trochę paranoiczne?

– Wiesz, co sądzę? Gary nie żyje, a my żyjemy tylko dlatego, że mamy cholerne szczęście, tamci są zbyt pewni siebie. Prześlij mi adres esemesem. Wkrótce pogadamy.

Wyciągnął rękę, żeby się rozłączyć.

– Cal... stary. – Jej usta poruszały się dostatecznie wolno, by mógł wychwycić słowa. – Przepraszam.

Powinien powiedzieć coś, co zabrzmiałoby jak wybaczenie. Jak uzdrowienie.

– Tak. Do zobaczenia.

Przerwał połączenie.

Frankie żyje i to jest najważniejsze. Żyje i nie oberwała za bardzo. Ale czy zachowa trzeźwość? Może od tej chwili należy działać samemu? Dobrze im się razem pracuje, ale nie jest mu nieodzownie potrzebna. Jasne, brakowałoby mu jej pomocy, ale mógłby to nadrobić, używając technologii. Nagrywać wszystko i spisywać, posługując się specjalnym programem komputerowym. A owocne dyskusje dwóch podobnie funkcjonujących umysłów? Czy istnieje jakiś program komputerowy, który może to

zastąpić?

Kat przyglądała mu się uważnie.

– Okej?

Czuł ulgę, wściekłość, euforię. Zdecydowanie wściekłość.

– Ulżyło mi.

Odczekała chwilę, zanim się odezwała:

– Co z Antonem? Jak poszło?

– Nieźle. Gaz zadzwonił do niego tylko po to, by spytać, czy może przywieźć tam Sharon z dziećmiakami.

– Och, wspaniale. Musimy to uczcić. Mam pysznego Earl Greya, który aż się prosi, żeby go zaparzyć.

Earl Grey, jej wybór na leniwy popołudniowy seks.

– Doskonały pomysł.

Wziął ją w ramiona i pocałował.

Przywarła do niego na chwilę, po czym wyswobodziła się z jego objęć.

– Najpierw praca. Sprawdźmy, czy są jeszcze wolne miejsca na ten wieczorny lot.

Whitsundays. Tak.

– To skąpe bikini?

– Skandalicznie skąpe. Ja zaparzę herbatę, a ty zarezerwuj bilety. Masz w komputerze otwartą stronę.

Zniknęła w kuchni, ruch jej bioder przywodził na myśl tango.

Bilety w jedną stronę, oto rozwiązanie. Schować się z Kat, dopóki wszystko się nie skończy. Może dłużej: mają półtora roku do nadrobienia. Położył laptopa na kolanach. Która strona? Otworzyła z pięćdziesiąt: agencje podróży, linie lotnicze, książka telefoniczna. Honey twierdziła, że Gary zadzwonił do niej przez pomyłkę. Wiarygodne, zwłaszcza w chwili paniki. Mimo wszystko dobrze jest zawsze sprawdzić szczegóły. Poszukał numeru Honey. Potem numeru matki Gary'ego – zgadzał się tylko

kierunkowy.

W drzwiach kuchni pojawiła się Kat.

– Udało się?

– Nie sprawdzałem jeszcze.

Jej uśmiech przygasł.

– Żebyśmy mieli jasność... To odpowiedni moment, abyś mi powiedział, czy nie naszły cię wątpliwości. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Jeśli chodzi o cokolwiek.

– Boże, nie. Jeśli chodzi o ciebie, nie mam nawet cienia wątpliwości. Po prostu coś mi nie daje spokoju. Znasz Honey Kovac?

– Jasne. Najmłodsza córka ciotki Vicky. Wiesz... żony kuzyna wuja Freda.

Drgnęła mu nerwowo powieka.

– Pewnie. Dobrze ją znasz?

– Nie za bardzo, ale widujemy się od czasu, jak straciłam... jak byłam w szpitalu. To ona przynosiła mi te wszystkie kwiaty.

Och.

Szpital. To znaczy po poronieniach. Nie uświadamiał sobie, że to była Honey.

Kat nie spuszczała z niego wzroku. Czekwała na coś. Pewnie na to, by przeszedł do rzeczy.

– Jaki jest Vince?

– Nawiedzony kaznodzieja. Biedne dzieciaki, nie wolno im popełnić najmniejszego błędu. Ani Honey. Straciła kilka ciąż po swojej pierwszej, a Vince uważa, że zapewnia jej wsparcie, cytując Stary Testament. Najwidoczniej według niego to była jej wina. Urodziła teraz, więc jest super.

Jej jasny uśmiech miał w sobie coś sztucznego.

Skierował rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Był kiedykolwiek zamieszany w jakieś lewe interesy?

– Vince? Nie, nawet przed swoim ponownym nawróceniem. Po co te wszystkie

pytania?

– Gary zadzwonił do jego domu w dniu swojej śmierci. Honey powiedziała, że przez pomyłkę.

– Po co więc całe to dochodzenie?

Właśnie: po co?

Wstał.

– Muszę coś sprawdzić. Wrócę za sekundę.

– Teraz?

Pocałował ją w czoło.

– Herbata nie zdąży nawet wystygnąć.



Honey otworzyła drzwi, trzymając dziecko na rękach. Miała na sobie szare dresowe spodnie i poplamiony jedzeniem podkoszulek, który już dawno utracił swój fason.

– Co tu robisz? – Spojrzała nad jego ramieniem na pustą ulicę. – Nie wolno ci tu być. Musisz już iść.

Chciała zatrzaskać drzwi, ale przytrzymał je dłonią.

– Wiem, że się boisz, ale nie przyszedłem, żeby ci sprawiać kłopoty.

– Już sprawiasz.

– Czy to Scotta się boisz?

– Scotta? Jakiego Scotta?

Odpowiedź nie taka, jakiej oczekiwał. I z tego, co zdążył dotąd zaobserwować, wiedział, że aktorstwo nie jest mocną stroną Honey.

Znowu penetrowała wzrokiem ulicę.

– No dobrze, wejdź.

Niemal deptała mu po piętach, zamykając drzwi. Z korytarza mógł zajrzeć do dwóch sypialni i salonu na tyłach. Wnętrze było niesamowicie czyste jak na dom z dwojgiem

dzieci. Honey nie zaprosiła go dalej, ale trochę się odprężyła.

– Pospiesz się – powiedziała. – I bez ciebie mam dość kłopotów.

– Z powodu Scotta?

– Nie wiem, kim jest Scott, ale Vince nie lubi, jak rozmawiam z ludźmi, kiedy go nie ma. Więc powiedz, czego chcesz, i odejź.

– Tylko jedno pytanie: Dlaczego Gary do ciebie zadzwonił?

Umknęła wzrokiem.

– Mówiłam ci już, to była pomyłka.

– Mógł zadzwonić do ciebie zamiast do matki tylko wtedy, gdyby zrobił to z zamkniętymi oczami. Zechcesz mi powiedzieć, dlaczego tu zatelefonował?

Zaczęła kołysać dziecko na rękę, ale tym razem nie mogła udawać, że mały płacze.

Zniżył głos.

– Możesz mi zaufać.

Ironiczny śmiech.

– Zaufać ci? Ledwie cię znam, niby dlaczego, u diabła, miałabym... Posłuchaj, powiedziałaś, co się stało. A teraz odejź, dobrze?

– Może nie znasz mnie, ale znasz Kat, prawda? Jest moją żoną. Moją byłą żoną.

Skrzywiła usta.

– Więc wydymałeś ciemnoskórą kobietę i odszedłeś. Nie przynosi ci to chwały, każdy białyś to potrafi. Wydymać i odejść, tak właśnie postępujecie.

Wypluwała każde słowo z jadem zrodzonym tylko z bólu. W głowie zaświtała mu myśl, kwaśna jak wymiociny.

– To ci się właśnie przytrafiło? Związałaś się z kimś, kto odszedł?

Szarpnęła gwałtownie głową.

– Nie!

– Z Garym?

– Nie możesz nikomu powiedzieć.

Zatem to prawda.

Chwyciła go za rękaw.

– Nie możesz nikomu powiedzieć. Obiecuj. Obiecuj, że nie powiesz. To zdarzyło się tylko raz. Byliśmy pijani, oboje tkwiliśmy w gównianych małżeństwach...

– Małżeństwo Gary’ego nie było gówniane.

Jej twarz znów przybrała twardy wyraz.

– No cóż, wobec tego chciał się tylko pieprzyć.

– I... – Starał się wyrazić jasno swoją myśl. – Telefon. O co chodziło? Wciąż się widywaliście?

– Nie! Chciał po prostu uprzedzić, że przyjeżdżają. Pragnął się chyba upewnić, że nie będę sprawiać kłopotów. Proszę, nie mów nikomu, bo Vince mnie wyrzuci. –

Przytuliła dziecko do piersi. – To było po przyjęciu gwiazdkowym, wypiliśmy i... Proszę, nie mów Vince’owi.

– Nie powiem.

Po jej policzkach spłynęły łzy.

– Myślę, że po tym naprawdę siebie znienawidził. Myślę, że mnie też.

Pokręcił głową.

– Nie. Gaz do nikogo nie żywił nienawiści.

Ale ten Gary, którego znał, nigdy nie przespałby się z inną kobietą. Zameżną kobietą. Odszukał po omacku klamkę i niczym ślepiec wyszedł na zewnątrz. Jak bardzo jeszcze myli się co do swojego przyjaciela?

18.

Patrzył na Kat przez okno, siedziała skoncentrowana z pochyloną głową, rysując przy kuchennym stole. Obok jej łokcia stały dwie filiżanki gorącej herbaty. Wiedział, że podniesie wzrok, kiedy on otworzy drzwi, zobaczy jego twarz i od razu się zorientuje, że coś jest nie tak. Przystanął, potem zawrócił w stronę ogrodu. A więc Gary zdradził Sharon. Zdarzyło się. Pijacki błąd, chwilowa utrata samokontroli. Na pewno od razu tego żałował. Do tego stopnia, że nie wspomniał o tym ani słowem.

Dostrzegł między drzewami błysk przytłumionej czerwieni. Coś metalicznego, tuż przy ziemi. Musi to być jedna z rzeźb Kat. Zszedł ze ścieżki i ruszył w tamtą stronę. Pomyślał, że przyda mu się teraz krótkie terapeutyczne spotkanie ze sztuką. Obszedł grządkę i zatrzymał się. Nie pojedyncza rzeźba, lecz dwie: sięgające jego bioder młode drzewka wykonane z zardzewiałej stali i eukaliptusa. Liście wykonane były z szarozielonej ceramiki, u góry ognista korona nowych pędów. Brąz. A więc tak to robi. Chciałby ją pocałować, taka jest bystra. Ale dlaczego ukryła je tutaj? Powinny stać na widoku w jakimś parku, sprawiać radość tysiącom ludzi. I nagle uderzyła go myśl: dwa małe drzewka, które nigdy nie miały stać się drzewami.

Zdawało się, że Kat świetnie sobie radziła po pierwszym poronieniu, trochę gorzej po drugim. Ale jednak... Co jednak? Wciąż nie wiedział. Czas wrócić spokojnie do domu i nie dać po sobie poznać, że je widział.

Otworzyła mu drzwi, kiedy szedł przez trawnik.

– Przepraszam – powiedział, stając przy niej. – Herbata pewnie wystygła. Zaparzę świeżą.

Ona jednak omijała go wzrokiem, patrząc w stronę drzewek. Wyraz jej twarzy się

zmienił, malująca się na niej bezbronność była niemal bolesna.

– Widziałeś je.

– Tak. Są piękne.

Stali przez chwilę, ale nie odsunęła się od drzwi.

– I? – spytała.

– Podobało mi się, jak zrobiłaś liście.

– I to wszystko? Nie zamierzasz powiedzieć nic więcej?

– No... Są... Co mam powiedzieć, Kat?

Cofnęła się i ta pustka, którą wyczuwał przelotnie w ciągu ostatniego tygodnia, znowu między nimi powstała. Mylił się jednak co do jej rozmiarów: nie była ogromna, lecz taka, którą można by wypełnić.

– Znasz biegle dwa języki, Caleb. Chodzisz raz w miesiącu na terapię i walczysz, by móc powiedzieć wszystko, co prawdopodobnie chcesz powiedzieć. Więc rozmawiaj ze mną.

Uniósł ręce, ale nie znajdowały słów.

– O co chodzi? – spytała. – O pieprzenie przez wzgląd na dawne czasy?

– Nie! Boże, nie.

– Więc o co? Myślałam, że się zmieniłeś, naprawdę tak myślałam... Ale ty nie chcesz rozmawiać ze mną o Garym ani o Antonie, ani o tym, co cię najwyraźniej zaniepokoiło, kiedy odwiedziłeś Honey. Nie chcesz rozmawiać ze mną o sobie. O nas.

– Wsunęła ku niemu dłoń. Pragnie czegoś. By przeprosił? Korzył się przed nią?

– Przykro mi.

Opuściła rękę.

– Wiesz, przez cały ten czas tęskniłam za tobą i zastanawiałam się, czy postąpiłam słusznie, odchodząc, ale zapomniałam, jak kurewsko samotne było nasze małżeństwo. Bo nigdy cię nie miałam całego, prawda? Ciebie rzeczywistego. Tylko niewielką cząstkę, którą byłeś gotów przede mną odsłonić.

– Zawsze mnie miałaś, Kat.

Stała bez ruchu, ale czuł, jak się wymyka.

– Całego mnie. Od kiedy się poznaliśmy.

– Nie mogę zrobić tego ponownie. Musisz odejść.

Zaczęła się odwracać.

– Kat, proszę. Kocham cię. Nigdy nie przestałem cię kochać.

– Wiem. Ale to za mało.



Wsiadł do garbusa. Żeby się przejechać i zastanowić. Jeśli jest po wszystkim, to chciał, by skończyło się inaczej – lepiej.

Nie może być po wszystkim.

Zatrzymał się na drodze dojazdowej do autostrady: w prawo w stronę miasta, w lewo w stronę Melbourne. Mógłby to zrobić, gdyby musiał – wrócić do swego jasnego i pozbawionego charakteru mieszkania. Zdarzało mu się to już wcześniej. W prawo czy w lewo? Ani tam, ani tam. Musi istnieć opcja C: zawrócić, wziąć Kat w ramiona i jakoś wynagrodzić jej wszystko.

„To za mało”.

Na wzniesieniu drogi ukazał się czarny suv, który z piskiem opon skręcił w jego stronę. O karoserię garbusa zastukał żwir, kiedy wóz przemknął obok. Patrzył za nim w lusterku wstecznym. Bmw. Miejski samochód, miejski kierowca, nieprzyzwyczajony do wiejskich dróg.

„To za mało”.

Wysyłała mu mnóstwo sygnałów ostrzegawczych, a on postanowił je po prostu ignorować. Nietrudno było zauważyć, że zawiódł; dziwił się, że cokolwiek osiągnął.

Chmura kurzu w lusterku narastała. Bmw zjechało z drogi? Nie, zmierza z powrotem w jego stronę. Wciąż jedzie za szybko, idiota. Przy takim tempie musi... Cholera. Wrzucił bieg. Za późno. Garbusa pchnęło do przodu. Zacisnął szczęki. Kurwa. Siedzi w biały dzień w pornomobilu. Jakim cudem facet go nie zauważył? Przelotny

obraz twarzy za zasłoną opadającego kurzu. Szerokiej, ze spłaszczonym nosem, ciemny siniec na bladym czole – Bokser.

Otwiera drzwi bmw.

Caleb wcisnął gaz do dechy. W lewo, na autostradę. Bokser już siedzi w wozie i pędzi za nim. Potrzebuje tylko kilkunastu sekund, żeby go wyprzedzić na otwartej szosie. Wykonać nawrót w stronę miasta? Nie, jest za wolny. Wybrać jeden ze skrętów w stronę plaży, próbować zgubić większy wóz na krętych traktach. Do jednego z nich trzydzieści metrów. Bmw już zbliża się do jego boku. Byłoby wspaniale, gdyby akurat teraz znaleźli się jacyś świadkowie. Pięć metrów do zjazdu na plażę. Cztery. Trzy. Szarpnął gwałtownie kierownicą, ledwie się wyrobił. Bokser podążał za nim. Objazd w lewo? Nie, dojechałby z powrotem do domu Marii. Czy Bokser wcześniej tam właśnie zmierzał? Koszmar, Kat otwierająca mu drzwi.

Gwałtowny wstrząs, szarpnięcie. Krew w ustach. Garbus skoczył do przodu, potem zwolnił. Cholera – silnik jest z tyłu, nie może już dłużej zмагаć się z czymś takim. Kolejny skręt. Niewiele więcej niż piaszczysty trakt, może być za wąski dla bmw. Może być za wąski dla garbusa. Zrób to. Obrócił kierownicą, wjechał w busz, potem z trudem wyprowadził auto na drogę. Czarny samochód zwolnił? Zatrzymał się? Dwadzieścia metrów z tyłu. Wygląda na to, że utknął między dwoma...

Kryształki szkła spadające na jego kolana. Wiatr prosto w twarz. Garbus skręcił w busz i stanął. Co, u diabła? Coś walnęło w karoserię. Pocisk. Bokser ma broń. Pieprzoną broń.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic. Bokser już wysiadł z wozu, idzie w jego stronę. Ciemny kształt w jego dłoni. Jeszcze jedna próba ze stacyjką, druga dłoń na desce rozdzielczej, by poczuć wibracje silnika. Zapalaj. Zapalaj, kurwa. Nic. Pchnął drzwi i popędził przez busz, gałęzie drzew herbacianych chłostały go po twarzy. Dotrzeć na plażę. Jeśli jest odpływ, to zdoła obejść klif do następnej zatoki. Już prawie. Z przodu wzbijający się w górę tuman piasku. Rzucił się na ziemię. Jezu, kurwa. Nie zatrzymuj się, ruchy, ruchy. Czołgał się po piachu, mięśnie zwarte w oczekiwaniu na uderzenie pocisku. Za krawędź wydmy. Zdobądź jakąś broń. Wodorosty, muszle, ani śladu pieprzonego kija. Posłuż się garścią piasku, jeśli będzie musiał. Nie zamierza leżeć

tutaj i zdychać jak pies. Tam – kawałek drewna wyrzuconego przez morze, dobry metr od niego. Wyczuwalne na piersi echo kroków. Rzucił się w stronę kija. Tuż nad nim zamajaczył cień; wywinął badyłem nisko i z całej siły. Bolesny prąd w kościach od zadanego ciosu i Bokser poturlał się w dół wydmy.

Za nim, piasek wciągał jego nogi. Bokser już się z trudem podnosił. Nie myśl, tylko uderzaj. Bokser gwałtownym ruchem wysunął rękę. Bolesny cios i pistolet wyleciał mu z dłoni. Skoczyli ku niemu jednocześnie, zsuwając się coraz niżej. Bokser obrócił się błyskawicznie w jego stronę, broń trzymał niezgrabnie w lewej dłoni. Caleb uskoczył w bok. Bang! Pióropusz piasku po lewej. Na plecy, silny kopniak w kolano przeciwnika. Mężczyzna upadł, zwalając się na niego całym ciężarem. Broń, gdzie jest broń?

Ostry cios pod żebra. Bokser stał; kopał go, deptał. Poczł własny wrzask, kiedy stopa bandyty zagłębiła się w jego pokiereszowanym boku. Zwinął się w kłębek, ręce chroniły instynktownie głowę. Dłonie myszkujące w kieszeniach. Opryskliwe pytanie, potem stopa znów wpakowana w żebra. Kolejny kopniak, potem jeszcze raz. Kolana podciągnięte do piersi; ból wszędzie, brak tchu, by krzyknąć. Próbował się przeturlać i zaliczył cios w kręgosłup. Przelotny dotyk czegoś twardego na piersi. Pistolet. Nagły ciężar unieruchomił mu ręce znajdujące się pod ciałem. Ostra woń dymu papierosowego, znowu gniewne pytania. Pauza, silne walnięcie w skroń. Wirowanie w mózgu. Wiedział, że już nie wstanie, jeśli oberwie tak ponownie. Ciężar uniósł się – Bokser stał, przygotowując się do kolejnego kopniaka. Broń, dorwać broń. Zaczął macać na oślep. Jest. Chwycił ją. Przekręcił się na plecy. Strzelił.

Hałas. Odrzut jak cios.

Otworzył oczy, nawet sobie nie uświadamiał, że je zamknął. Jasne niebo. Drobinki piasku przywierające do rzęs. Bokser leżał rozciągnięty na ziemi, jego dłonie próbowały rozpaczliwie dotknąć gardła. Spomiędzy palców tryskała jasnymi strugami krew. Caleb zdołał dźwignąć się na kolana, powietrze świstało mu w płucach. Przycisnął dłonie do papkowatej miazgi, w jaką zamieniła się szyja Boksera. Zmrużone oczy wpatrywały się w niego, dzikie i pełne paniki. Puls zanikał pod palcami, był coraz wolniejszy. Ciałem Boksera wstrząsnął długi, powolny dreszcz i po chwili wszystko

znieruchomiało.

Dłonie Caleba wciąż się zaciskały, nie mogąc się rozluźnić. Na nich krew. Jasnoczerwona, wciąż z dużą ilością tlenu. Czuł jej ciepło na swojej twarzy i szyi. W ustach. Odwrócił się i wymiotował gwałtownie. Smak miedzi i żółci. Strachu. Dźwignął się na nogi i powlókł ku morzu. Chłupot fal niczym charcząca krtań Boksera. Brodził w wodzie, zdzierając z siebie podkoszulek. Po skórze spływały czerwone strumyki. Jego krew, krew Boksera. Ciało wstrząsane szlochem. Osunął się na kolana i zapłakał.

19.

W końcu zimno zmusiło go do ruchu. Drżał na całym ciele, zęby szczękały mu tak gwałtownie, że skaleczył sobie wargę. Wstał, nogi się pod nim ugięły. Spróbował ponownie, zdołał się podnieść i wyjść z wody. Fale wyrzuciły jego podkoszulek na brzeg. Wierzył, że będzie czysty; słona woda spłukała krew. Zmusił się do tego, by go włożyć; przylgnął wilgotny do jego skóry. Ból przy każdym ruchu, kiedy wspinał się na wydmę, każdy oddech rozrywał mu płuca. Dalej, na szczyt. Jeden krok, potem następny. Dotrzeć do samochodu Boksera, odjechać. Gdzieś daleko stąd. Wreszcie wóz, wbity przodem w drzewo herbaciane, które zablokowało mu drogę. Otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł do środka.

Stacyjka bez kluczyka.

Oparł się o fotel.

Zimno. Tak zimno. Okrutne zmęczenie.

Wrócić i zabrać kluczyki Bokserowi. Zrób to.

Wrócił tam, skąd przyszedł, i zsunął się w dół wydmy, nagle jego stopa kopnęła coś – pistolet. Nie chciał go. Nigdy więcej w życiu nie chciał zobaczyć broni, ale nie mógł jej tak zostawić, żeby znalazły ją dzieci albo policja. Policja. Chryste, zabił człowieka. Nie. Później. Zajmie się tym później. Podniósł pistolet, zaskakująco ciężki. Nic nie wiedział o broni palnej. Ma bezpiecznik? Nic oczywistego. Zaczął przy niej majstrować i zdołał wyjąć magazynek, potem schował obie części do tylnej kieszeni dżinsów.

Ciało Boksera leżało rozciągnięte u podnóża wydmy, koszmarna ilość krwi barwiła

piasek na czarno. Nie patrz na jego twarz, na zmasakrowane gardło. Czując, jak przewraca mu się żołądek, pogrzebał w kieszeniach mężczyzny. Portfel. Zawahał się, potem wyjął prawo jazdy i schował je, nie rzuciwszy na nie nawet okiem. Żadnego kluczyka w pozostałych kieszeniach. Sprawdził jeszcze raz, potem przeszukał piasek. Nic, tylko muszle i twarde ziarenka piachu.

Dreszcze, teraz niepowstrzymane, do szpiku kości. Iście komiczny koniec – uniknąć kuli, ale dać się zabić przez wychłodzenie. Dżinsy i koszula Boksera były suche. Nie, za żadne skarby nie włożyłby zakrwawionego ubrania człowieka, którego właśnie zabił. Ruszył z powrotem do samochodu. Kiedy miał czternaście lat, przez krótki czas i niezbyt przekonująco próbował być złym chłopcem. Poniósł żalną klęskę, ale nauczył się podstawowych czynności potrzebnych przy kradzieży samochodów: wsadzić śrubokręt do stacyjki albo wyciągnąć spod deski rozdzielczej przewody. O ile trudniejsze może to być w nowoczesnym bmw niż w starym fordzie? Otworzył drzwi. O wiele trudniejsze. Żadnych przewodów na wierzchu, żadnej wskazówki, gdzie mogą się znajdować. Szukał to tu, to tam, aż mózg zaskoczył; współczesne wozy mają immobilizery. Nie ma sensu uruchamiać samochodu, jeśli nie da się nim jechać. Kurwa.

Wysiadł i zatrzasnął drzwi. Przystanął. Nie powinien czegoś usłyszeć? Choćby stłumionego łoskotu? Ponownie trzasnął drzwiami. Cisza. Jakby nie miał na uszach aparatu. Dostała się do niego woda morską? Zimny prysznic przerażenia: czy spowodował to wystrzał z broni palnej? Dalsze życie byłoby ciężkie, gdyby utracił resztki słuchu. Jeszcze cięższe. Nawet echa słów, strzępów głosu. Boże – mówienie bez jakiegokolwiek sprzężenia zwrotnego. Kat uważa, że ludzie i tak się na niego wkurzają, gdy mówi, więc nie mógł sobie wyobrazić, jak zareagują, gdy zacznie do nich wrzeszczeć monotonnym głosem.

Głupie, martwić się tym teraz. Krew na jego ubraniu, martwy człowiek na plaży. Najbliżej jest do domu Antona, tylko kilometr albo dwa. Poradzi sobie.

Ruszył przed siebie.



Wszedł z trudem po schodach i załomotał do drzwi. Dokuczały mu różne części ciała. Nie ostry ból wywołany napaścią fizyczną, ale głęboki, o chwytliwych mackach. Pojawił się wraz ze strachem, że może się nigdy nie skończyć, lecz tylko narastać. Jeśli Antona nie ma w domu albo, co bardziej prawdopodobne, nawalił się, będzie musiał się włamać.

Drzwi się otworzyły.

– No, wyglądasz jak gówno – skomentował Anton. – Dlaczego jesteś mokry?

– Chcę, żebyś do kogoś zadzwonił.

– Poczekaj. – Anton poklepał się po kieszeniach. – Muszę to zapisać. Doniosła chwila: drugi lipca, mój starszy brat prosi mnie o pomoc. W filmie moją rolę zagra jakiś młodszy Cary Grant.

Caleb przecisnął się obok niego i wszedł do środka.

– Natychmiast.



– Zechcesz wyjaśnić, dlaczego kąpałeś się w środku zimy? – spytał Anton, wykręcając numer komórki Kat.

– Za moment.

– Ty i Kat, hej? Myślisz, że znowu masz szansę?

Caleb objął się ramionami.

– Później. No i co, jest sygnał?

– Tak. – Anton ściągnął z siebie sweter i rzucił mu. – Włóż to, robi mi się zimno, jak na ciebie patrzę.

Naciągnął sweter na mokry podkoszulek. Wciąż mu dzwoniły zęby.

– Jest sygnał? Na pewno?

Anton zmarszczył czoło.

– Według ciebie sygnał oznacza połączenie? Kat, hej, tu Anton. Wiem, kopę lat. Jak

leci?

– Anton, do kurwy nędzy.

– Zaczekaj. Jest u mnie Cal, cholernie się czegoś wystraszył.

– Powiedz jej, że Bokser wie... że Bokser wiedział, że jestem w Bay.

Anton powtórzył jego słowa.

– Okej, bardzo się tym martwi. Chce wiedzieć, co się stało. No, to już jest nas dwoje. Hej, Cal, co jest grane?

– Powiedz jej, że wszystko w porządku, ale boję się, że facet wiedział, że zatrzymałem się u Marii. Muszą wyjechać, dopóki nie rozpowiem, że mnie tam już nie ma.

Anton przekazał wiadomość. Tym razem bez żartów.

– Mówi, że okej. Coś jeszcze?

– To wszystko, co powiedziała? Że okej?

– Powiedziała: „O, cholera. Okej”. Potem dodała: „Chce mi coś jeszcze powiedzieć?”.

– Powiedz jej, że mi przykro i że... Powiedz, że jak się to wszystko skończy, spróbuję... – odwrócił wzrok od pełnych współczucia oczu Antona. – Powiedz jej, że ją kocham i że mi przykro.

Boże.

Klepnięcie w ramię.

– Chce wiedzieć, dokąd jedziesz.

Grzecznościowe pytanie czy prośba, by udał się do niej? Czy to byłoby bezpieczne? Ile czasu potrzeba, zanim ktoś się zorientuje, że Bokser nie wraca? Trzygodzinna jazda do Melbourne, więc mają kilka godzin, nim któryś z jego kumpli podniesie alarm.

Pod warunkiem że jeden z nich już nie przebywa w Bay.

Chwycił Antona za ramię.

– Powiedz jej, żeby wyniosły się od razu.

– Powiedziałem, Cal. Uspokój się.

– Nie. Natychmiast, bezzwłocznie. Powiedz jej, że prawdopodobnie jest tu Szary. Żeby wsiadły do samochodu Marii i odjechały.

– Spotkasz się z nią?

– Boże, nie, jestem kurewsko toksyczny. Powiedz tylko, żeby się stamtąd zabierały.

Patrzył uważnie, by mieć pewność, że jego brat nie złagodził słów tej wiadomości.

Anton opuścił słuchawkę.

– Stary, ona chyba płacze. Może powinienem cię tam zawieźć, żebyście mogli pogadać osobiście.

– Rozłącz się. Musi opuścić dom.

– Nie rozłączę się. To byłoby totalnie gówniane. Jeśli chcecie dojść do porozumienia...

Caleb odebrał mu słuchawkę. Czerwony guzik mrugał, jakby ponaglał: kończyć, kończyć, kończyć. Wcisnął go.



Stał pod strumieniem gorącej wody, dopóki nie minęły dreszcze, potem włożył na siebie kilka rzeczy Antona: podkoszulek z długim rękawem, gruby sweter i czarne dżinsy. Trochę się zmartwił, że na niego pasują. Stracił więcej kilogramów, niż myślał.

Anton był w kuchni, grzebał w szafce. Odwrócił się, kiedy Caleb usiadł.

– ...ten... włączony?

– Przepraszam, co?

– ...?

Nie. Nie może już tego dłużej ciągnąć. Zamknął oczy. Coś trafiło go w klatkę piersiową i spadło na kolana: paczka zupy pomidorowej.

Anton stał obok szafki, ściskając w dłoni drugą.

– Jaki...?

– Co?

– Jaki... masz... pieprzony... problem?

– Mój aparat słuchowy nie działa.

– Więc? I tak ci niewiele pomagał.

– To trudne, Ant. To zawsze było trudne, ale teraz... nie mogę mówić.

Anton przeniósł spojrzenie z jego twarzy na dłoń.

– Chcesz coś do picia? – pokazał na palcach.

– Masz herbatę?

– Herbatę? Jezu. Mogę poszukać.

Anton krążył bezcelowo po kuchni, jak to on, ale Caleb wyczuł w nim coś nowego. Co to może być? Nieśmiertelne dzinsy i podniszczone adidasy, zwykły granatowy podkoszulek. Potem nagła myśl – krótkie rękawy. Upłynęły lata od czasu, kiedy widział nagie ręce Antona. Były blade i chude. I gładkie. Żadnego śladu po świeżych ukłuciuach. Nic po wierzchniej stronie dłoni czy między palcami, nic na szyi. Ale ma przecież żyły w innych częściach ciała. W stopach chociażby. Anton stał pośrodku kuchni z wyrazem twarzy „zadałem ci pytanie”.

– Chcesz zobaczyć? – pokazał.

– Co zobaczyć?

– Moje stopy. Przy okazji będziesz mógł obejrzeć też moje nogi.

– Nie trzeba.

Lecz Anton już ściągał skarpetki. Poruszył dużymi palcami stóp; wyglądały jak cienkie białe robaki.

– Czternaście i pół miesiąca – powiedział. Uśmiechał się z zaciśniętymi ustami, nie pokazując zębów – ten sam wyraz twarzy, z jakim pokazywał ojcu pracę domową.

– Wspaniale, Ant. – Nie, to wymagało czegoś więcej: czternaście i pół miesiąca – rekord pobity o pół roku, co do dnia. – Jestem z ciebie dumny.

– Niesamowite. Teraz mogę umrzeć szczęśliwy. – Jednak jego uśmiech z wyszczerzonymi zębami przeszedł w szeroki grymas. Zalał wrzątkiem dwie torebki

herbaty i postawił kubki na stole. – Herbata, dobry panie.

Caleb objął palcami ciepłe naczynie. Dopiero za drugim razem udało mu się unieść je do ust. Obolały na całego.

Anton przyglądał się jego wysiłkom i zapalił papierosa.

– Okej, wal.

– Zamierzasz też rzucić palenie?

Ant dmuchnął mu chmurą dymu w twarz.

– A ty zamierzasz unikać odpowiedzi?

Zadziwiająco, że potrafił palić i jednocześnie pokazywać. Niewielu ludzi może osiągnąć taką biegłość.

– Wpakowałem się w gówna z udziałem kilku przerażających facetów. Ma to związek ze śmiercią Gary’ego. Nie możesz powiedzieć nikomu, że tu jestem, okej?

– Jasne.

– Mówię poważnie, Ant. Nikomu. Ani glinom, ani przyjaciółom, ani jakimś gościom w pubie.

– Skapowałem, gęba na kłódkę. Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej.

– Tak, jestem trochę poobijany.

– A jak ten drugi facet? Bokser, zgadza się?

Obwisła twarz i puste oczy. Pierwsze oznaki rozkładu.

– On też jest... trochę poobijany.

Był taki ostrożny. Kto wiedział, że tutaj przebywa? Sharon, jej siostra, Mick... Kogo on oszukuje? Wszyscy w mieście wiedzieli o jego obecności, gdy tylko przeszedł się z Kat po Bay Road. Ale żeby ktoś zadzwonił do Scotta, musiał Scotta znać. Może chodzi o jakiś elektroniczny ślad, którego nie wziął pod uwagę. Jego nowy telefon? Ma go niespełna od tygodnia i pilnował, by nie dzwonić z niego do Tedesca, ale przecież musiał posłużyć się dokumentem tożsamości, żeby go kupić. Wyjął go z kieszeni i wyłączył, usunął też na wszelki wypadek baterię. Z wnętrza wylała się woda. Kolejny telefon, który przepadł – zaczynało to przypominać jakąś czarną serię.

Podniósł wzrok i zauważył, że Anton przygląda mu się z uwagą.

– Co robisz?

– Zachowuję się paranoicznie. Słuchaj, masz jeszcze tę starą toyotę taty?

– A co nie tak z twoim pornowozem?

– Należy do Kat. I nie jest na chodzie.

Anton się roześmiał.

– Musisz być zachwycony, kiedy cię nim obwozi. No a toyota wciąż stoi na tyłach domu. Jest twoja, jeśli chcesz. Choć niewykluczone, że nie nadaje się do jazdy. I właśnie przyszło mi do głowy, że nie jest nawet zarejestrowana.

– Najważniejsze, żeby była na chodzie. – Podniósł się z wysiłkiem.

– Co, już się zbierasz? Nie wyglądasz na kogoś, kto da radę prowadzić. Może przenocujesz i wyjedziesz rano?

Wybrać jeden z wolnych pokoi i zwinąć się w żałosny kłębek. Ale gdyby się teraz zatrzymał, mógłby się nigdy więcej nie podnieść.

– Nie. Muszę ruszać.

Anton zgasił papierosa.

– Prześlij mi wiadomość, abym wiedział, że nie owinąłeś się samochodem wokół jakiegoś słupa, okej?

– Telefon nie działa.

– Więc kup drugi.

– Dobra.

– Poważnie. Kup go dziś wieczorem i daj mi znać.

Wziął go w swoje chude ramiona. Dziwna chwila, minęły lata, od kiedy tak się obejmowali. Ant poklepał go mocno po plecach, potem puścił, pozostawiając po sobie obłok nikotynowego oddechu.

Caleb pomachał dłonią.

– Cuchniesz jak pieprzona popielniczka, Ant.

Anton zmarszczył brwi.

– Panie się nigdy nie skarżą.

Bokser też śmierdział dymem. Pewnie zatrzymał się w mieście na papierosa, zanim wyruszył, by zabić. Miasto. Wymaga to sprawdzenia: dlaczego Bokser przyjechał od strony Resurrection Bay, a nie Melbourne? Co tam robił? Szukał go? Rozmawiał z kimś?

– Powiedziałeś komuś, że tu jestem?

Anton wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się. Dlaczego pytasz?

– Albo wspomniałeś o samochodzie Kat?

– Po co miałbym wspominać o jej...? Och, tak, to samochód wart wspomnienia, ale nie, nie miałem okazji. Widziałem go tylko dziś rano.

– Nie jestem obłąkany, po prostu muszę wiedzieć.

– Dlaczego miałbyś być obłąkany? Ach. – Twarz Antona jakby skamieniała. – Wciąż uważasz, że mam coś wspólnego ze śmiercią Gary'ego.

– Nie. Próbuję tylko wykombinować, co się stało. Jeśli napomknąłeś komuś, że tu jestem, to ten ktoś mógł pogadać ze Scottem.

– Scottem? Tym facetem, o którego numer mnie pytałeś? – Grymas na twarzy Antona zniknął pod bladym uśmiechem. – Och, kapuję. Prośba o numer jego telefonu była małym sprawdzianem. Sprytne, zapomniałem, jaki jesteś cwany. Więc Scott to ten gość, który zabił Gaza? A ty sądzisz, że robiłem z nim interesy? Że mu powiedziałem, jak cię znaleźć? Nieźle.

– Próbuję tylko...

– ...wykombinować, czy pomagam komuś, kto chce cię zabić. Tak, kapuję... – Usiadł i wyjął z paczki kolejnego papierosa. Zapalił dopiero za którymś razem. – Kluczyki do samochodu są przy drzwiach frontowych. Jestem pewien, że sam trafisz do wyjścia.

– Ant, daj spokój. O nic cię nie oskarżam.

– Jasne. – Wypuścił chmurę dymu w stronę sufitu. – Do zobaczenia za kolejne trzy lata.

20.

Leżał z zaciśniętymi powiekami, dopóki potrzeba opróżnienia pęcherza nie zmusiła go do wstania z łóżka. Krótka pauza, żeby ciało przywykło do pozycji wyprostowanej. Pokój w motelu wyglądał gorzej niż poprzedniej nocy: zapadający się sufit i pokryte pleśnią ściany, na podłodze coś, co niegdyś było dywanem. Powlókł się do łazienki. Sam nie wyglądał lepiej. Nieogolony, zaczerwienione oczy, sińce. Na jego kończynach i brzuchu widniały wielkie ciemne placki, także na plecach; czuł je. Nawet organy wewnętrzne wydawały mu się posiniaczone. Czy to możliwe? Próbując się wysikać, doszedł do wniosku, że tak. Choć ani śladu krwi w moczu. To zapewne dobry znak.

Spryskał twarz wodą, potem stał przez chwilę. Zanim dowlóknął się poprzedniej nocy do łóżka, wyczyścił aparat słuchowy i zostawił baterie na wierzchu, żeby wyschły. Czas sprawdzić urządzenie. Oczyścił je jeszcze raz, zwiększył głośność i, gdy nie miał już żadnego powodu, by dłużej zwlekać, klasnął w dłonie. Nic. Okej, pewnie zbyt cicho. Ile, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt decybeli? Może nawet mniej. Potrzebuje czegoś, co wyda głośniejsze dźwięki. Przetrzęsnał szafkę pod umywalką i znalazł klucz francuski. Zważył go w dłoni. Porządny i solidny, ale to nie powód do niepokoju, jeśli nie usłyszy i tego odgłosu uderzenia. Istnieje mnóstwo powodów, dla których jego aparat przestał działać: słona woda, słabe baterie, coś innego, co w tej konkretnej chwili nie przychodzi mu do głowy. Więc zrób to, kurwa. Walnął kluczem o umywalkę, w twarz poleciały jej odłamki. Cisza. Zamrugał gwałtownie: to tylko drobinki ceramiki, które wywołały jego łzy.



Frankie zmrużyła powieki, otwierając drzwi pokoju w motelu.

– Chryste, która godzina?

Miała na sobie grube wełniane skarpety, czarny sweter i różową piżamę z wyhaftowanymi kociętami.

Z trudem oderwał od nich wzrok.

– Mogę wejść?

Ziewnęła i zaprosiła go gestem do środka, potem zapaliła światło. Żadnych opróżnionych butelek, tylko zapach odświeżacza o sosnowej woni i wczorajszej pizzy. Wykorzystywała bez wątpienia jedno z łóżek jako biurko. Drugie wyglądało tak, jakby ćwiczyła na nim zapasy: stos pościeli na podłodze, prześcieradło ściągnięte z materaca do połowy.

– Nie sypiasz za dobrze? – spytał.

– Nie wtedy, kiedy walisz do drzwi. – Osunęła się na łóżko i znów ziewnęła. – Co... nadzwyczajna... w każdym razie?

– Przepraszam, co?

– Co to za nadzwyczajna sprawa?

– Żadna, po prostu nie mogłem zasnąć.

– Ja... wiadomość... mogłeś?

– Przepraszam?

Pokręciła głową.

– Działa ci mózgowica?

– Potrzebuję nowych baterii do swojego aparatu. Musisz mówić wolniej, dopóki ich nie zdobędę. – Uniknął jej wzroku, przesuwając papiery na łóżku-biurku. Spojrzał na wierzchnią kartkę, kiedy siadał. – Szukałaś czegoś na pracowników magazynu?

– Tak. Nic ciekawego. No dobra, powiedz, o co chodzi. Wyglądasz jak kupa nieszczęścia. Dowiedziałeś się, że Gary był skorumpowany czy coś w tym rodzaju?

Skrzywił się bezwiednie.

Uniosła brwi.

– Żartujesz? Ten święty Gary?

– Nie, nic podobnego, ale niewykluczone, że mógł... Dowiedziałem się, że miał romans.

– Więc teraz się zastanawiasz, jak dobrze go znałeś. – Przyglądała się badawczo jego twarzy. – Gdzie tak oberwałeś?

Opowiedział jej wszystko. Z początku mówił powoli, potem z jego ust popłynął nieskładny potok słów: broń, walka, makabryczna śmierć Boksera. Kiedy skończył, popatrzyła na niego bez słowa.

– Okej, więc... – Przesunęła dłonią po włosach. – Kurwa. Dobrze się czujesz?

– Wspaniale.

– No tak, mogę sobie wyobrazić. Jezu. Zgłosiłeś to komuś?

– Nie. Myślisz, że powinienem?

– Boże, to ostatnia rzecz, jaką powinieneś zrobić. Choć może należałoby skontaktować się z twoim kumplem Tedesco. Nie po to, żeby przekazać mu jakiegokolwiek szczegóły, tylko by powiedzieć, że jeden z ludzi Scotta cię znalazł.

– Dlaczego?

– Ponieważ potrzebujemy przyjaciół na wysokim szczeblu, a on ten warunek w tej chwili spełnia. Czy, no... czy ciało wciąż się tam znajduje?

Odsunął od siebie obraz przesiąkniętego krwią piasku.

– Tak.

– Okej, przekażę anonimowe zgłoszenie. Lepiej, żeby nie znaleźli go jacyś dziesięcioletni chłopcy. Nie, moment, nie chcę, żeby na taśmie był nagrany mój głos. Wyślę to z kawiarenki internetowej.

Frankie w swoim praktycznym żywiolu: było to pocieszające i jednocześnie niepokojące. Przypomniał ją sobie jako policjantkę. Zaszłaby wysoko, gdyby potrafiła panować nad swoją słabością.

– Wiesz, jak cię wytropili? – spytała.

– Nie.

Podniosła rękę.

– Moment. Masz rozbiegane oczy. Spróbujmy jeszcze raz: czy wydaje ci się, że wiesz, jak cię wytropili?

– Jasne. Mam dziesiątki teorii. Mogli wpaść na mój trop dzięki komórce albo receptom, które wypisywała mi Maria. Mogłem coś chlapanąć Tedesco, ktoś w mieście mógł powiedzieć coś Scottowi.

– Przez tego kogoś rozumiesz swojego brata?

Strzał w dziesiątkę.

– Nie sędzę. Ma pracę, jest czysty. A nigdy tak długo czysty nie był. I ten telefon od Gaza... Wszystko się potwierdziło. Pytał, czy może przywieźć do niego rodzinę.

– Skąd wiesz?

– Co?

– Skąd wiesz, że Gary dzwonił do niego?

– Bo zostawił Antonowi wiadomość na poczcie głosowej.

– I odsłuchałeś ją?

– Nie, nie odsłuchałem, kurwa. Jeśli się okaże, że Ant jest zamieszany w coś głupiego, nie będę specjalnie zszokowany, ale nie zrobiłby nic, żeby rozmyślnie mnie skrzywdzić. Wszystko w jego przypadku sprowadza się do niezamierzonych konsekwencji.

– Pewnie znasz go lepiej ode mnie. – Stłumiła kolejne ziewnięcie. – Nie potrafię myśleć jasno w takim stanie. Rozgość się, a ja idę do łazienki.

Usiadł na łóżku i zaczął przeglądać notatki, podczas gdy ona brała najdłuższy prysznic w historii zachodniej cywilizacji. Zrobiła mnóstwo w ciągu jednego dnia, ale wszystko to nie wносиło nic nowego do sprawy: informacje na temat ludzi, którzy w sposób oczywisty nie byli z nią związani, dokumentacja dotycząca podobnych do siebie kradzieży papierosów i włamań do magazynów. Miał nieodparte wrażenie, że chodziło jej o to, by go zadowolić.

W końcu się pojawiła, bardziej podobna do siebie, ze świeżo wyżełowanymi włosami, w dzinsach i skórzanej kurtce.

– Żadnych różowych kociąt? – spytał.

– Odwal się, tylko to było w sklepie. – Popatrzyła na kartki w jego dłoni. – Czy coś wydaje ci się interesujące?

– Nie. Ale dobrze, że to wszystko zrobiłaś.

– Dasz mi złoty medal?

Odebrała mu papiery i schowała do walizki. Przyglądał się, jak zbiera swoje rzeczy rozrzucone po całym pokoju. Pewne dłonie, ani śladu potu. Trochę zmęczona, ale ogólnie wyglądała znacznie lepiej niż tamtego dnia, kiedy zniknęła.

Spojrzała na niego, zamykając walizkę.

– Nie piję.

– Wiem.

– Więc się odchrzań.

Chwyciła bagaże i wyszła na zewnątrz.

Stała oparta o samochód, kiedy wreszcie przyczłapał do niej.

– Jezu, Cal, byłeś u lekarza? Przepraszam, głupie pytanie. Raczej: czy powinnam zawieźć cię do lekarza?

– Nie.

– Dlaczego?

Wyjął z kieszeni kluczyki.

– Bo nie zamierzam tracić czasu na wysłuchiwanie tego, co już wiem.

– Wysłuchiwanie, że jesteś idiotą?

– Że jestem posiniaczony i że się zagoi. Weźmy samochód Antona. Jeśli wytropili mnie w Bay, to mogą wytropić twój dowód rejestracyjny.

– Nikt nawet nie wie, że żyję.

– Dopóki nie przejedziesz skrzyżowania na czerwonym świetle.

Zastanawiała się nad tym.

– Dobra, ale ja prowadzę. Nie oddam swojego życia w twoje... ręce.

– W jakie ręce?

– Drżące – odparła wyraźnie.

– Niech będzie. – Rzucił jej kluczyki. – Dzięki za współczucie.

– Chcesz współczucia? Idź do pieprzonego doktora. Masz... te...

– Co?

Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Masz w domu zapasowe baterie do tego swojego aparatu?

– Tak.

– Myślę, że od tego zaczniemy.



Drzwi jego mieszkania nie były uchylone, jak się tego spodziewał, i przez jedną idiotyczną chwilę myślał, że Szary i Bokser zamknęli je na klucz, zanim odeszli. Oczywiście nie zrobili tego. Jego mieszkanie, niczym szarańcza, nawiedziły miejscowe ćpuny. Zniknął główniany telewizor, przyzwoity komputer, wszystkie sprzęty elektryczne, włącznie z lampami. Krążył po salonie, omijając pocięte poduszki kanapy i podarte papiery. Sprzątanie trwałoby kilka dni. Dlaczego te palanty nie zabrały wszystkiego, zamiast niszczyć? W zasadzie nie było tu nic wartościowego prócz laptopa.

W sypialni też panował rozgardiasz. Materac leżał wybebeszony na podłodze, stolik nocny przewrócony. Frankie pomogła mu przetrząsać to pobojuwisko i wreszcie znalazła pod szafą pojemnik z bateriami. Rzuciła mu je bez słowa komentarza i wyszła z pokoju. Już wolał jej utyskiwania.

Wziął jedną z połamanych listew z dna łóżka, poszedł do łazienki i zamknął drzwi na klucz. Pewnymi ruchami dłoni umieścił nowe baterie w aparacie. Nastawił głośność na maksimum i ujął mocno listwę. Ostatnia próba, by sprawdzić, dlaczego nic nie

słyszy. Inne powody zostały wyeliminowane. Jeśli to nie wypali, będzie oznaczało, że zupełnie stracił słuch. Dłonie już nie takie pewne. Zamknął oczy i walnął listwą o umywalkę. Głuchy odgłos. Zdecydowanie. Oparł się czołem o lustro. Dzięki, Chryste.

Znalazł Frankie w kuchni; chowała bez przekonania żywność do szafek.

– Zostaw to – powiedział.

Odwróciła się.

– Nie masz wrażenia, że czegoś szukali?

– Biżuterii, pieniędzy.

– Nie, to nie byli narkomani. Przynajmniej nie tylko oni. Mieszkanie przeszukano, zanim weszli do niego menele. Rozejrzyj się: opróżniona lodówka, rozcięte poduszki. Nasi znajomi nie myślą, że coś wiemy, myślą, że coś mamy.

Przypomniawszy sobie dłonie Boksera na sobie. Krótki moment, zanim zaczęło się kopanie.

– Bokser mnie obszukał. I wrzeszczał. Myślę, że zadawał mi pytanie. Zdrowo mi dołożył, kiedy nie odpowiedziałem.

Frankie stała bez ruchu.

– Czego chciał?

– Nie wiem, nic nie zrozumiałem.

– Wiem, że warunki ci nie sprzyjały, ale na pewno wyłapałeś słowo czy dwa. Przypomnij sobie... leżysz na piasku, twarz Boksera jest...

– Nie musisz tego wszystkiego analizować... Mówię ci, że niczego nie zrozumiałem. Nie widziałem twarzy Boksera, bo moja była zanurzona w piasku.

– Nic, absolutnie?

– Nie odznaczam się nadprzyrodzonymi mocami, Frankie. Mam dwoje oczu jak wszyscy.

– Nie krytykuję cię, tylko staram się wyjaśnić. Okej, Bokser sądził, że masz coś przy sobie, więc musi to być coś małego. Klucz, list. – Czekala, aż się odezwie. – Płyta CD,

może... – Zaczęła gestykulować.

– Zdjęcie, pamięć USB, karta kredytowa, pierścionek z diamentem.

– Dobry chłopiec. Widzisz, jak świetnie nam idzie, kiedy grasz fair.

– Do niczego nas to nie doprowadzi. Wiemy tylko, że szukają czegoś, a my tego nie mamy. – Uderzyły go własne słowa. – Gary też tego nie miał. O cokolwiek chodziło Scottowi, on tego nie miał.

Te męczarnie, które znosił jego przyjaciel – połamane kości, rany zadane nożem – wszystko na nic.

Popatrzył na Frankie.

– Jeśli Gaz tego nie miał, to gdzie to jest?

Pokręciła głową.

– Nie, pytanie brzmi: Co to jest? Nie znajdziemy tego, jeśli nie będziemy wiedzieć, o co chodzi.

21.

Frankie, kierując się swoim szóstym zmysłem, jeśli chodzi o znajdowanie bomb cholesterolowych, zaprowadziła go do pobliskiej garkuchni. Mieszkał w tej okolicy od półtora roku, a nigdy nie zauważył tej knajpy. Gdy tylko otworzył drzwi, zaatakował go zapach spalonego bekonu. Właściciele potrzebowali nowego wywietrznika. Może też przy okazji nowego kucharza. Nieliczni samotni goście wyglądali na nieco bardziej zaniedbanych niż on i Frankie, ale różnica była niewielka. Wybrał stolik jak najdalej od kuchni, podczas gdy Frankie złapała kelnerkę i zamówiła kawę i śniadanie na gorąco.

Coś go ukłuło w biodro, kiedy siadał. Wyciągnął to z kieszeni i stwierdził, że patrzy wprost w przymrużone oczy Boksera. Jego prawo jazdy. Michael Petronin, wiek trzydzieści osiem lat. Pozbawiony możliwości obchodzenia trzydziestych dziewiątych urodzin. Zabił tego człowieka, czuł ciepło jego krwi tryskającej mu na dłonie.

Frankie postukała łyżeczką o stolik.

– Coś ciekawego?

Pokazał jej dokument.

– Petronin – powiedziała. – Rosyjskie nazwisko. Nie sądzisz chyba, że to sprawa rosyjskiej mafii, co?

– Oby nie. Mam też jego broń, tak przy okazji. Jest w bagażniku.

– „Tak przy okazji”? Masz jego broń „tak przy okazji”? I mówisz o tym dopiero teraz? Kurwa, Jezu Chryste. Co będzie, jeśli zatrzyma nas policja?

– Zapomniałem, że ją mam.

– Zapomniałeś? Zapomniałeś, że masz przy sobie broń nieboszczyka?

Kilku współbiesiadników obróciło się w ich stronę.

– Tak, zapomniałem. Byłem trochę zajęty, kiedy ty chlałaś. Kilka rzeczy mogło mi wypaść z głowy.

Zjawiała się kelnerka z filiżankami, które postawiła na stoliku tak energicznie, że rozlała trochę brązowego płynu na spodki. Frankie skierowała gniewne spojrzenie na blat. Napił się. Kawa była rzadka i gorzka, ale miał nadzieję, że zawiera kofeinę.

Siedzieli, nie odzywając się, wreszcie Frankie nie wytrzymała.

– Co dalej? Dom Gary’ego?

Starał się mówić beznamiętnie.

– Owszem, ale jest mało prawdopodobne, by coś tam było. Scott i jego ludzie przewrócili mu chałupę do góry nogami. Sprawdźmy najpierw mieszkanie Petronina.

Nic nie powiedziała, ale zauważył, że intensywnie myśli. Milczał, podczas gdy ona się zastanawiała.

– Zbyt duże ryzyko – oznajmiła w końcu. – Sąsiedzi, współlokatorzy, psy. Mieszkanie, więc tylko jedno wejście i wyjście. I trzecie piętro, sądząc po numerze. Nie, zbyt niebezpiecznie.

Ponownie zjawiała się kelnerka z dwoma kopiastymi talerzami. Wszystko – bekon, jajka, grzanki, kiełbaski – pokrywała warstwa węgla. Kucharz zasługiwał na medal za konsekwencję.

– Możemy zrezygnować, jeśli masz opory – powiedział, kiedy kelnerka się oddaliła.
– Ale to nasz najlepszy trop. Nasz jedyny trop.

– Co spodziewasz się znaleźć? Telefon z nazwiskiem Scotta wypisanym wielkimi czerwonymi literami?

– Kolor nieważny.

Spróbował kiełbaski. Ani śladu zapachu czy smaku, kojarzonych zwykle z wędlinami; był to bez wątpienia produkt składający się ze ścięgien, trocin i podrobów. Wziął do ręki kawałek grzanki. Frankie pochłaniała swoją porcję, jakby był to jej pierwszy posiłek od wielu dni.

– Mieszkanie Petronina to krok następny. Oczywisty – powiedział.

Pokręciła głową i zabrała się do bekonu.

– Musimy działać bardziej zdecydowanie niż zwykle. Ludzie Scotta zaatakowali nas oboje. Włamali się do twojego domu i mojego mieszkania, znaleźli mnie w Bay. Jeśli się nie dowiemy, co jest grane, będziemy uciekać przez resztę naszego krótkiego już życia.

Frankie zaczęła bez słowa pochłaniać kiełbasę.

– Ale chętnie udam się tam sam, jeśli chcesz to przeczekać.

– Do kurwy nędzy. – Położyła sztucce na talerzu. – Będziesz robił wszystko, co każę. Wszystko. Jeśli powiem: wychodzimy, to wychodzimy. Jasne?

– Tak, sierżancie.

– Mówię poważnie, kurwa. Nie chcę, żeby przydybał mnie w tym mieszkaniu jakiś cyngiel. Albo, co gorsza, moi byli koledzy. – Odsunęła się od stolika i poprosiła o rachunek. – Skoro jesteśmy przy byłych...

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Tak po prostu, co? Spieprzyłeś to bardzo szybko, dobra robota. Ale mnie chodzi o jej samochód. Wciąż jest na plaży?

Poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Wóz stoi tam, parę metrów od ciała Boksera. Policjanci, gdy go już znajdą, uznają, że Kat jest w to zamieszana. Podobnie pomyślą kumple Boksera.

– Kurwa. Kurwa na całego. Nie przyszło mi to do głowy.

– Ani to, że są tam wszędzie twoje ślady i wóz Boksera. Ale nie martw się, załatwię to.

Ślady? Niezły żart – zostawił na wszystkim odciski palców.

Poklepała go po dłoni.

– Nie stresuj się. Ja zajmę się stroną praktyczną, ty rób dobre wrażenie. Czy cokolwiek. – Wstała. – Zapłać rachunek, a ja wykonam kilka telefonów.

Właściciel knajpy preparował rachunki z taką samą wprawą, z jaką preparował

kielbaski, więc płacenie wymagało odrobiny negocjacji. Kiedy wyszedł na zewnątrz, Frankie chowała już komórkę do kieszeni.

– Załatwione. Wóz zostanie zabrany jeszcze dziś rano.

– Szybko poszło. Do kogo zadzwoniłaś?

– Do twojego brata.

– Cholera. Ma przeszłość kryminalną, jest notowany. Nie może się zbliżyć do miejsca przestępstwa. Nie wspominając już o jego całkowitym braku... Chryste.

– Spokojnie, nie denerwuj się, osobiście niczego nie zrobi. Podał mi tylko numer i nazwisko.

Otworzyła drzwi po stronie kierowcy.

Wsiadł do wozu.

– Czy on...

– Co?

– Mówił składnie? Dyszał? Był nawalony?

– Nic takiego.

– Jakie nazwisko ci podał?

– O'Brien.

– Brad O'Brien? Neonazista Brad? Kat go właśnie śmiertelnie nastraszyła, pójdzie od razu na policję!

– Przestań wrzeszczeć. To nie Brad, tylko Jeremy.

Przejrzał w myślach listę braci O'Brienów.

– Żaden nie ma tak na imię.

– A ten stary gość z laską i przepaską na oku?

– Dziadek?

– Chyba pradziadek. I jest bardzo zadowolony, mogąc pomóc Kat. Nawet zachwycony.

– Co? Dlaczego?

– Ponieważ jest na nią napalony. Jak widać, to rodzinne.
– Ma ze sto lat, na litość boską.
– Dziewięćdziesiąt dwa i Anton twierdzi, że wszystko mu jeszcze funkcjonuje. –
Uśmiechała się. Cholera, wyraźnie ją to bawiło. – Jeremy powiedział kiedyś
Antonowi, jak wspaniale podziałała na niego viagra.

Wiedział, że nigdy już nie wymaże tych słów ze swojej pamięci.

– Nie trafił przypadkiem do więzienia za zabicie jakichś szczeniąt czy coś w tym
rodzaju?

– Nie przesadzaj. Wysadził za pomocą bomby psie budy u sąsiada, to było
z sześćdziesiąt lat temu. Powiedział, że z radością puści z dymem samochód Boksera.
Nie rozpałał już od jakiegoś czasu porządnego ogniska.



Mieszkanie Petronina znajdowało się w dużym budynku z jasnej cegły przy ulicy
pełnej innych budynków z jasnej cegły, wzniesionych bez wyjątku w latach
pięćdziesiątych. Ogród wysypany kwarcowymi kamyczkami i porośnięty splątaną juką
sprawiał wrażenie nietkniętego od tamtego czasu. Brudny hol cuchnął zastarzałym
moczem, przy odrobinie szczęścia tylko kocim.

– Lewy interes nie przynosi takich dochodów, jak myślałam – oznajmiła Frankie,
sprawdzając numery mieszkań. – Miałam rację, trzecie piętro.

Próbował udawać, że nie zabija go wspinaczka po schodach, potem poddał się
i pokonał resztę kondygnacji, świszcząc przy oddychaniu i trzymając się kurczowo
poręczy.

Frankie czekała na niego na górze.

– Wciąż uważasz, że nie musisz iść do lekarza?

Pokręcił głową.

– Tak? – spytała. – Podaj mi choć jeden powód.

– Jest już lepiej.

– Jezu, gadasz jak nałogowy palacz, który oszukuje się, że ma tylko niegroźny kaszel. Chodź, to chyba tutaj.

Mieszkanie znajdowało się na końcu długiego korytarza.

– Jak myślisz? – spytała Frankie. – Zapukać? Jeśli ktoś otworzy, możemy udawać mormonów czy kogoś w tym rodzaju.

Popatrzył na jej dżinsy i podniszczone martensy.

– A jeśli ten numer nie przejdzie?

– To zwieję, a ty będziesz musiał postępować według własnego planu. – Zapukała mocno, ale drzwi pozostały zamknięte. – Następny pomysł?

Żadnego monitoringu, tanie drzwi ze sklejki, jeszcze tańszy na pierwszy rzut oka zamek. Duże prawdopodobieństwo, że nie ma też alarmu. Zdjął z wieszaka na ścianie gaśnicę.

– Jeśli masz wątpliwości, użyj brutalnej siły.

Sklejka może i była tania, ale kiedy walnął w drzwi gaśnicą, powstało jedynie nieznaczne wgniecenie. Opuścił pojemnik i zatoczył się do tyłu, łapiąc się za zębra. Jezu Chryste.

– Pozwól, że ja spróbuję, Rocky.

Chwyła gaśnicę jak taran i rąbnęła nią w zamek. Z drewna posypały się drzazgi.

Przesunął spojrzeniem po sąsiednich mieszkaniach, ale nikt nie wyszedł, by sprawdzić, co się dzieje.

– Hałas na zewnątrz – wyjaśniła Frankie. – Ruch uliczny, muzyka.

Postawiła gaśnicę na posadzce i kopnęła drzwi, które otwarły się na oścież i walnęły o ścianę. Wąski przedpokój, pomieszczenia po obu stronach. Wykładzina w kolorze niemowlęcej kupy. Weszli ostrożnie do środka. Na lewo była kuchnia, na prawo niewielki salon, na końcu jedna albo dwie sypialnie.

– Rzeczywiście gówniane zabezpieczenia jak na takiego gościa – zauważyła Frankie.

– Gówniane zabezpieczenia jak na każdego. Sprawdzę salon i łazienkę, ty zajmij się

resztą.

Salon był dziwnie pusty, stały tam tylko wielki telewizor i kremowa kanapa z nieokreślonymi plamami. Żadnych foteli, drobiazgów, zasłon. Przekopał stos magazynów na kanapie i znalazł to, czego się spodziewał: pornosy i program TV. Pod poduszkami nic prócz okruchów i pustej paczki po prezerwatywach. Nie było tu żadnych szafek ani pudełek, żadnych przemyślnych schowków, żadnych wydrążonych w środku książek. Jakichkolwiek książek.

Wyszedł do małego przedpokoju w chwili, gdy Frankie wyłoniła się z sypialni.

– Tylko jedna sypialnia – powiedziała. – Niewiele w niej jest.

– Tak... Nie przebywał tu chyba często. Znalazłaś książkę telefoniczną czy cokolwiek?

– Nie, uporajmy się z tym szybko, robię się nerwowa.

Łazienka była równie spartańska jak całe mieszkanie. Na toaletce tylko krem przeciwgrzybiczny. Szafka pod umywalką całkowicie opróżniona, włącznie ze środkami czystości. Szybka lustracja toalety dowodziła po prostu, że niepotrzebne były one Petroninowi. Caleb zajrzał do rezerwuaru. Nic.

Frankie odwróciła się pospiesznie od lodówki, kiedy wszedł do kuchni.

– Zbierajmy się. Nic tu nie ma.

Na jej twarzy malowały się obrzydzenie i lekki niepokój.

– Co jest?

– Lodówka... Ten ser będzie mi się śnił po nocach. W każdym razie wydaje mi się, że to ser, może chleb. Chodźmy.

Ruszyła do przodu, napierając na niego.

Stał twardo w miejscu.

– Odsuń się.

Wyprostowała ramiona, potem westchnęła i ustąpiła. Od razu zobaczył to, co starała się przed nim ukryć: zdjęcia na drzwiach lodówki. Petronin, twarz uśmiechnięta. Dziewczynka, może sześćioletnia, brak jeszcze przednich zębów. Śmiała się radośnie

do Petronina. Wyraźne rodzinne podobieństwo w ich oczach i szerokich kościach policzkowych. Caleb zdjął fotografię z chłodziarki. Zwykła rodzinna fotka przy rozdziawionym jak olbrzymie usta wejściu do lunaparku: Petronin i dziewczynka z jakąś kobietą. Mała trzymała w ręku wielkiego lizaka, jej uśmiech był niemal tak wielki jak łąkość.

Poczuł ucisk w piersi.

Frankie obróciła go twarzą do siebie.

– To, że ma dziecko, nie oznacza, że był porządnym facetem. Próbował cię zabić. Pamiętasz broń? Kopniaki? To właśnie ten facet.

Caleb skinął głową, ale jego spojrzenie znów powędrowało ku zdjęciu.

Kobieta obejmowała ramionami Petronina i dziewczynkę. Ciemne blond włosy i odrobinę krzywy uśmiech. Nagle jej rysy nabrały ostrości. Wspomnienie. Coś związanego z tą twarzą.

– Kobieta – powiedział. – Już ją wcześniej widziałem.

22.

Frankie prowadziła nad wyraz spokojnie, włączała prawidłowo kierunkowskazy, zatrzymywała się przed znakami stopu.

Kiedy oddalili się o kilka przecznic, westchnęła.

– Przypomniałeś już sobie, kto to jest?

– Nie, tyle tylko, że ją gdzieś widziałem.

Nikt znajomy, przelotnie widziana twarz. Ktoś, kogo zobaczył w supermarkecie? Przyjaciółka przyjaciółki na jakimś przyjęciu? Nie, zbyt duży zbieg okoliczności; musi mieć związek ze sprawą. Gdzie więc mógł ją widzieć i jednocześnie nie zwrócić na nią uwagi? Doręczycielka w magazynie, osoba na ulicy pod domem Arniego. Przyjaciółka Gary'ego.

– Gdzie? – spytała Frankie. – W Melbourne czy w Bay?

– Nie wiem.

Studiował zdjęcie. Żona Petronina. Może niedawny rozwód. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna nie przebywał w tym opustoszałym mieszkaniu bardzo długo; dowodził tego dobitnie brak śladów codziennego bytowania. Choć na pewno nie był to przypadek obojętnego taty – zdjęcie jego dziecka stanowiło jedyną ozdobę mieszkania. Nic jednak nie wskazywało na to, by dziewczynka wciąż była obecna w jego życiu, ani jednego my little pony, ani jednej błyszczącej naklejki. Więc zapewne niezbyt szczęśliwe rozstanie. Gdyby udało im się odszukać byłą, może pod wpływem rozgoryczenia powiedziałyby wszystko.

Frankie zatrzymała się na poboczu i obróciła w fotelu.

– Ktoś w magazynie?

– Nie wiem.

– Ktoś od Arniego?

– Nie wiem.

– Potrafisz przypomnieć sobie każdą osobę, którą widziałeś od urodzenia, więc jak możesz nie wiedzieć?

– Może to przez to pieprzone naciskanie, Frankie.

Zaczęła bębnić palcami w kierownicę.

Stłumił chęć, by trzepnąć ją po dłoni.

– Odpręż się, przypomnę sobie.

– Tymczasem umówmy się na spotkanie z twoim kumplem Tedesco. Poruszamy się w takim mroku, że nie widzę pieprzonego horyzontu.

Zaczął się nad tym zastanawiać. Pomysł, by spotkać się z funkcjonariuszem policji stanu Victoria, był nieco niepokojący, ale Frankie ma rację, potrzebują pomocy.

– Okej, prześlę mu wiadomość z automatu telefonicznego, podam czas i miejsce spotkania. Jeśli się zgodzi, świetnie. Jeśli nie, będziemy mogli urządzić sobie piknik.

– Weź moją komórkę – poradziła. – Nie obchodzi mnie, że pozna mój numer.

– Nie. Wszyscy uważają, że zniknęłaś. Niech tak lepiej pozostanie.

Poklepała go po policzku.

– Jesteś uroczy, próbując mnie chronić jak duży i silny mężczyzna.

– No tak, ale bardziej chodzi o strategię. Jesteś moją tajną bronią.



Wybrał park w Mapach Google'a, ale kiedy przyjechali na miejsce, uświadomił sobie, że już tu kiedyś był. Obok jezioro i stara lokomotywa, która służyła teraz jako wyposażenie placu zabaw. Pojawiło się dziecięce wspomnienie pikniku, rodzinnego spotkania.

– Słuchaj – powiedział. – Nie chcę się o to spierać, ale...

– Jestem tajną bronią, bla, bla, bla. Zostaję w samochodzie, okej?

Byłoby lepiej, gdyby wybrała się na przejażdżkę. Jakie jest prawdopodobieństwo, że nie zostanie zauważona?

– Albo możesz się przejechać.

Rozłożyła fotel.

– Albo mogę zostać w wozie.

Wysiadł i ruszył w stronę lokomotywy. Musiał tu być krótko po tym, jak zachorował: wspomnienie – kiepska równowaga, wrażenie, że przebywa pod wodą. Wspiął się wtedy na dach lokomotywy i nie chciał zejść; było tam tak spokojnie.

Dwóch właścicieli psów uprawiało power walking, trzymając w rękach małe plastikowe torebki z gównem. Pomimo chłodu było sporo matek z dziećmi. Jakiś wyraźnie wyczerpany ojciec obserwował hiperaktywnego trzylatka, który wbiegał na schodki prowadzące do przedziału maszynisty, a potem zbiegał na dół.

Już zaczął podejrzewać, że Tedesco się nie zjawi, kiedy na parking zajechał stosunkowo nowy biały ford falcon i zatrzymał się w odległości sześciu samochodów od wozu Frankie. Kierowca, wysiadając, uchwycił spojrzenie Caleba i wskazał głową najbliższą ławkę.

– Panie Zelic – powiedział, kiedy Caleb się do niego zbliżył.

– Detektywie.

– Proszę opowiedzieć swoją historię.

Wyglądał na nieco bardziej wyczerpanego niż poprzednim razem: głębokie zmarszczki na dolnych powiekach, ciemne smugi pod oczami.

Caleb zrelacjonował atak Boksera, pomijając zgrabnie broń i śmierć mężczyzny.

– Przetrzęsneli też moje mieszkanie. Tak samo jak mieszkanie Gary’ego. Myślę, że Scott czegoś szuka.

Tedesco przyglądał mu się uważnie szarymi oczami.

– I pan to ma?

- Chciałbym. Oddałbym mu to natychmiast.
- Zgłosił się pan na miejscową policję?
- Nie.
- Dlaczego?
- Wie pan dlaczego.
- Ach, spisek. Widzi pan mój problem, Caleb? Same oskarżenia i żadnych dowodów.

Tedesco rozsiadł się wygodnie.

Caleb popatrzył na jego rozstawione nogi i skrzyżowane ramiona.

– Co się stało?

– Stało?

– Tak, stało się coś, bo zamyka się pan jak w skorupie.

– Dlaczego pan tak twierdzi?

Twarz detektywa nic nie wyrażała.

– Siedzi pan tutaj i myśli, jaki był głupi, że zaczął mi ufać. I zastanawia się, jak zdołałem pana przekonać, że jestem uczciwy, skoro zwykle potrafi się pan szybko zorientować, kiedy ktoś wciska kit.

Tedesco skinął z wolna głową.

– Krążą uporczywe i dość szczegółowe pogłoski, że starszy posterunkowy Marsden był zamieszany w coś, w co nie powinien być zamieszany.

– Naprawdę do tego wracamy? Ja i Gary nie robiliśmy niczego nielegalnego. – Trzymaj się tych słów, wierz w nie. – Był po prostu dobrym człowiekiem, który próbował ułożyć sobie życie rodzinne.

– Wydaje się, że detektyw McFarlane z Wydziału Wewnętrznego uważa inaczej. Podobnie jak faceci z NKA.

Caleb pokręcił głową.

– Co to jest NKA?

– Pan naprawdę jest jak dziecko we mgle. To dawne Biuro do spraw Uczciwości Zawodowej Policji. Teraz to Niezależna Komisja Antykorupcyjna. Poważni goście, Caleb, tacy, którzy dysponują pieniędzmi i władzą. – Urwał na chwilę. – Otrzymaliśmy anonimową informację, że w grę wchodziły narkotyki.

– To robi się śmieszne, za chwilę pojawią się pieprzone napady na banki. Czy istnieją dowody, jakiegokolwiek dowody, że Gary był przestępcą? Bo bywałem u niego w domu, znam jego rodzinę. Jego żona jeździ piętnastoletnią astrą i zaharowuje się na śmierć, pracując na pół etatu i opiekując się jednocześnie dwójką małych dzieci. Nie ma mowy o wakacjach, a największą atrakcją jest pizza w lokalnych knajpach. Znalazł pan jakieś dodatkowe konto? Tysiące schowane w szopie na tyłach jego domu?

– Nie.

To wyznanie było jednak poprzedzone nieznacznym wahaniem. Żadnej ekstra forsy, ale coś tu nie gra.

– Nieścistości w rozliczeniach?

Tedesco uniósł ciemne brwi.

– Wiedział pan?

– Nie. Ile?

– Dwieście dolarów co dwa tygodnie przez ostatnie dziesięć miesięcy. Marsden bardzo skrupulatnie kalkulował budżet domowy, ale to akurat było określane jako „koszty różne”. Orientuje się pan, na co ostatnio mógł wydawać?

Dziesięć miesięcy. Dziecko Honey miało dziewięć albo dziesięć miesięcy. Przypomniał sobie, jak je tuliła, kiedy zjawił się w jej domu... Nalegania Marii, by z nią nie rozmawiał. „...musisz jednak pamiętać, że masz do czynienia z życiem innych ludzi”.

Kurwa.

Wzruszył ramionami.

– Kilkaset dolarów? Może znalazł sobie jakieś hobby.

Tedesco wstał z ławki.

– Niech pan powiadomi mnie mailem, jeśli zdecyduje się pan przekazać mi prawdziwą historię.

Poczuł, jak rozpała się do białości. Podniósł się gwałtownie, a Tedesco zeszywniał, naraz bardzo czujny.

– Zmierz pan w niewłaściwym kierunku. Niech pan przestanie zajmować się Garym i zaczniesz szukać Scotta. Radzę zacząć od Boksera. Jestem pewien, że macie go w kartotece.

Wyjął z kieszeni prawo jazdy Petronina i podsunął je Tedesco.

– Dał to panu?

– Upuścił.

Detektyw patrzył na niego przez długą chwilę.

– Co pan wie o tych brakujących pieniądzach Gary’ego?

– To nieważne.

– Chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa, panie Zelic. Wszystko ma znaczenie.

Kiedy Caleb nie odpowiadał, odwrócił się.

Cholera, cholera, cholera.

– Gary miał romans z Honey Kovac. Myślę, że jej młodsze dziecko jest jego. Łożył na nie.

Detektyw przystanął.

– Czego jeszcze mi pan nie powiedział?

Podsunał policjantowi zdjęcie z mieszkania Petronina.

– Ta kobieta jest w to wszystko w jakiś sposób zamieszana.

– Znowu Petronin. – Tedesco usiadł ponownie na ławce i skinął na Caleba głową, by zrobił to samo. – Kto to jest?

– Nie wiem, ale gdzieś ją widziałem.

– Uhm.

– Jest ważna. Petronin mieszka na drugim końcu miasta, ale widziałem kobietę,

która widnieje z nim na tym zdjęciu. Potrafię zazwyczaj zidentyfikować ludzi, ale jej akurat nie. Myślę, że nie tyle ją poznałem, ile po prostu widziałem.

– Projektcja. Przeniesienie. Zdarza się w takich sprawach. Pragnie pan...

– Nie, widziałem ją gdzieś w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Zawsze zapamiętuję twarze.

Tedesco zmrużył oczy: oznaka zainteresowania.

– Bo jest pan głuchy?

Czas zmienić temat. Tyle że chciał, by Tedesco mu uwierzył i zaczął szukać kobiety.

– Nie wiem, tak po prostu mam. Nie sędzę, by obsługiwała mnie w sklepie. Pamiętałbym, gdyby się do mnie odezwała.

– Dlaczego? Jestem biegłym sądowym, ale nie wydaje mi się, bym po trzech miesiącach pamiętał kobietę, która podawała mi rybę z frytkami.

– Każdy odznacza się charakterystycznym sposobem mówienia.

Tedesco zachęcił go nieznacznym ruchem ręki, by kontynuował.

– Zwracam na to uwagę. – Poruszył się na ławce. – Łatwiej mi zrozumieć ludzi, kiedy znam rytm i kadencje ich mowy.

Tedesco skierował spojrzenie na plac zabaw. Nie było to oznaką dekoncentracji, lecz pewnego skrępowania podczas tak intymnej rozmowy. Pozytywna reakcja z jego strony.

– Pamięta pan także słowa wypowiedane przez ludzi, prawda? Sam pan kilkakrotnie przytoczył mi moje.

Czyżby?

– Chyba tak.

– Jak brzmiała ta wiadomość od Gary’ego?

– Scott za mną. Przyjedź dom. Pilne. Nikomu słowa. Nikomu. – Kiedy Tedesco się nie poruszył, dodał: – Dlaczego do tego wracamy?

– Gary nie chciał, żeby pan z kimś rozmawiał. Z kim?

– Och. – Idiotyczne, że nigdy nie przyszło mu to do głowy. Był tak skupiony na osobie Scotta, że nie pomyślał, by spojrzeć na problem szerzej. – To mógł być specjalny chwyt w celu podkreślenia znaczenia słów.

– To w stylu Gary’ego? Często tak robił?

– Nie, ale wszystko jest możliwe. Bał się.

– Nie bez powodu. – Tedesco wyjął z kieszeni komórkę i pstryknął zdjęcie kobiety.
– Rozpytam się.

Pozytywny rezultat: on sam nie uległ wybuchowi wściekłości, a Tedesco jest wyraźnie po jego stronie. Może Kat ma rację, że powinien się bardziej otwierać na innych. Poruszył zeszywniałymi ramionami. A może nie powinien.

– Kto siedzi w toyocie?

Cholera.

W oczach detektywa znów pojawił się lekki uśmiech.

– Facet obserwuje nas cały czas, nie poruszył się ani trochę.

Facet. Więc nie takie wyraźne pole widzenia.

– Przyjaciel. Po prostu. Proszę posłuchać, próbowałem wykombinować, w jaki sposób Bokser mnie znalazł. Czy ktoś mógł mnie namierzyć dzięki receptom, czy nowemu telefonowi, który mam od paru zaledwie dni?

– Mógł – odparł niespiesznie Tedesco. – Jeśli miał odpowiednie znajomości.



– A więc – powiedziała Frankie, kiedy już siedział w samochodzie. – Żadnych noży, żadnej broni. Chyba nie zamierza cię zabić.

– Na to wygląda.

Patrzył, jak biały falcon wyjeżdża z parkingu i się oddala.

– I co? Ufasz mu?

– Cholernie trudno go rozgryźć, ale owszem, myślę, że facet jest w porządku.

- Dzięki Bogu i za to. – Uruchomiła silnik. – Ktoś po naszej stronie.
- W każdym razie nie przeciwko nam. Wciąż ma wątpliwości co do Gary’ego.
- Stary, wszyscy mamy co do niego wątpliwości.
- Nieprawda.

– Daj spokój, Cal. Jeszcze dwa tygodnie temu byłeś gotów przysiąc, że nigdy nie zdradziłyby żony. Powiedz mi, że się nie zastanawiasz, czego jeszcze o nim nie wiesz.

- Zastanawiam się tak w przypadku wszystkich.

Włącznie ze sobą. Gaz musiał się dowiedzieć o ciąży Honey mniej więcej wtedy, gdy on i Kat się rozstali. Co wyjaśniało, dlaczego przyjaciel mu się nie zwierzył, ale jednocześnie nie wyjaśniało jego własnej ślepoty.

Zapiął pas, kiedy Frankie wcisnęła się w zasadzie w nieistniejącą lukę w sznurze samochodów. Odwróciła się do niego.

- Jedźmy teraz do Arniego. Mam ochotę poflirtować.

– Patrz przed siebie. Wybierzmy się najpierw do City Sentry, chcę złapać recepcjonistkę podczas przerwy na lunch.

Przechylił lusterko wsteczne w swoją stronę, żeby obserwować białe fordysy falcon. Detektyw ogrywał go pięknie, skrywając każdy swój ruch i emocję. I zdołał w ciągu pięciu minut wyciągnąć od niego więcej prywatnych informacji, niż udało się większości ludzi w ciągu pięciu lat. Było to godne podziwu. I niepokojące.

23.

Frankie dwukrotnie objechała kwartał i zaparkowała w miejscu z zakazem postoju, dwadzieścia metrów od City Sentry. Zauważyła, że zastawiła czerwony hydrant, i wzruszyła ramionami.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że będą tego potrzebować, gdy tu trochę postoiemy?

Mniejsze niż prawdopodobieństwo odholowania ich samochodu, ale przy odrobinie szczęścia Elle mogła już wyjść na wczesny lunch. Nie należała do tych, co to jedzą przy biurku; z pewnością lubi nastroszyć piórka w zimowym słońcu.

– Kiepski pomysł – westchnęła Frankie.

Znowu to samo. Nie miała argumentów przeciwko spotkaniu z Elle, ale wydawało się, że nie zamierza odpuścić.

– Dobry pomysł – pokazał w odpowiedzi.

Zmrużyła oczy, podejrzewając, że robi sobie jaja, ale nie chciała się spierać.

– Miłość mężczyzny i kobiety niebezpieczna.

Nigdy nie pokazano na palcach prawdziwszych słów.

– Miłość? – powiedział. – Kto mówił cokolwiek o miłości?

– Taki jest sens tego znaku? Myślałam, że oznacza seks.

– Uważasz, że seks między mężczyzną i kobietą jest niebezpieczny?

– Odwal się, wiesz, co chciałam powiedzieć.

– Naprawdę nie wiem.

– Że jeśli jest coś między recepcjonistką a Seanem, to rozmowa z nią wydaje się idiotyzmem.

Przypomniał sobie agresywną postawę Seana, olśniewający uśmiech Elle. Nie była nieświadoma swojego wpływu na szefa, ale nie traktowała tego zbyt poważnie.

– Nie sądzę, by rzeczywiście coś takiego było. Bardziej w głowie Seana. Albo w jego spodniach.

– Jest mężczyzną, w spodniach czy w głowie, to bez różnicy. Ale nawet jeśli masz rację, rzecz wydaje się ryzykowna.

– Elle ma sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i nie lubi, kiedy odłupuje jej się lakier z paznokci. – Popatrzył na obgryzione i krótkie paznokcie Frankie. – Myślę, że byś sobie z nią poradziła.

– A jeśli wypaple wszystko Seanowi? A ten powie komuś, że wróciłeś do Melbourne?

– I tak już wie, że go sprawdzam. Ale w twoim przypadku ma to sens, musisz znowu zostać w samochodzie.

– Pieprzyć to, posłużę się innym imieniem. Może coś szekspirowskiego. Zawsze podobało mi się imię Kordelia.

Jego wzrok uchwycił błysk czerwieni: Elle, ubrana w połyskliwy srebrny płaszcz, ognisty płomień włosów pod liliowym beretem.

– To ona. – Wysiadł i zbliżył się do dziewczyny, kiedy weszła na chodnik. – Elle.

Chwila wahania, potem jej oczy pojaśniały.

– Caleb z Trust Works.

– Możemy pogadać? O pracy – dodał pospiesznie, kiedy na jej twarzy pojawił się wyraz z rodzaju „mam chłopaka”. – To moja partnerka, Goneryla.

Frankie nadepnęła mu na stopę, kiedy się pochylała, by uścisnąć dłoń Elle.

– Ładne włosy – zauważyła recepcjonistka.

– Twoje też. Pasują do beretu.

Elle się rozpromieniła.

– Chcecie rozmawiać z Seanem? Mogę skoczyć na górę i sprawdzić, czy jest jeszcze u siebie.

– Nie, chcemy porozmawiać z tobą. Postawimy ci lunch. Co ty na to?



Elle skubnęła kanapkę, którą zamówiła. Siedzieli w małej restauracyjce przy bocznej ulicy; w lokalu podawano świetną kawę i gównianą herbatę. Caleb ponownie dźgnął rozmiękłą torebkę, zastanawiając się, co go podkusiło, żeby zamówić English Breakfast w kawowej stolicy Australii.

– Chcecie, żebym szpiegowała? – spytała Elle.

Miała tego dnia srebrne paznokcie z maleńkimi liliowymi kropeczkami. Czy dobrała strój do lakieru, czy też lakier do stroju? Ponownie uznał, że ktoś tak zorganizowany musi cieszyć się uznaniem w każdym biurze.

– Nie – zapewniła Frankie. – Nic w tym rodzaju. Staramy się przywrócić dobre imię twojej firmie. Jest oczywiste, że nie miała nic wspólnego z włamaniami, ale trudno nam zdobyć dowody, które by to potwierdziły. Sean nie lubi otwierać ust zbyt często.

Dosłownie, pomyślał Caleb, przypominając sobie żłosny ruch warg tego człowieka.

– No, nie wiem. Nie podoba mi się, że będę gadała za jego plecami. – Przez chwilę przyglądała się Frankie. – Nigdy nie pomyślałaś, żeby dodać trochę rózu? Pasowałby do twojej karnacji.

– Nie.

– Tak, może nie jesteś typem dziewczyny w rózu. Pomarańcz też by się sprawdził. Dobry kontrast z liliowym. Mogę ci polecić kilka fryzjerek.

– Zwykle robię to sama. Nad umywalką.

Elle zszokowana otworzyła usta.

Caleb włączył się do rozmowy, nim zaczęła wymieniać nazwy salonów.

– Jeśli towarzystwo ubezpieczeniowe podejmie kroki prawne przeciwko City Sentry, zrobi się nieprzyjemnie. Nie chciałbym patrzeć, jak ludzie tracą pracę tylko

dlatego, że ja i Sean nie dogadaliśmy się od razu.

Na policzkach Elle wykwitł rumieniec.

– Nie zawsze tak jest. Sean to żartowniś, wiesz? Nigdy nie widziałam, by tak... –
Zagryzła wargę. – Myślałam, że cię uderzy.

Zignorował uniesione brwi Frankie.

– Był po prostu zdenerwowany. Mnóstwo ludzi dla niego pracuje. To wielka odpowiedzialność.

– Tak. Jest zestresowany z powodu tych wszystkich zwolnień. A właściciele grożą kolejnymi.

Znowu zaczęła skubać kanapkę.

Frankie uchwyciła jego spojrzenie; wymienili bezgłośnie „nie odzywaj się”.

Kiedy Elle oderwała już z chleba całą skórę, podniosła wzrok.

– Tylko informacje?

– Tylko informacje – zapewnił. – Sean powiedział, że pracownicy ochrony nie mają kluczy do żadnego magazynu, tylko do bramy. Czy tak jest?

– Oczywiście, nigdy nie mają innych. Nie potrzebują kluczy do samego budynku. Jeśli zauważą, że czegoś nie zamknięto, i tak muszą to zgłosić.

– Jak dobrze są monitorowane klucze do magazynu?

– Monitorowane?

– Czy ktoś może je zabrać, przechowuje się je w niezabezpieczonej szafce albo szufladzie?

– Nie. Wszystko przechodzi przez ręce pani Hitchens. Trzyma je w sejfie i co tydzień zmienia kod. – Jej twarz przybrała wyraz surowej powagi. – Obowiązuje nas ścisła procedura operacyjna dla dobra firmy i naszych klientów.

– Więc kiedy Sean zabiera klucze...

– Sean nie zabiera kluczy, tym się zajmuje pani Hitchens.

– A w sytuacji, kiedy jej akurat nie ma?

– Zawsze jest. – Nachyliła się, otwierając szeroko oczy. – Pracuje dla City Sentry od trzydziestu lat. Niektórzy żartują, że jest wampirem.

Nie sprawiała wrażenia, że w to nie wierzy.

– A kody do alarmu w magazynie? Kto je zna? – spytał Caleb.

– Nie my.

– Więc nikt w firmie nie znał kodu?

– Nie.

Do diabła, koniec z tą teorią.

– Możesz sporządzić listę osób, które w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy miały dostęp do kluczy od magazynu? Poprosilibyśmy Seana, ale...

Elle podniosła kanapkę, potem ją odłożyła.

– Naprawdę sądzisz, że towarzystwo ubezpieczeniowe nas pozwie?

– Straciło dwa miliony dolarów, Elle. A co ty byś zrobiła?

– Lista osób? Tylko tyle?

– Tylko tyle. – Frankie podsunęła jej swoją wizytówkę. – Prześlij mi ją mailem z prywatnego konta, nie korzystaj z firmowego. I nie rób żadnych kopii. Sean mógłby się poczuć urażony, że pomagasz nam za jego plecami. Wiesz, jacy są mężczyźni. – Wskazała głową Caleba. – Mają takie wrażliwe ego.

W policzkach Elle pojawiły się maleńkie dołeczki.

– Lepiej już pójdę. Ale chwila, posłuchaj. – Spojrzała na Caleba. – Wiesz, ćwiczyłam... Hvordan har du det.

Ani jednego możliwego do zidentyfikowania słowa.

– Przepraszam, co?

Zrzędała jej mina.

– Och, nie wymówiłam prawidłowo? Hvordan har du det.

Wyglądała jak ktoś, kto ćwiczy wymowę z kamykami w ustach. Kurwa, zanosilo się na to, że będzie musiał poprosić Frankie o pomoc. Nic z tego, na jej twarzy też

malowało się osłupienie.

– Hvordan har du det – powtórzyła Elle.

Zwykle łatwo było odczytać jej słowa, ale to w ogóle nie brzmiało jak angielski. Ach. Skojarzył z tymi słowami swoje rzekome duńskie pochodzenie.

– Wspaniale – powiedział. – Naprawdę czysto.

– Więc wymówiłam to prawidłowo?

– Sam nie zrobiłbym tego lepiej.



– Hvordan har du det – powtórzyła Frankie, kiedy znaleźli się na zewnątrz. – Czy to znaczy po duńsku: „Zadurzyłam się w tobie”?

– Nie, Goneryło, to znaczy, że powinnaś ufarbować włosy na różowo.

Pogłaskała sterczące na głowie końcówki.

– Może tak zrobię. A w ogóle to o co chodziło z tym duńskim?

– Drobne nieporozumienie.

– Tak? Wydaje się, że ostatnio często ci się coś takiego przytrafia. Co się wydarzyło między tobą a Seanem?

– Nic wielkiego. Założył, że się przestraszę, i postanowił to sprawdzić.

Przyjrzała mu się.

– Aha. Czy ten paskudny człowiek zranił twoje uczucia?

Miała dwie sekundy, żeby wyobrazić sobie napędzaną testosteronem rozmowę, zorientować się, z jakiego powodu Sean tak się zachował, i ocenić jego reakcję na to zachowanie. Doprawdy, jest niesamowita.

– Więc teraz Giannopoulos? – spytała.

– Masz cholerną ochotę się z nim spotkać. Naprawdę uważasz, że się nam przyda?

– Nie, chcę po prostu sprawdzić, czy znów będziesz się na niego wydzierał. Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedziałam się o tobie i Seanie. Tym razem to nagram.

Użyteczne narzędzie szkoleniowe dla mojego następnego partnera: jak nie rozmawiać ze świadkami. – Wyjęła komórkę i spojrzała zdziwiona na numer. – Halo? – Na jej twarzy przemknął cień niemal komicznego zdumienia. Przycisnęła telefon do piersi. – To detektyw Tedesco. Wita się.

Zatkało go.

– Co? Jak się, u diabła, zorientował, że jestem z tobą? Albo że w ogóle żyjesz?

– Facet jest chyba dobry w swoim fachu. Miło wiedzieć.

Nie potrafił zdobyć się na podobny entuzjazm.

– Niezła robota, detektywie – powiedziała. – Tak, czuję się bardzo dobrze, dziękuję. Przepraszam, że sprawiłam wszystkim tyle kłopotów. Więc zadzwonił pan, żeby popisać się umiejętnościami policjanta? – Skrzywiła się i zakryła telefon dłonią. –

Detektyw McFarlane dowiedział się, że rozmawialiście prywatnie. A ponieważ McFarlane opieprzył go w kantynie policyjnej w Broadmeadows, powinniśmy zakładać, że wszyscy w Melbourne o tym wiedzą.

Cholera.

– Myślę, że tak musiało się stać. Prędzej czy później.

Znowu skupiła uwagę na rozmowie z detektywem.

– To wszystko, czy też zadzwonił pan, żeby uciąć sobie pogawędkę?

Mnóstwo kiwania głową, mało słów. Niepokój: twarz Frankie zdradzała wystudiowaną obojętność, ale jej ramiona zeszywniały.

– Co jest? – spytał, kiedy się rozłączyła.

– Słuchaj, nie panikuj, ale pytał o Kat.

– Wie... – Zaczerpnął powietrza. – Wie o Kat?

– On i McFarlane.

– Powiedział pieprzonemu McFarlane'owi?

– Nie, odwrotnie. McFarlane przyszedł do Tedesco, ponieważ na telefonie Kat w Collingwood jest podsłuch, a drugi w domu Marii.

– Pieprzony dupek. Dobiera się do każdego z mojej rodziny. Co teraz? Kat jest

szefem gangu motocyklowego? A może pichci amfetaminę w swojej pracowni, podczas gdy Anton stoi na warcie?

– Nie, nie rozumiesz. McFarlane nie kazał założyć podsłuchu, po prostu się o tym dowiedział. Najwidoczniej... Okej, jest coś, tylko się nie przestrasz, dobrze? Żaden z nich nie poprosił o pozwolenie na podsłuch. Ktoś inny to zrobił. Ktoś bardzo wpływowy, ponieważ McFarlane nie potrafił się dowiedzieć, kto to taki.

Zmroziło go.

– Scott. Scott wie o Kat.

– Próbuje prawdopodobnie ustalić, gdzie jesteś.

– Nie sądzę, by się w to bawił. Jeśli interesuje się Kat, to dlatego, że jej szuka.

Nie zaprzeczyła.

– Dzwonię do niej.

Scott je zabije. Kat i Marię. Jeśli je dorwie.

Frankie rozmawiała z Kat, dzięki Bogu. Nie, przesłała wiadomość. Pieprzoną wiadomość.

Scott ją zabije, jeśli ją dorwie.

Musi do niej jechać. Resurrection Bay jest o godziny drogi stąd. Czy może wróciła do Collingwood? Nie, wie, że nie jest tam bezpieczna. Kurwa, kurwa, nie ma bladego pojęcia, gdzie ona jest. Co ma zrobić?

Frankie dotknęła jego ręki.

– ...dobrze.

– Co?

– Zostawiłam wiadomość na jej komórce, także w domu Marii i w przychodni. Otrzyma je, będzie dobrze.

– Przychodnię zamykają o czwartej.

– Dlatego zostawiłam wiadomość na jej komórce – powiedziała Frankie powoli.

– Jeśli Scott... Frankie, zostawiłem ją tam. Po prostu. Myślałem, że poza domem

będzie bezpieczna. Myślałem, że Scott szuka tylko mnie. Nie, nie myślałem. Kurwa, nie myślałem.

Połowa mieszkańców miasta kłapiąca ozorami, plotka wypływająca z ich ust. Rozmowa zabrałaby niespełna minutę. „Przepraszam, jestem nietutejszy, zna pan/pani Caleba Zelica? Zatrzymał się u doktor Anderson? Swojej byłej teściowej? Coś takiego. A jak ma na imię jej córka?”

Oddychanie sprawiało mu trudność.

24.

Pośrodku upstrzonego młeczami trawnika przed domem Arniego stała tablica z ogłoszeniem o zbliżającej się licytacji domu.

– Błędnie go oceniliśmy – oświadczyła Frankie. – Nie wydawał się facetem, który lubi zmiany. Jakie odniosłeś wrażenie?

– Identyczne. Możesz zadzwonić do Antona? Może Kat jest jeszcze w Bay. Znajdzie ją, zna każdego.

– Jasne, ale daj jej szansę, to dopiero dwadzieścia minut. Pewnie przed chwilą wyciszyła komórkę.

Wysiadł za nią z samochodu.

– Nie chcę zwlekać. Zadzwoni do niego od razu.

– Odczekajmy godzinę, potem zadzwonię. – Wskazała głową tablicę agencji nieruchomości. – Jak myślisz, co to oznacza?

– Że Arnie sprzedaje dom. Dlaczego próbujesz zmienić temat?

– Chcesz upierać się przy swoim? Okej. – Stała nieruchomo. – Jak byś zapewnił Kat bezpieczeństwo?

– Co?

– Rzuciłbyś się pod pociąg? Oddał w ręce Scotta?

– Tak.

– Więc Scott postępuje bardzo sprytnie, szukając jej, tak?

– Chcesz, żebym poczuł się jeszcze gorzej?

– Nie, prowadzę cię tam, gdzie nie chcesz dotrzeć. Scott robi dwie rzeczy: szuka ludzi i szuka ich rodzin. Anton jest twoją rodziną, ale Scott go nie szuka, on szuka twojej byłej żony. Dlaczego? Gdyby ktoś chciał się dostać do mojego byłego, powiedziałabym: proszę bardzo. Skąd więc Scott wie, że Kat to twój słaby punkt?

Zaczęło padać, ale żadne z nich się nie poruszyło.

– Jest córką Marii. Maria mnie leczyła.

– Celowo udajesz głupiego?

Tak. Robi to. Bo jej tok myślowy sprawia, że ma ochotę wydrapać sobie mózg.

– Mylisz się – powiedział. – Ant kocha Kat, nigdy by jej nie skrzywdził.

– Daj spokój, Cal, od początku zakładasz, że Anton jest w coś zamieszany. Trzy osoby pojawiają się bezustannie w tym śledztwie – Gary, Scott i Anton.

– Niemożliwe, by Anton napuścił Scotta na Kat.

Ruszył w stronę drzwi frontowych Arniego.

Frankie dotrzymywała mu kroku, mówiąc szybko, ale on na nią nie patrzył.

Chwyliła go za ramię, zanim zdążył zbliżyć się do domu. Na jej brwiach i rzęsach lśniły kropelki deszczu.

– Nic z tego, nie będziesz łamał własnych zasad. Patrz na mnie, kiedy ci tłumaczę, i to bardzo wyraźnie, że oszukujesz sam siebie. Nie wmawiaj sobie, że Anton jest lojalny wobec czegokolwiek z wyjątkiem własnego nałogu.

Wyrwał rękę z jej uścisku.

– Cofnij się, Frankie.

– Jest ćpunem. Nie powinieneś mieć do niego za grosz zaufania.

– Mówię poważnie: cofnij się, kurwa.

Deszcz spływał mu po karku i moczył koszulę.

– Nie żartuję. Wiem wszystko o uzależnieniu, wiem dokładnie, co Anton... – Westchnęła gwałtownie. – Cholera.

Podążył za jej spojrzeniem. Przy drzwiach domu Arniego wisiało coś niebiesko-

białego, furkocząc na wietrze. Taśma policyjna. Zakreśliło mu się w głowie. Zamordowany? Czy tylko ponownie napadnięty? W każdym razie coś koszmarnego; nie próbował nawet związać taśmy, bo oznaczałoby to wtargnięcie na miejsce zdarzenia.

Frankie otarła oczy z deszczu.

– Może sąsiedzi coś nam powiedzą.

Rozejrzył się po pobliskich domach. Ten naprzeciwno, po skosie, wydawał się najpewniejszy: wózek dziecięcy na frontowym ganku, na szybie naklejki z postaciami z bajek. Młoda mama w domu z dziećmi. Młode mamy są jeszcze lepsze niż stare baby, bo bardzo spostrzegawcze, bardzo czujne, bardzo znudzone.

– Dom z dziećmiakami – powiedział.

Skinęła głową, ale się nie ruszyła.

– Co z Antonem?

Rozluźnił zaciśnięte szczęki.

– Nie dzwoń do niego.

Ruszył w stronę ulicy, nim zdążyła mu powiedzieć, że podjął słuszną decyzję.

Otworzył im jakiś mężczyzna z niemowlęciem na ręku, trzydniowym zarostem i wonią skwaśniałego mleka na ubraniu. Młody tata ze swoim potomstwem w domowych pieleszach.

– Przepraszam, że przeszkadzamy – zaczął Caleb.

– Chwileczkę. Gotuje się.

Kontekst – połowa sukcesu, by zrozumieć, o co chodzi. Może słowo brzmiało „notuje się”? Nie, też bez sensu.

– Przepraszam...

– Wciąż się gotuje – wyjaśnił mężczyzna. – Trwa to trzy minuty. Muszę patrzeć na dużą wskazówkę.

No tak. Jeszcze jedno dziecko w domu i jajko na miękko. Albo odpowiednio miękki dwuminutowy makaron.

– O co chodzi? Niczego nie chcę kupować. I nie chcę niczego wspomagać. – Popatrzył na wierzące się niemowlę. – Chyba że chcecie wziąć jedno z dzieci. Mogę dać wam nawet dwoje.

– Wie pan, co się stało w tym domu po drugiej stronie ulicy? U Arniego Giannopoulosa?

– Och – skrzywił się. – Nie jesteście jego przyjaciółmi?

– Kolegami z pracy.

– Och. To dobrze.

– Ta taśma policyjna... Może nam pan powiedzieć, co się stało? Zamordowano go?

– Tak, w zeszłym tygodniu. Dziwne, że nie słyszeliście o tym w wiadomościach. Miły starszy gość, trudno uwierzyć. Cholerna rodzina nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wystawi dom na sprzedaż. Jeszcze go nawet chyba nie pochowali.

– Policja ma jakieś podejrzenia?

Młody tata spojrzął na zegarek.

– Jeszcze dwadzieścia sekund, muszę tego dopilnować. Zrobił to podobno ktoś pod wpływem amfy czy czegoś takiego. Arnie zachowywał się trochę paranoicznie, zainstalował te kraty w oknach, ale facet włamał się przez drzwi na tyłach domu. Cholerna rzecz ta amfa, zamienia ludzi w zwierzęta.

– Więc splądrowano dom?

– Nie, na tym polega tragedia. Drań nic nie wziął, poszedł prosto do sypialni Arniego i poderznął mu gardło. Okej, czas mi się skończył.



Nie był głodny, ale pojechali do greckiej knajpy przy Sydney Road, żeby wyschnąć i zastanowić się nad faktami. Frankie milczała przez ostatnie dziesięć minut, zając się swoim suwlaki. W końcu zmięła serwetkę w kulkę i podniosła wzrok.

– Może patrzymy na to z niewłaściwej strony. A jeśli Scott nie ma nic wspólnego ze skradzionymi papierosami? A jeśli szmuglował coś, wykorzystując w tym celu

magazyn? Mnóstwo magazynów? Szykuje swój mały numer, dopóki nie zjawia się Arnie i nie kradnie papierosów, a wraz z nimi tego, co szmugluje Scott. Więc Scott dokłada Arniemu, żeby odzyskać to, co należy do niego, potem wraca po tygodniu, żeby faceta zabić, ponieważ sprawa wzbudza zbyt duże zainteresowanie.

Ta teoria miała wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Pomijając tę część, w której Arnie zorganizował dwa duże włamania.

– Arnie nie potrafił zorganizować sobie życia, a co dopiero mówić o dwóch włamaniach do magazynu, wymagających użycia ciężkiego sprzętu i wyłączenia alarmu. Jedyną rzecz, jaką zrobił w domu, to zainstalował te kraty w oknach, ale już nie pomyślał, żeby zmienić główniany zamek na tyłach domu. To pionek.

– Pionki potrzebują kogoś, kto je przesuwa – powiedziała. – Może znał kogoś ustosunkowanego.

Słuszna uwaga. Kiedy go przepytawali, Arnie wspomniał o przyjacielu. I to niejedyn raz, jak czynią ludzie, kiedy starają się za wszelką cenę o kimś nie myśleć.

– Jego kumpel – oznajmił. – Właśnie jego musimy znaleźć.

– Jaki kumpel?

– Facet, o którym wspomniał, opowiadając o tym, jak się wywalił, kiedy wracał z pubu.

– To zmyślona historyjka, Caleb. Nie wywalił się, tylko ktoś mu dołożył. Scott.

– I jak w przypadku wszystkich zmyślonych historyjek, zawiera ziarenko prawdy – ten przyjaciel istnieje. Ma jakieś dziwne nazwisko, chyba zaczyna się na P.

Wrócił myślami do spierzchniętych warg Arniego i bełkotliwych zdań. Co on powiedział?

„Wypiłem kilka drinków z kumplem w pubie”. Pierre? Pytor? Percy?

– Już wiem: Pearose. Facet ma na imię Pearose.

– Pearose? Dziwne. Jesteś pewien?

Czuł gorąco na karku.

– Nie.

– Pearose, Pearose, Pearose. – Uderzyła dłonią o stół. – Mam: Pearose.

Nie wiedział, co wyczytała z jego twarzy, w każdym razie jej uśmiech zniknął. Wystukała coś na swoim telefonie i pokazała mu ekran – Spiros. No kurwa, jak miał się zorientować?

– W porządku – powiedziała. – Więc wystarczy znaleźć w Melbourne Greka o imieniu Spiros. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Jak więc mamy go według ciebie znaleźć? Nie znamy nawet jego nazwiska.

– Zaczniemy od nekrologów Arniego. – Otarła usta. – Jeśli nie zamierzasz tylko siedzieć i jeść, to ruszajmy.



Znaleźli na końcu ulicy kafejkę internetową wciśniętą między butik z sukniami ślubnymi i sex shop. Klawiatura odznaczała się niepokojącą lepkością: wolał nie wiedzieć, jaka klientela tu bywa – z butiku czy z sex shopu. Przejrzeli nekrologi z ostatniego tygodnia i znaleźli ten dotyczący Arniego: ukochany ojciec Touli, dziadek Zoe i Oscara. Żadnego wspomnienia pośmiertnego od przyjaciela imieniem Spiros, wraz z podsuniętym na tacy nazwiskiem i adresem. Wygugłał Toułę Giannopoulos i otrzymał kilka wyników, wszystkie w rodzimym języku, dotyczące Grecji. Wyglądało na to, że córka Arniego albo wyemigrowała, albo przyjęła nazwisko męża.

– Zadzwońię do domu pogrzebowego – zaproponowała Frankie. – Może powiedzą mi, jak skontaktować się z córką.

Skinął głową i znów zaczął przesuwac ogłoszenia: istniała szansa, że zdołają wytropić Spirosa za pośrednictwem innego przyjaciela Arniego, jeśli któryś zamieścił kondolencje. Nic z tego dnia ani następnego, i jeszcze następnego. Zaraz. Cofnął się. Jest wiadomość, ale nie dla Arniego.

Nasz najdroższy Tato

Spiros Galto

Odszedł za wcześnie

Zawsze będziemy cię kochać.

– Kurwa.

Frankie opuściła komórkę.

– Co?

Dźgnął palcem w ekran.

– Spirosa też zabił.

– Jezu. Sądzę, że to wyjaśnia sprawę.

Chciała odłożyć telefon, ale ją powstrzymał.

– Zadzwoń do Kat jeszcze raz.

Od ostatniej próby upłynęło zaledwie piętnaście minut, ale spełniła jego polecenie bez sprzeciwu.

– To dopiero godzina – powiedziała, wyłączając telefon. – Nie ma powodu do niepokoju.

– Tak.

Odsunął krzesło i wyszedł na zewnątrz.

Buzujący żar w żołądku. Ma dwie możliwości: jechać do Bay albo opieprzać się tutaj. Jedno i drugie wydawało się bezsensowne. Tu żadnych tropów, a tam – nie wiadomo, czy Kat jest jeszcze w Bay. Ruszył, by przejść przez ulicę, i wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. Czuł ich ciężar: to były kluczyki Gary’ego. Przełknął z wysiłkiem ślinę. Ilu ludzi ma jeszcze umrzeć, nim sprawa dobiegnie końca?

Nagły podmuch powietrza.

Woń przegrzanych hamulców i oleju napędowego.

Czyjeś ręce ciągnące go gwałtownie do tyłu.

To Frankie trzymała go mocno za ramiona, jej twarz była biała jak ściana.

– Kurwa, Cal.

Cholera, właśnie wlażł wprost pod ciężarówkę.

– Przepraszam, zagapiłem się.

Kluczyki Gary’ego leżały na asfalcie wśród odłamków plastiku. Zaczekał, aż auta przejadą, i je podniósł. Latarka i długopis były pęknięte. Kluczyki wydawały się w porządku, ale „niesamowity” scyzoryk Gary’ego pękł w połowie. Postanowił złożyć obudowę, która rozpadła mu się w rękach.

– Kurwa.

Spróbował znowu, odczuwając idiotyczną potrzebę poskładania tego wszystkiego do kupy. Dopiero po kilku próbach uświadomił sobie, że trzyma w dłoni pendrive’a. Sprytne: urządzenie musiało być schowane w scyzoryku. Pomyślał, że Gary na wszelki wypadek trzymał przy sobie pamięć przenośną.

Popatrzył na Frankie.

– Zawsze wszystko przechowywał.

– W porządku, pewnie uda się wymienić te części.

– Nie o to chodzi. Scott zabrał jego komputer. – Pokazał jej USB. – Ale Gary za każdym razem robił kopie, by się zabezpieczyć.

Patrzyła na pendrive’a.

– To jest ta mała rzecz, której szukają?

– Niewykluczone.

– Szkoda, że wrzuciłeś go pod koła pieprzonej ciężarówki, co?

Obejrzał urządzenie: obwody były na wierzchu, a wtyk zgnieciony.

– Możemy zanieść to do specjalisty od sprzętu komputerowego.

– Chyba cudotwórcy. Całkowicie zniszczone. – Wyjęła komórkę i popatrzyła na ekran. – To nie Kat – powiedziała, potem zwróciła się do rozmówcy: – Witam, detektywie. Jasne, o co chodzi?

Jej twarz straciła wszelki wyraz.

– Co się stało? – spytał.

– Ale dlaczego... – Odwróciła się, zmuszając go, by wychwytywał pojedyncze słowa. – ...pan... zdjęcie... kurwa, okej.

Chwycił ją za ramiona, by przytrzymać w miejscu.

– Pół godziny. Dobrze.

Rozłączyła się.

– Nie waż mi się tego robić, kurwa! Wyświadczyć mi kurewską przysługę i...

– Cal.

W jej oczach pojawiły się łzy.

Zabrakło mu powietrza w płucach. Nagle zapragnął nie wiedzieć, czego dotyczyła rozmowa.

– Tedesco chce, żebyśmy obejrżeli zdjęcie jakiejś kobiety. Cal, on sądzi...

Odwrócił wzrok, żeby nie widzieć pozostałych słów.

Nie Kat. Tylko nie ona!

25.

Dłoń na jego ramieniu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Frankie.

Skinął głową i wysiadł z samochodu. Otaczał ich wielki park. Jezioro, dzieci, kaczki. Tedesco siedział przy zadaszonym stoliku obok drewnianej budki. Caleb ruszył w jego stronę; jeden krok, potem drugi po mokrej trawie. Był tu też plac zabaw. I staw, szaroniebieski pod zachmurzonym niebem. Jakiś samotny pływak pruł jego lodowate wody. Zimniej, im bliżej brzegu. Zimniej w wodzie, krew ścinająca się w żyłach.

Tedesco popatrzył w jego stronę i wstał. Trzymał w ręku dużą kopertę.

Stopy Caleba odmówiły mu posłuszeństwa.

– Połamali Gary’emu palce. – Słowa same wypłynęły mu z ust.

Frankie drgnęła.

– Wiem.

– Pocięli go.

Skinęła głową.

– Jeśli... nie mogę... jeśli Kat...

Frankie uniosła dłoń, potem ją opuściła.

– Może to nie ona – oznajmiła w końcu.

Znów zaczął iść. Wydawało się, że jego stopy nie funkcjonują prawidłowo albo że ziemia jest nie tam, gdzie być powinna. Tedesco skinął pospiesznie głową, kiedy zbliżyli się do niego, i zaczął mówić powoli i metodycznie. Coś o formalnej

identyfikacji i koronerze. Wzrok Caleba powędrował ku kopercie. Była zwykła, szara, nic nie sugerowało jej koszmarnej zawartości. Serce miał boleśnie ściśnięte, tlen nie docierał do mózgu.

Frankie poklepała go po ramieniu.

– Ja to obejrzę.

Pokręcił głową i Tedesco wyjął zdjęcie z koperty. Caleb musiał zamrugać kilkakrotnie, by odzyskać ostrość widzenia. Leżała na stalowym stole sekcyjnym, patrząc wprost na niego, przyćmiony blady połysk w niebieskich oczach. Martwa. Tak bardzo martwa. Pozbawiona wszystkiego, co sprawiało, że za życia roztaczała wokół siebie prawdziwy blask. Splątane włosy opadały w nieładzie na twarz. Odarta z wszelkiej godności.

Oddał detektywowi zdjęcie.

– To nie jest Kat.

Usta policjanta poruszały się, ale on się odwrócił i ruszył niepewnie w stronę toalet. Ledwie zdążył wejść do kabiny i zwymiotował. Miał wrażenie, że wszystko się w nim przewraca. Wszystko z niego wycieka. Z wyjątkiem strachu; ten pozostał. Zbyt silna reakcja. To nie Kat. To nie była Kat. Jakaś inna kobieta leżała martwa ze splątanymi włosami, nie Kat. Nie potrafił jednak opuścić alternatywnego świata, tego, w którym obraca zdjęcie i widzi leżącą Kat. Dźwignął się, przepłukał usta nad umywalką, spryskał wodą twarz. Powolny, powolny oddech. Wciągnąć powietrze, wypuścić powietrze. Wciągnąć powietrze, wypuścić powietrze. Nie Kat. To nie była Kat.

Frankie czekała, stojąc dyskretnie z boku i stukając palcami o uda. Odwróciła się, kiedy do niej podszedł, i wzięła go w objęcia, po czym wsparła się czołem na jego ramieniu. Stał przez chwilę, potem oderwał się od niej. Czuł w oczodołach piekący żar.

– Usiądź – pokazała na palcach. – Kawa duży człowiek motyl.

Roześmiał się. Było bardzo prawdopodobne, że zrobiła to specjalnie, ale i tak to doceniał.

Usiedli obok siebie przy zadaszonym stoliku i patrzyli, jak Tedesco zmierza po trawniku w ich stronę; trzymał jakieś kubki, butelki i prowiant zawinięty w papier.

Kopertę ścisnął pod pachą.

Podskoczyło mu serce.

– A jeśli... jeśli się pomyliłem? Powinienem jeszcze raz obejrzeć to zdjęcie.

– Sprawdziłam – to nie Kat. Wierz mi. – Skierowała wzrok na Tedesco. – Szybki jest.

Ruszyła w stronę detektywa. Tedesco podał jej kubki z kawą; stali, rozmawiając, czubek jej głowy ledwie sięgał brody policjanta. Caleb odnosił nieodparte wrażenie, że Frankie go beszta, a Tedesco nie przyjmuje tego potulnie. W końcu warknęła coś, co sprawiło, że duży człowiek się przymknął, po czym zaczęli zmierzać w stronę stolika, zawarłszy widocznie rozjem.

Usiedli naprzeciwko niego, Tedesco podsunął mu kawę i biszkopty z czekoladowym lukrem i wiórkami kokosowymi.

– Węglowodany. Dobre na szok.

– Dzięki – powiedział, ale nie tknął kawy ani ciastek. Wiedział, że upłynie jeszcze chwila, nim zdoła zaufać żołądkowi.

Frankie i Tedesco gawędzili, popijając z kubków; dwoje obcych sobie ludzi, którzy próbują znaleźć wspólny grunt, nim świat odzyska równowagę. Rozmawiali o kawie. Tedesco lubił słabą, z dużą ilością mleka i cukru. Frankie patrzyła na niego z wyrazem twarzy bliskim obrzydzenia. Nie był to zapewne tak bezpieczny temat, jak im się wydawało. Obserwował ich usta, ale nie potrafił się skoncentrować. Ciało miało ociężałe, adrenalina spadała. Przydałaby się teraz odrobina snu. Może nawet tutaj, przy tym zadaszonym stoliku. Mógłby się zdrzemnąć kilka godzin, podczas gdy Frankie i Tedesco spieraliby się, czy cappuccino jest odpowiednim napojem dla policyjnego detektywa.

– Wspaniale – powiedziała Frankie.

Porzucili temat kofeiny.

– Wspaniale? – spytał Caleb.

– Znalazłem coś o Michaelu Petroninie – odparł Tedesco. – Jest znany policji. Nic szokującego. Kilka napaści, siedział za to, kiedy miał dwadzieścia parę lat, ale od tamtej

pory nie był notowany. Nikt też go nie oskarżył.

Nietrudno było się domyślić dlaczego. Caleb ujrzał w wyobraźni ten bezduszny uśmiech.

– Odszukaliście jego byłą żonę?

– Nigdy nie był żonaty.

Do diabła.

– Więc nie wie pan, kim jest ta kobieta obok niego na zdjęciu?

– Nie.

– Dowiedział się pan o nim czegoś jeszcze?

Tedesco skonsultował się z jakimś swoim wewnętrznym kodeksem, nim odpowiedział.

– Żadnych znanych kontaktów, ale krążą pogłoski, że trudnił się szantażem dla kilku miejscowych bossów. Najwidoczniej jest niezwykle przekonujący. – Urwał. – Był niezwykle przekonujący. Znalaziono go wczoraj martwego, niedaleko małej miejscowości Resurrection Bay. Morderstwo.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Jakież tropy? – spytała Frankie.

Twarz detektywa była nieprzenikniona jak zawsze.

– Prawdopodobnie porachunki gangów. Został zastrzelony z tej samej broni, z której zabito w zeszłym tygodniu policjanta.

Caleb wyprostował się gwałtownie.

– Kolejny gliniarz? Kto? Kiedy?

– Starszy posterunkowy Anthony Hobbs. Zastrzelono go wcześniej rano dwudziestego czwartego czerwca.

Tego samego dnia zginął Gary.

– Więc jego śmierć ma związek ze śmiercią Gary'ego.

– Nie potwierdzono tego.

– Czy Hobbs miał jakiś związek z Petroninem?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Albo ze Scottem?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Albo z Garym?

Prawie niedostrzegalne wahanie.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Caleb zerknął na Frankie; ona też to zauważyła. Niezbyt pewne ogniwo, ale prawdopodobne. Dlaczego Tedesco miałby podejrzewać, że Gary i Hobbs znali się kiedykolwiek?

– Gdzie służył Hobbs? – spytał.

– W Craigieburn.

Nie był to obecny posterunek Gary’ego, ale pracował tam jednak cztery lata wcześniej. Średniej wielkości jednostka na przedmieściach, dwaj starsi posterunkowi; nie można było wykluczyć, że się znali. Zasadniczą kwestię stanowił charakter tej znajomości.

– Jaki był Hobbs? – spytał.

– Nie znałem go.

Nicznym wyrywanie zęba. Wielkiego kamiennego zęba z głowy posągu na Wyspie Wielkanocnej.

– Co można powiedzieć o przebiegu jego służby?

– Wzorowa.

Tedesco napił się kawy, czekając w milczeniu na następne pytanie.

Frankie popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Gadatliwy z pana drań, co?

Błysk w oku detektywa.

– Nie zostało to potwierdzone.

Skinęła głową ze zrozumieniem i postukała palcem w kopertę leżącą tuż przy jego łokciu.

– Proszę wyjaśnić co najmniej w trzech słowach związek między martwą kobietą i sprawą.

– Wątpię, czy jakiś istnieje. Zobaczyłem jej zdjęcie i wyciągnąłem wnioski. Takie było moje zadanie. – Napotkał wzrok Caleba. Chwila szczerości. – Przykro mi, że pana na to naraziłem.

Caleb pokręcił głową.

Franki zmarszczyła czoło.

– Skąd pan wie, jak wygląda Kat?

– Mam planszę ze zdjęciami. Pozwala mi dostrzec powiązania.

– W samym centrum pieprzonej komendy w Broadmeadows? Tam, gdzie płacze się Scott, opłacając gliniarzy?

Jego twarz nie zmieniła wyrazu.

– Tę planszę mam w domu, pani Reynolds. Rzecz niezupełnie oficjalna.

Odczekała minutę, potem powiedziała sucho:

– Przepraszam. Jestem chyba za nerwowa.

Caleb zauważył, że patrzą na siebie wilkiem.

– Detektywie...

– Uri – przerwał mu Tedesco.

– Słucham?

– To właśnie ja, stary. – Detektyw uśmiechnął się po raz pierwszy, co odmieniło jego twarz. – Tak mam na imię.

– Posłuchaj, Uri, podejrzewamy, że Scott mógł coś szmuglować przez magazyn. Coś, co Arnie przypadkowo ukraść.

– Dobra teoria. Dysponujecie dowodami, które by ją potwierdzały?

– Nie, ale znaleźliśmy pendrive, który należał do Gary'ego. Niewykluczone, że coś

na nim jest.

Sięgnął do kieszeni po pendrive'a, ale Frankie kopnęła go w goleń. Zamarł.

– Powtarzam ci, że niczego z niej nie odzyskamy. – Popatrzyła na Tedesco. – Wrzucił pendrive pod koła ciężarówki. Jest cały spieprzony.

Caleb cofnął powoli rękę i sięgnął po butelkę z wodą.

– Nie uwierzylibyście, co mądrale od komputerów potrafią wyczyniać. Gdzie jest?

– U naszego informatyka – odparła Frankie bez wahania.

– To potencjalny dowód, powinien znajdować się w policyjnym laboratorium. Jaki adres? Poślę tam kogoś.

Pokręciła głową.

– Nie chcę oddawać tego jakiemuś żółtodziobowi, który współpracuje z Szarym albo nie. Jeśli nie masz czasu pojechać sam do Frankston, to może my się tam wybierzemy i przekazemy ci pendrive?

Tedesco milczał przez dłuższą chwilę.

– W porządku.

Zmarszczki wokół oczu Frankie wyraźnie się wygładziły.

– Zadzwoń, kiedy już będziemy go mieli.

Caleb pojął aluzję i uścisnął detektywowi dłoń.

– Dzięki, Uri. To prawdziwa ulga wiedzieć, że ktoś zorientowany w sprawie jest po naszej stronie.

Tedesco uśmiechnął się posępnie.

– Przykro mi, że rozwiewam wasze złudzenia, ale pracuję w komendzie dopiero od pięciu tygodni. Nie zdążyłem jeszcze nawet poznać Melbourne.

Ta zmiana modulacji głosu, typowa dla mieszkańca pustynnych terenów Australii, wciąż obecna w jego policyjnym żargonie. Może nie awansował szybko, może gnił do tej pory w jakimś zapyziałym miasteczku z jednym pubem. Co może oznaczać, że jest albo bardzo głupi, albo bardzo bystry.

– Pochodzisz z prowincji?

Tedesco patrzył na niego przez chwilę.

– Tak. Ale nie martw się, trenowałem z dużymi chłopakami.

Bardzo bystry.

Odprawiali go wzrokiem, kiedy przemierzał park. Jak na tak dużego mężczyznę poruszał się wyjątkowo zwinnie.

26.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał Caleb, kiedy wracali do samochodu.

– Masz na myśli to, co uruchomiło we mnie dzwonek alarmowy?

– Co konkretnie?

– To, że Tedesco wie przypadkowo o Kat. Że ma przypadkowo jej zdjęcie. Że znajduje przypadkowo fotografię martwej kobiety, która jest do niej podobna.

– Nie tak bardzo.

Na tyle, by przyprawiać go przez długi czas o koszmary.

– Dostatecznie podobna, by wyciągnąć cię na odkryty teren. No i to „mów mi Uri”.

– Pokręciła głową. – Nie pasuje do niego.

Analizował tę rozmowę, kiedy wsiadali do samochodu. Nie ulegało wątpliwości, że Tedesco nie lubi łamać zasad, ale odpowiadał na każde pytanie, jakie mu zadali. Zdawkowe poczucie humoru też wydawało się szczere.

– Nie odbieram tak tego, wydaje się, że naprawdę chce pomóc. No i spotkałem się z nim dziś rano, na otwartej przestrzeni, gdzie miał mnóstwo okazji, by mnie zaatakować.

– Nie kwestionuję twojego szóstego zmysłu, ale spotkał się z tobą bezzwłocznie, w miejscu, które wyznaczyłeś. Gdybym chciała kogoś załatwić, wiesz, co bym zrobiła? Upewniłabym się, że ten ktoś jest zmęczony i zestresowany, a potem pogadałabym z nim przez chwilę, żeby mu pokazać, jaka ze mnie wspaniała dziewczyna. Następnie, jak by już zaczął się odprężyć, odeszłabym i pozwoliła, by sprawą zajęli się faceci wagi ciężkiej.

Ma rację: Tedesco jest bystry, subtelny i ambitny. Nie było wykluczone, że ta historyjka spod znaku „jestem tylko outsiderem” to jedynie podstęp. Skąd mogą wiedzieć, czy nie przyjaźni się ze wszystkimi gliniarzami w Melbourne?

– Więc się zgadzamy? – spytała. – Wybieramy się na bardzo długą przejażdżkę w gęsto zaludnionej okolicy i nie spotykamy się więcej z Tedesco sam na sam?

– Tak. I musisz się pozbyć swojego telefonu.

Przycisnęła komórkę do piersi.

– Swojego iphone’a? Zapomnij, kurwa.

– Jeśli Tedesco pracuje dla Scotta, twoja komórka zaprowadzi go prosto do nas.

– Cholera. – Wyłączyła iphone’a, przeklinając płynnie, kiedy zmagiała się z kartą SIM. – Zadowolony? – spytała, wkładając ostrożnie części do schowka na rękawiczki.

– Będę sprawdzała tylko wiadomości.

– Mam cię uściskać?

Pokazała mu środkowy palec i wyprzedziła autobus. Przechylił lusterko w swoją stronę i zaczął obserwować drogę. Po dwudziestu minutach jazdy po jednokierunkowych ulicach, nagłych postojach i niespodziewanych skrętach w prawo wyraźnie się odprężył. Niemożliwe, by ktoś za nimi jechał.

Wskazał wielopiętrowy parking.

– Zatrzymaj się tam na chwilę.

Zrobiła, jak kazał.

– Co jest?

– Jeśli zamierzamy zachowywać się paranoicznie, to równie dobrze idźmy na całość i wymieńmy tablice rejestracyjne.

Wyjął dwa śrubokręty z pojemnika na narzędzia w bagażniku. Anton zapewne nie wiedział, że tam są, bo już by ich dawno nie było. Podał jeden śrubokręt Frankie.

– Zdejmij nasze tablice, a ja poszukam zamienników.

Ruszył między rzędami samochodów. Byle nic nowego, byle nic rzucającego się w oczy. Samochód, który jest tylko samochodem, taki, którego właściciel nie zauważy

od razu podmienionych tablic. Jest – stare renault z drucianym wieszakiem w kształcie Australii, służącym za antenę.

– Raz przestępca to zawsze przestępca – zauważyła Frankie, kiedy wrócił z tablicami.

– Jeden samochód, Frankie. I miałem wtedy dwanaście lat.

Pięć samochodów, kiedy miał lat czternaście, ale kto by to liczył.

Kopnęła łyse opony.

– Jazda niesprawnym samochodem nie jest zbyt mądra w przypadku kryminalisty twojego pokroju. Każdy gliniarz może nas za to zatrzymać.

Słusznie. Najwyższy czas, by przestali unikać tego, co nieuniknione.

– Sprawdźmy rano mieszkanie Gary’ego. Będę mógł zabrać swój samochód.

– Miałam nadzieję, że ukradniesz dla mnie tego mercedesa, który tam stoi, ale wymagałoby to szczegółowego planu.

Podróż upłynęła we względnym spokoju, zakłócanym tylko przez minimalne korki na drodze; pół godziny później Frankie podjechała pod motel. Żadne z nich nie miało ochoty wysiąść.

– Ciężki dzień, co?

– Tak.

Sam nie wiedział, czy dałby radę znieść więcej.

Poskładała swój telefon i sprawdziła wiadomości. Serce podjechało mu do gardła, kiedy nagle znieruchomiała, ale uśmiechnęła się szeroko, podając mu komórkę.

– To chyba do ciebie.

„Bezpieczna. Nie w Bay ani w Melbourne. Kat”.

Z barków spadł mu wielki ciężar, ale poczuł jednocześnie ucisk w krtani.

Bezpieczna. Jest bezpieczna.

– Szkoda, że nie powiadomiła nas trochę wcześniej – oznajmiła w zadumie Frankie.
– Oszczędziłaby nam mnóstwa trosk.

Bezpieczna.

Do oczu napłynęły mu gorące łzy. Wydaje się, że Kat przedsięwzięła sensowne środki ostrożności, że jest odpowiednio zorganizowana. Ale niezbyt zadowolona, jeśli chodzi o niego – żadnych całusków przed imieniem. Czy kiedykolwiek wcześniej przesłała mu wiadomość, nie podpisując się całusem? Czy kiedykolwiek przesłała komuś taką wiadomość? Suche fakty, cholera.

– Wciąż posługuje się swoim telefonem. Powiedziałaś jej chyba, żeby go zostawiła?

– Ach. Nie przeczytałaś drugiej wiadomości.

– Drugiej czego?

– Jest druga wiadomość.

Przeciagnał palcem po ekranie.

„...to automat telefoniczny, idioto. Doceniaj mnie bardziej”.

Frankie walnęła go w ramię.

– Trzeba to uczcić, nie sądzisz?

– Boże, tak. Ja stawiam. – Pogrzebał w kieszeniach. – Myślisz, że będzie kosztować więcej niż trzy dolary?



Frankie zapłaciła za jego piwo i dwa steki z frytkami w najbliższym pubie. Sama zjadła kilka frytek, potem siedziała, racząc się wodą mineralną; pochłonął całe piwo od razu, żeby nie musiała na nie patrzeć.

– Porządny posiłek, krok we właściwą stronę – skomentowała, kiedy zgarniał sos frytkami. – Potem zaśniesz.

Miała rację; gdy tylko przełknął ostatnią porcję, był gotów położyć się na cuchnącej podłodze knajpy i zasnąć.

– Przynajmniej nie wydałam dużo na tę randkę. – Wstała. – Chodź, księżniczko, położę cię do łóżeczka.

Ruszyli z powrotem do motelu, dystans trzech przecznic wydawał się znacznie dłuższy niż w przeciwną stronę. Kiedy mijali automat telefoniczny, myśl, która nie dawała mu spokoju od chwili otrzymania wiadomości od Kat, przybrała wreszcie wyraźne kształty. Był dotąd tak skupiony na tym, do kogo feralnego dnia dzwonił Gary, że zapomniał o telefonie do niego. Detektyw McFarlane naciskał go w tej sprawie podczas przesłuchania. Wciąż widział pełen niedowierzania uśmiech rudowłosego mężczyzny.

„No, Caleb, zdołałeś zadzwonić wczoraj na numer alarmowy. Zatem potrafisz posługiwać się telefonem”.

Przystanął.

– Dlaczego ktoś miałby korzystać z automatu?

Frankie wykrzywiła usta.

– Żeby się w nim odlać, sądząc po zapachu.

– Albo żeby numer nie pojawił się na czyimś wykazie połączeń.

– Jasne. A o co chodzi? Chcesz uprawiać stalking?

– Ktoś dzwonił do Gazy z automatu tamtego dnia, kiedy zginął. Gliniarze wciąż do tego wracają, zwłaszcza facet z Wydziału Wewnętrznego. Zastanawiam się, czy nie był to ktoś, kto wiedział, że policja będzie grzebać w billingach Gary’ego. Ktoś, kto wiedział, że go zabiją.

– Albo ktoś, komu padła bateria czy skończyła się karta, ale okej, niech będzie. I co? To automat, nie da się ustalić, kto z niego korzystał.

– Nie, ale dobrze byłoby ustalić jego numer i dowiedzieć się, gdzie stoi automat. Spyta Sharon.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie przeczytała wiadomości albo nie miała siły przeglądać swoich połączeń, ale warto spróbować. Zawrócił i wszedł do budki telefonicznej, dostrzegł jednak minę Frankie, gdy podnosił słuchawkę.

– Uważasz, że to kiepski pomysł?

Wzruszyła ramionami.

– Dobry, dopóki nie uświadomisz sobie, że istnieje drugi powód, dla którego ktoś nie chciał, żeby jego numer pojawił się w billingu Gary’ego. Powód, dla którego ci z Wydziału Wewnętrznego tak bardzo interesują się tym połączeniem.

– Bo ten, kto dzwonił, razem z Garym zamieszany był w coś szemranego? Tak, nie powiem o tym Sharon.

Albo o dręczącym strachu, że ten ktoś dzwonił z Bay.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Prysznic, mała buteleczka whisky z minibarku i był gotów zapaść w śpiączkę. Zatrzymał się przy drzwiach. Frankie sam na sam z minibarkiem przez całą noc. Może należałoby go opróżnić.

– Wyczyszczę twój mini...

Odwróciła się, machając nieznacznie, i ruszyła korytarzem. Zaczekał, aż zniknie, potem otworzył drzwi. Zamknął je na klucz i stanął na środku pokoju. Bezpieczna. Kat jest bezpieczna. Wydawało mu się, że upłynęły wieki od chwili, gdy trzymał w dłoniach zdjęcie martwej kobiety; czuł pod powiekami grozę każdej sekundy tamtego momentu. Dwudziesta: za wcześnie, żeby normalny człowiek myślał o śnie. Może tylko drzemka. Położył się w ubraniu na łóżku i zamknął oczy.

27.

Łóżko drżało. Pewnie znów zapomniał wyłączyć alarm w telefonie. Wyciągnął rękę do Kat, żeby ją przeprosić, ale natrafił tylko na chłodne prześcieradło. Uniósł z wolna powieki. Stała nad nim Frankie z papierowym kubkiem kawy i kopała w łóżko.

– No i obudził się – powiedziała. – Świeżutki po swoim pięknym śnie.

– Jak się tu dostałaś?

– Uporałam się z zamkiem. Masz szczęście, że nie jestem Scottem. Zajęło mi to dwie sekundy.

Usiadł, mrugając. Czuł w karku sztywność, jakby spał w tej samej pozycji przez ostatnie...

– Rany – mruknął, spoglądając na zegar przy łóżku.

– Tak, niesamowite. Nigdy chyba nie byłam świadkiem takiego trzynastogodzinnego maratonu. Z trudem się powstrzymywałam, by nie sprawdzić, czy wciąż oddychasz.

Podrapał się po twarzy.

– Zostawiłem chyba na poduszce część mózgu.

Wsunęła mu kubek w dłoń.

– To ci pomoże go odzyskać. Mamy parę spraw do załatwienia.

Zabrał kubek do łazienki i pił kawę, biorąc prysznic, zdołał nawet oddać mocz w kabinie. Kto powiedział, że mężczyźni nie potrafią robić kilku rzeczy naraz? Wyjął przypadkowy komplet ubrań pożyczonych od Antona – czarne dżinsy

i ciemnoczerwony sweter – i obejrzał się w lustrze. Prawie przypominał człowieka.

Frankie przyjrzała się jego strojowi, kiedy wszedł do pokoju. Siedziała po turecku na jego łóżku, zjadając pospiesznie kanapkę.

– Zadajesz niemal szyku. W sklepie nie było starych podkoszulków? – spytała, rzucając mu jakiś pakunek. Plik banknotów spiętych gumką.

– Nie za wcześnie, żeby rabować bank?

– Nie korzystamy z kart. To wszystko, co mogłam wypłacić z bankomatu. – Rzuciła mu drugą paczkę.

Obejrzał ją.

– Kanapka z sałatką na śniadanie? Co, dostałaś świra na punkcie zdrowej żywności?

Od razu pożałował tych słów, ale tylko skinęła głową.

– To albo ciastko czekoladowe.

Przyjrzał jej się ukradkiem, jedząc bułkę. Nieźle wyglądała tego ranka. Żadnych dreszczy, nerwowego stukania palcami czy śladu worów pod oczami. I z zadowoleniem pochłaniała wegetariańską kanapkę. Doskonale. Biorąc pod uwagę, że oboje są w pełni sił, mogą coś tego dnia osiągnąć.

– Mail od Elle, dziś rano – powiedziała, podając mu telefon.

Była to obiecana lista ludzi mających dostęp do magazynu. O wiele dłuższa, niż się spodziewał. Ułożyła nazwy w porządku alfabetycznym, od A: Alston Electrics, do L: Light Solutions. Nie, była jeszcze jedna strona – P: Premium Occasions.

– Daj spokój. – Frankie podsunęła mu coś ciężkiego w brązowej torebce. – To ci poprawi humor. Wzięłam ciasto czekoladowe.

Zjadł je, idąc do samochodu, kolejny przykład wielozadaniowości, do której poprzedniego dnia nie byłby zdolny. Jedzenie, sen, ulga: wszystko, czego człowiek potrzebuje, żeby prawidłowo funkcjonować. No, prawie wszystko. Wyobraził sobie, jak oplatają go długie nogi i ręce Kat. Oderwał myśli od tego obrazu i wsiadł do wozu.

– Dokąd? – spytała Frankie.

Wziął głęboki oddech.

– Do domu Gary’ego.



Nawet z ulicy dom wyglądał na opustoszały. Żadnego samochodu na podjeździe, żadnych deskorolek czy rowerów na ganku. Frontową część posesji porastała wysoka trawa. Gdyby Gaz tu był, chodziłby z kosiarką i zmuszał źdźbła do uległości.

– Idź na kawę czy coś innego – zaproponowała Frankie. – Tymczasem ja się rozejrzę.

Kuszące, ale to on zna ten dom, zna tę rodzinę.

– We dwoje sprawniej się z tym uporamy.

Zbliżył się do drzwi wejściowych i szybko je otworzył, żeby się nie rozmyślić. Powietrze było ciężkie. Stał w holu, starając się nie wspominać tego ostatniego razu, kiedy tu był. I jeszcze bardziej starając się nie wspominać wcześniejszych chwil. Stolik w przedpokoju zniknął, także zdjęcia, które wisiały na ścianach. Ruszył w głąb domu, świadomy obecności Frankie tuż za plecami. Salon ogołocony z mebli i książek. Woń środka dezynfekującego i olejku sosnowego.

W miejscu, gdzie umarł Gary, terakotę znaczyła jasna plama.

Drgnął, kiedy Frankie dotknęła jego ramienia.

– Sprawdź na górze – powiedziała. – Ja przeszukam parter.

Wszedł po schodach, nie oglądając się za siebie. Łazienka i główna sypialnia były puste. Ani śladu mebli, ani śladu przyborów toaletowych. Otworzył garderobę. Nic. Przesunął dłoń po ościeżnicach i futrynach drzwi, ale nie znalazł żadnych sekretnych wgłębień czy ukrytych wiadomości. Wykładzina była solidnie przymocowana do desek podłogi i nie nosiła śladów ingerencji. Sprawdził pokój dzieci. Bezsensowne: Gary nie trzymałby w ich pobliżu niczego niebezpiecznego. Rzecz warta przemyślenia. Jeśli Gary coś miał i nie chciał, by to znajdowało się w pobliżu jego rodziny, to gdzie mógł to umieścić? Może w garażu.

Odwrócił wzrok od poplamionej podłogi, kiedy schodził na dół. Teraz do garażu,

przez drzwi w pralni. Pomieszczenie zostało opróżnione do czysta. Ani jednego śrubokrętu czy gwoźdźca.

Błysnęło światło. Pojawiła się Frankie.

– Jeśli to było tutaj, to już zniknęło – powiedziała. – Gdzie są ich wszystkie rzeczy?

– Nie wiem. Ale nie sądzę, by to coś znajdowało się tu kiedykolwiek. Gaz nie przyniósłby do domu czegoś niebezpiecznego.

– Może mimo wszystko zadzwonię do Sharon, dowiem się, gdzie podział się ich dobytek. Jaki jest do niej numer?

Zawahał się.

– Cal, daj spokój, wiesz, że nie będę jej męczyć. Tylko kilka pytań.

– Nie chodzi o ciebie, tylko... Jest w tej chwili bardzo krucha i wrażliwa, poza tym nigdy się nie poznałyście.

– Tak, wiem, główniana sytuacja, ale będę delikatna jak ty. Obiecuję.

Zadzwoniła, podczas gdy on przenosił ich rzeczy do swojego samochodu. Skończyła rozmawiać, kiedy wciąż zmieniał tablice rejestracyjne.

– No cóż, siostra Sharon szczerze cię nienawidzi – oznajmiła.

– Tak. – Opuścił dłoń ze śrubokrętem. – Jak Sharon?

– Nie udało mi się z nią porozmawiać. Nie musiałam, jak się okazało. Michelle wynajęła profesjonalną firmę, żeby opróżnić dom. Większość rzeczy wylądowała chyba na wysypisku śmieci. Prześle ci rachunek, tak przy okazji.

To wydawało się uczciwe.

– Więc znów ślepa uliczka.

– Niezupełnie. Przekazała mimo wszystko wiadomość od Sharon: numer automatu telefonicznego, z którego dzwonili do Gary'ego.

– Czy...

– Właśnie to robię. – Wprowadziła numer do zwrotnej książki telefonicznej: Queens Parade, Clifton Hill.

Nie w okolicach Bay. Ani też w okolicach czegokolwiek, co miałyby związek ze sprawą. Znał tę ulicę, jechał nią któregoś dnia po wizycie w magazynie. Co tam jest? Sklepy, restauracje, jeszcze więcej restauracji.

– Jakież teorie?

– Nie, ale możemy ustalić adres domowy każdej podejrzanej osoby i zobaczyć, czy ktokolwiek mieszka w Clifton Hill. Nigdy nie wiadomo, może dopisze nam szczęście.

W przypadku wszystkich potencjalnych czynności zawsze jest ten pierwszy raz. Skończył przykręcać tylne tablice rejestracyjne i schował śrubokręt do bagażnika. Frankie obserwowała go, stukając komórką o udo.

– Co? – spytał.

– Michelle... Skąd ta agresja? Omal nie rozsadziła mi głowy swoim krzykiem, kiedy upierałam się, żeby pogadać z Sharon.

– Jest opiekuńcza. Wiesz, jakie bywają starsze siostry. – Za późno. Przypomniał sobie, że Frankie sama zerwała kontakty z młodszą siostrą. – To znaczy... Tylko te nadopiekuńcze.

Teraz już powinien się zamknąć.

– Nadopiekuńcze jak na przykład niedźwiedzia mama? Czy nadopiekuńcze jak w przypadku: wiem coś, co ją niepokoi?

– Kurwa, Frankie, Michelle nie była zamieszana w śmierć Gary'ego.

– Nie twierdzę, że była. Ale jak według ciebie zareagowałyby, wiedząc, że coś grozi Sharon i jej dzieciom?

Dokładnie tak, jak zareagowała teraz, wściekłością i zjadliwością. Ale co Michelle może wiedzieć? Coś, o czym poinformowała ją Sharon.

– Myślisz, że Sharon wie więcej, niż mi powiedziała?

Wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie nie, ale gdyby udało mi się z nią porozmawiać...

– Nie.

– Zapewniam, że nigdy bym...

– Nie.

Powrócił myślami do sceny w restauracji: do próby wyciągnięcia od Sharon szczegółów dotyczących ostatniej rozmowy telefonicznej z Garym. Nie mógł, ot tak sobie, narażać jej na to jeszcze raz.

– Jeśli trzeba będzie, sam to zrobię, ale teraz to ostateczność. Opcja D.

Stała przez chwilę, potem wsunęła komórkę do kieszeni.

– Okej, opcja D.



Prowadziła, nie patrząc za siebie. Kiedy zatrzymali się na światłach przy Alexandra Parade, Frankie poklepała kierownicę i wskazała na wprost.

– Jedźmy do Richmond. Podrzucimy tam USB i zaczniemy sprawdzać listę, którą przekazała nam Elle.

– Geekmate ma siedzibę gdzie indziej?

– Nie, pomyślałam po prostu, że spróbujemy z kimś nowym. Wspomnieli kiedyś o pewnym gościu w Richmond, jest dobry, jeśli komuś bardzo się spieszy... Sammy jakiś tam. Ng, jak mi się wydaje.

Patrzył na nią przez chwilę. Geekmate zawsze służyło im pomocą w sprawach komputerowych. Szybkość, rzetelność, zaufanie licznych firm ochroniarskich. Łącznie z tymi, które prowadzili byli policjanci.

– Chcesz zatrudnić kogoś innego, bo Tedesco wie o USB?

– Tak. Nie ma to jak paranoja.



Okazało się, że Sammy Ng rezyduje w ekskluzywnej kafejce internetowej. Mnóstwo odkrytej cegły i stali nierdzewnej, komputery Mac rozsiane pośród oryginalnych dzieł sztuki. Większość klientów nosiła okulary w grubych oprawkach i modne ubrania.

– Los mi sprzyja – skomentowała Frankie. – Potrzebowałam kawy i komputera bez lepszej klawiatury i Bóg mi to zapewnił.

Caleb zaczepił kelnerkę, która przechodziła akurat z kubkami pełnymi latte.

– Szukam Sammy’ego, tego fachowca...

– Pod oknem – odparła, przeciskając się obok nich.

„Pod oknem” oznaczało albo dziewczynę w wieku szkolnym, zagłębioną w pracy domowej, albo starszego mężczyznę z postrzępionymi dreadami. Ruszył w stronę dziewczyny, Frankie tuż za nim.

Dziewczyna podniosła wzrok i obdarzyła ich szczerym uśmiechem, kiedy do niej podeszli. Miała bardzo białe zęby i nieskazitelną cerę dziesięciolatki na makrobiotycznej diecie.

– Sammy?

– Sammi pisane przez „i”. – Wyciągnęła rękę. – Miło was poznać.

– Ty jesteś Sammi? – spytała z niedowierzaniem Frankie.

Dziewczyna popatrzyła ze zmarszczonym czołem na Caleba.

– Zawsze taka nierozgarnięta?

Usta Frankie zamknęły się niemal z trzaskiem.

– Jestem Caleb – powiedział, przysuwając sobie krzesło. – Ta nierozgarnięta to Frankie. Chłopaki z Geekmate dali nam namiar na ciebie. – Urwał. Ile może mieć lat?

– Tak, wiem, wyglądam na dwanaście – odparła, czytając najwyraźniej w jego myślach. – Ale mam szesnaście.

– Dlaczego nie jesteś w szkole?

Spojrzała na niego z ukosa.

– A ty co? Moja pieprzona matka? Chcesz wiedzieć, czy posprzątałam pokój, czy oczekujesz ode mnie pomocy?

– Pomocy. – Wyjął z kieszeni USB i podał jej. – Możesz sprawdzić, czy da się coś z tego odzyskać?

– Stara szkoła. – Obracała pendrive’a w dłoni. – Siedem dziewięćdziesiąt pięć, Officeworks.

– Tak, ale...

– Potrzebujecie tego, co na tym jest.

– Tak.

Rozsiadła się i przyjrzała im się uważnie.

– A wy kto? Prywatni detektywi? – Otworzyła szeroko oczy. – Są na tym jakieś tajemnice państwowe?

– Nic tak ekscytującego. Myślisz, że dasz radę coś odzyskać?

– No nie wiem – odparła. – Próbowaliście włożyć to do komputera?

Zamrugła.

– Jezu... mężczyźni. Czy wtyczka jest w gniazdku? Czy to jest włączone? Jak wam się udaje znaleźć fiuta, kiedy chcecie się odlać? – Rzuciła spojrzenie w kierunku Frankie. – Spodziewam się czegoś więcej po siostrze.

Frankie zdusiła śmiech.

– Mówiłaś, że ile masz lat?

– Dostatecznie dużo, by wiedzieć o komputerach więcej, niż wy się kiedykolwiek dowiecie. – Wstała. – Chodźcie do warsztatu, rzucę na to okiem.

– Nie spóznisz się do szkoły? – spytał Caleb.

– Poważnie? Znowu zgrywasz mamusię?

Popatrzył na nią niewzruszenie i ku jego zaskoczeniu spuściła wzrok.

– Dziś jest dzień sportu – powiedziała.

Warsztat znajdował się u szczytu wąskich schodów; przestronny pokój zapchany komputerami, ruterami, drukarkami i twardymi dyskami. Sammi usiadła przed monitorem i zabrała się do składania pendrive’a za pomocą cieniutkich cęgów. Odgięła metalowe części, dmuchnęła w nie kilkakrotnie i wsunęła do portu USB. Przebiegła palcami po klawiaturze i po chwili na ekranie ukazał się tekst.

– Bez jaj – rzuciła z uznaniem Frankie.

Sammi coś gadała, patrząc na monitor. Przysunął się bliżej, ale nie sposób było cokolwiek zrozumieć.

Frankie poklepała go po ramieniu.

– Część jest zniszczona, ale może uda się jej coś odzyskać. – Milczała przez chwilę.
– To trochę potrwa, więc poczekajmy w knajpce.

Dziewczyna obróciła się na fotelu. Jej uśmiech zniknął.

– Nie mówię dostatecznie wyraźnie jak dla pana? – spytała, oblewając się jednocześnie rumieńcem.

W takich sytuacjach Kat patrzyła w podłogę.

Odetchnął głęboko.

– Nie, nie, okej, po prostu nie słyszę za dobrze.

Zignorował Frankie, która odwróciła głowę.

– Och, w porządku. – Dziewczyna nie krzywiła się już, ale rumieniec pozostał. – Jasne. – Wyjęła z drukarki plik kartek i podsunęła mu. – Pięćdziesiąt dolców powinno załatwić sprawę.

– Włożyłaś pamięć do komputera i wydrukowałaś zawartość. Sam mógłbym to zrobić.

– Tak, ale pan tego nie zrobił. Jak poszło dzisiaj z sikaniem?

Wyjął z kieszeni dwadzieścia dolarów i wręczył jej.

– Dostaniesz pozostałe trzydzieści, jeśli wyciągniesz coś jeszcze z tej pamięci.

Błysnęła uśmiechem.

– Umowa stoi.

Do diabła, powinien był zaproponować dziesięć.



Zeszli do kafejki i usadowili się przy stole w kącie sali. Podzielił wydrukowane

kartki i zaczął czytać swoją część. Po trzydziestu sekundach Frankie podniosła wzrok.

– Scott nie szuka czegoś małego.

– Nie.

Zdecydowanie. Nie były to kopie akt dotyczących tajemnic państwowych czy map z zaznaczonym miejscem, w którym zakopano skarb, tylko niezliczone strony z protokołami rozmów prowadzonych przez Gary’ego.

– Mimo wszystko może się czegoś dowiemy – powiedziała.

– Tak.

– Pewnie mnóstwa rzeczy.

– Tak.

Wstał i zamówił dla nich kawę. Obciążające dowody można analizować dzięki adrenalinie; tysiące opatrzonych komentarzami słów wymagają jednak kofeiny.

Kawę podano bardzo szybko; gęstą, ciemną, aromatyczną. Rozumiał teraz, dlaczego jest tu tak gwarно, nawet przy tych niebotycznych cenach. Wyłączył aparat słuchowy i rozsiadł się nad lekturą. Gary uwieczniał treść rozmów, przywiązując dużą uwagę do szczegółów, co wzbudziło w nim poczucie winy, kiedy pomyślał o swoich pobieżnych raportach. Po godzinie uważnego czytania Frankie wstała, żeby zamówić następną kawę.

Podniósł wzrok, kiedy na kartkę padł cień. Stała przed nim Sammi z plikiem papierów w dłoni i uśmiechała się szeroko. Włączył aparat i uchwycił końcówkę zdania.

– ...cholerny dług wdzięczności.

– Masz resztę plików?

– Mniej więcej połowę. Ale to fantastyczne, trzeba było zobaczyć tę kaszanę. Musiałam zastosować niestandardowe metody odzyskiwania danych, żeby się do tego dostać.

– Grubo przesadzasz, ale i tak ci zapłacę. – Wyjął trzydzieści dolarów i wręczył jej.

– Szybko ci poszło, może zdążysz jeszcze na te zajęcia sportowe.

– Nie. Szczęśliwie mnie ominęły. Dzięki.

Oddaliła się, jej koński ogon podskakiwał energicznie.

Przerzucił kartki: sporo bezsensownych symboli i pustych miejsc, do tego garść nazwisk. Wszystkich ludzi, których znał: właściciele magazynu, Seana Fleminga, Elle. Zatrzymał się w połowie trzeciej strony – Premium Occasions. Nazwa, którą niedawno widział.

Frankie postawiła na stoliku dwie kawy i ciastko z kruszonką i opadła na krzesło.

– Pieprzona organiczna kawa, rezultat uczciwej konkurencji. Będę musiała zaciągnąć drugi kredyt na hipotekę, jeśli zostaniemy tu dłużej. – Znieruchomiła, podnosząc ciastko do ust. – Coś ciekawego?

– Właśnie dostałem materiały od Sammi. Popatrz na to – Premium Occasions jest na liście Elle, prawda?

– Nie wiem. – Wyciągnęła telefon. – Masz rację. Ta firma miała sześć tygodni temu dostęp do magazynu. Ciekawe, że Gary się tym zajmował. Co stwierdził?

Przejrzał kartkę.

– Nic. Przynajmniej Sammi niczego takiego nie odzyskała. – Przeszedł do następnej strony. – Dziwny fragment o... Kurwa.

Ponownie odczytał nazwisko; nie mylił się: Petronin. Ale nie Michael, tylko Margaret. Wreszcie przełom, pewnie nawet taki, który może pomóc w uporządkowaniu tego cholernego bałaganu.

Popatrzył na Frankie.

– Kobieta na zdjęciu. Wiemy, jak się nazywa.

– Co?

– To Margaret Petronin.

– Petronin. Więc siostra Michaela? Czy Tedesco kłamał, mówiąc, że Petronin nigdy nie był żonaty?

Caleb wstał.

– Dowiedzmy się. Siadaj do komputera.

Jego podniecenie nieco osłabło po pierwszej próbie poszukiwań w Google'u: ani wzmianki o Margaret Petronin.

– A więc nie siostra – oznajmiła Frankie. – Może de facto, ale nie przejęła legalnie nazwiska.

Kurwa, niewiele można zrobić, znając tylko imię.

– Spróbuj z Premium Occasions – poradził. – Wiemy przynajmniej, że to prawidłowa nazwa.

I dość powszechna; poszukiwania przyniosły około dwustu tysięcy wyników.

Frankie przewijała stronę.

– Organizacja przyjęć weselnych, fotografowie. O, patrz, salon masażu. Gwarantują pełen relaks. Może masaż pomógłby na twoje napięcie. Chcesz zapoznać się z opiniami klientów?

Chwycił myszkę i kliknął następną pozycję: Premium Occasions – przyjęcia dla wymagających i odważnych. Wiele zdjęć w nastrojowym oświetleniu. Piękni uśmiechnięci ludzie w pięknych strojach, popijający szampana.

– To na nic – oświadczyła Frankie, próbując zabrać mu z dłoni myszkę.

– Czekaj.

Na żadnym z tych zdjęć nie było sali balowej tonącej w świetle żyrandoli. Każde przyjęcie wyglądało tak, jakby zorganizowano je w jakimś nietypowym miejscu: w owczarni, oceanarium, magazynie... Kliknął „kontakt” i po chwili pojawiło się imię i nazwisko.

Vanessa Galto, dyrektor generalny.

Poczuł, że cały drży.

Galto, nazwisko, które poznał zaledwie wczoraj.

Popatrzył na Frankie.

– Myślisz, że Vanessa Galto może być spokrewniona ze Spirosem Galto?

28.

Odbyli podróż na St Kilda, do eleganckich szklanych biur Premium Occasions. Firma znajdowała się tylko o kilometr drogi od mieszkania Petronina, ale pod względem luksusu i cen oba miejsca dzieliła przepaść.

Frankie rozglądała się po wspaniale oświetlonym atrium. Jej usta przybrały kształt litery o: albo gwizdała, albo pluła.

– Czym dokładnie zajmuje się Vanessa Galto? I jak mogłabym w to wejść?

Jednak gwizdanie.

– To facylitator eventów i projektów.

– Myślę, że dałabym radę. Gdybym już się zorientowała, co to takiego.

Pchnęła matowe szklane drzwi – jeszcze więcej szkła i wypolerowanego betonu: jeśli czynsz Vanessy jest skalkulowany według tego samego algorytmu co czynsz za ich biuro, to każdego miesiąca musi uiszczać opłatę przyprawiającą o zawrót głowy. W recepcji siedział młody chudy człowiek z ogoloną głową i prawdopodobnie anemią. Przywitał ich obojętnie, połączył się z Vanessą, a potem zajął się dzwonieniem. Po krótkiej chwili oczekiwania w drzwiach na przeciwległym końcu holu pojawiła się kobieta. Była nieskazitelnie ubrana w podkreślającą figurę czarną spódnicę i kremową bluzkę, długie ciemne włosy opadały jej falami na ramiona.

Na jej twarzy pojawił się sztuczny uśmiech, kiedy do nich podeszła. Można było zauważyć, że przed chwilą poprawiła szminką umalowane na czerwono usta. Obrzuciła pospiesznym i lekceważącym spojrzeniem Frankie i zwróciła się do Caleba. Ani śladu kobiecej solidarności.

– Jestem Vanessa Galto, czym mogę służyć?

Poczuł, jak Frankie zeszywniała. Nie chciał się zakładać o to, czy skoczy Vanessie do oczu, czy sobie odpuści.

Przedstawił ich pospiesznie, zanim zdążyła się odezwać.

– Wiemy, że organizowała pani przyjęcie w starym magazynie w Coburg.

– Nasz Bianchi Fashion Ball, tak. To był wielki sukces. Widzieliście rozkładówkę w Age? Wejdźcie do gabinetu, będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Caleb nie potrafił powstrzymać uśmiechu; czasem kaczkę same wystawiają się na odstrzał.

Uchwycił spojrzenie Frankie, kiedy szli za Vanessą. Wskazała na proste plecy kobiety gestem, który mówił: „Jest twoja”. Gabinet był nieskazitelnie biały, meble z pleksiglasu, ogromny fotel z puchatymi białymi poduchami. Jedyнным widomym znakiem, że ma tu miejsce jakakolwiek praca, był bardzo cienki Mac stojący na pleksiglasowym biurku. Widok z okna wydawał się jeszcze wspanialszy niż wyposażenie: czysty bezmiar Port Philips Bay i niewyraźne zarysy Luna Park.

– Proszę. – Vanessa wskazała dwa nowoczesne krzesła. – Siadajcie.

Żadne z nich się nie ruszyło.

Vanessa zerknęła na Frankie, potem na niego.

– Jesteście... uhm... zainteresowani organizacją jakiejś dużej imprezy, czy macie na myśli coś bardziej prywatnego?

– Pracuje pani czasem z ojcem, prawda? Ze Spirosem Galto? Czy raczej powinienem powiedzieć, że pani pracowała?

– Z moim... O co właściwie chodzi?

– Pani ojciec został zamordowany.

Podniosła dłoń do krtani.

– Kim jesteście? Czego chcecie?

– Tak jak jego najlepszy przyjaciel, Arnie Giannopoulos.

– To było... kilka trudnych tygodni.

Próbowała zdobyć się na słaby uśmiech, ale wyszedł jej jedynie grymas.

– Zamordowano ich, ponieważ obrabowali magazyn.

– Jaki magazyn?

Wyraz jej twarzy dowodził, że wie, o co chodzi.

– Nie mogliśmy się zorientować, jak złodzieje dostali się do środka. Wszyscy się upierali, że pracownicy ochrony nie mieli kluczy do magazynu ani nie znali kodu do alarmu. Ale domyślałam się, że trudno byłoby zorganizować bez tego imprezę w magazynie.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Przysunął się bliżej, naruszając jej prywatną przestrzeń.

– Nie wiedziała pani, że ojciec dwukrotnie obrobił magazyn? Posługując się kluczami, których duplikat pani wykonała?

– On zrobił to tylko... – Zaciśnęła mocno usta.

Było to niespodziewane.

– Okradł magazyn tylko raz? To znaczy kiedy? Chodzi o pierwszą kradzież czy drugą?

– Nie wiem, nic nie wiem, tyle tylko, że... – Jej dłoń zsunęła się z krtani na brzuch.

– Nie miałam z tym nic wspólnego.

– Vanesso, dysponowałaś kluczami, znałaś kod alarmu, jesteś córką człowieka, który dokonał tam rabunku. Wiesz, co się stało. – Zniżył głos. – Nie boisz się, że będziesz następna?

Jej twarz się skurczyła.

– Nie wiem, co się stało. Odwalili robotę i wszystko było w porządku. Udawali nawet, że Arnie uderzył się w głowę, ale potem naprawdę oberwał, a jeszcze potem ktoś go zabił, a tata nie chciał mi powiedzieć, co... A potem, potem tata... – Otarła oczy, rozmazując tusz po całej twarzy.

– Co z policjantami? Dlaczego Gary Marsden i Anthony Hobbs zostali zamordowani?

– Policjanci? – Wsparła się dłonią o biurko. – Zabili też policjantów?

Cholera, wyglądało to bardzo szczerze. Zerknął na Frankie i zorientował się, że i ona jest tego samego zdania.

– Skąd to zdumienie? – spytał. – Wiesz, do czego jest zdolny Scott.

– Scott? Kto to taki?

Ani drgnienia na twarzy, tylko nieklamana konsternacja.

– Co Arnie i twój ojciec znaleźli w dostawie?

– Tylko... to były papierosy.

– Dom twojego ojca został splądrowany. Czy coś stamtąd zabrano?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, co... Jego dom nie został splądrowany.

Ostatnia szansa. Wyjął z kieszeni zdjęcie Margaret Petronin.

– Opowiedz mi o tej kobiecie.

Vanessa chwyciła zdjęcie; drżały jej dłonie, kiedy je oglądała. W końcu podniosła wzrok na Caleba, oczy miała zaczerwienione.

– Nie wiem. Naprawdę. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Powiedziałabym wam.

Odebrał jej zdjęcie i popatrzył na Frankie.

– Chodźmy.

Vanessa chwyciła go za rękaw, kiedy się odwracał.

– Zaczekajcie. Kim jest Scott?

– Facetem, przed którym powinnaś się ukrywać.

Już na omiatanej wiatrem ulicy zwrócił się do Frankie.

– Arnie i Spiros nie mieli tego, czego szuka Scott.

– Więc dlaczego pobito Arniego? Zamordowano obu?

– Nie wiem. Ale Scott nie przeszukał domu żadnego z nich, więc albo znalazł to, o co mu chodziło, w takiej sytuacji możemy się odprężyć i pójść spać, albo wiedział, że tego nie mają.

- Założmy, że wciąż tego szuka. Co teraz?
 - Popytajmy o Margaret Petronin tu i tam. Zobaczymy, co się będzie działo.
 - Popytajmy? Gdzie? – spytała Frankie. – Natrafiliśmy na ścianę.
 - W City Sentry i u Tedesco, potem u każdego, z kim Gary rozmawiał.
 - To długa lista.
- Owszem. Zbyt długa, by stanowić jedynie zasłonę dymną.
- Czemu się uśmiechasz? – spytała Frankie.
 - Gaz rozpracowywał tę sprawę. Naprawdę. To nie było na pokaz.
- Rozważała przez chwilę jego słowa.
- Na to wygląda.



Zdołała go jakoś przekonać, by pozwolił jej prowadzić. Ruch był nieduży, ale odezwała się dopiero, gdy dojeżdżali do siedziby City Sentry.

- Patrz przed siebie – nakazał, kiedy zbliżali się do przejścia dla pieszych.

Mówiła, on jednak patrzył na drogę. Walnęła go w rękę.

- Au. – Potarł obolałe miejsce. – Co?

- Weź mój telefon – dzwoni. Chyba zapomniałam go wyłączyć.

Wyjął go ze schowka na rękawiczki, ale ekran był ciemny.

- Jest wyłączony.

- Nieprawda. Dzwoni.

Nie wibrował. Stuknął w ekran: nic. Co oznaczało...

- To mój – powiedział. – Zatrzymaj się.

Popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Moja komórka jest gdzieś tutaj.

Skreśliła na parking. Pomacał między fotelami, potem wysiadł i zajrzał pod

siedzenia. Leżał tam, przy tylnej kanapie, czarny na tle czarnej wykładziny. Musiał spaść pod fotel kierowcy. Bateria trzy procent, cztery nieodebrane połączenia, dwadzieścia sześć wiadomości.

– Masz ładowarkę? – spytał.

– Przewód jest spieprzony. Cholerny Apple, można by pomyśleć, że potrafią wyprodukować ładowarkę, która wytrzyma tak długo jak pieprzony telefon. Wkurwia mnie to.

Ogromny wybuch wściekłości, biorąc pod uwagę tak błahą rzecz. Opuścił dłoń z komórką i przyjrzał jej się uważnie: ciało wibrujące energią. Frankie była wyjątkowo spokojna podczas jazdy. I łatwo skapitulowała w gabinecie Vanessy.

Jak poradzić sobie z alkoholiczką, która jest spragniona drinka?

– Chcesz coś zjeść, zanim odwiedzimy City Sentry? – spytał.

– Nie.

Okej, teraz naprawdę się martwił.

– No, ja jestem głodny. Chodźmy do Melbourne Central. Będę mógł kupić tam ładowarkę.

– Dobra.

Ruszyła wzdłuż La Trobe Street tak szybko, że musiał niemal biec, by za nią nadążyć.

Walnęła przycisk świateł, potem stuknęła niecierpliwie palcami o uda.

– Wiesz co? – powiedziała. – Idź coś zjeść, a ja sprawdzę naszą skrzynkę pocztową. Nigdy nie wiadomo. Może Gary zostawił nam miłą niespodziankę.

– Dobry pomysł, ale chodźmy tam razem.

– Będzie szybciej, jeśli się rozdzielimy.

– Będzie bezpieczniej, jeśli zostaniemy razem.

– To środek miasta – powiedziała. – Nic nam tu chyba nie grozi. Spotkamy się przy samochodzie.

Ruszyła na drugą stronę ulicy.

Cholera, wiedział, że musi dojść do konfrontacji. Dogonił ją.

– Wiem, że chcesz się napić.

Jej usta poruszały się przez chwilę.

– Tak, Caleb. Jestem alkoholiczką, zawsze chcę się napić. Cieszę się, że rozumiesz.

Do zobaczenia za godzinę.

Chwycił ją za ramię.

– Nie zostawię cię w takim stanie.

Wyszarpnęła się, zaciskając pięści.

– Nie potrzebuję pieprzonej niani. Sama się niańczyłam długi czas. Bardzo długi czas.

– I co zyskałaś? Rozwiodłaś się, wyleciałaś z policji, zerwałaś z rodziną.

Jej twarz przypominała białą maskę.

– Patrzyłeś ostatnio w pieprzone lustro?

– Jeśli jeszcze raz wystawisz mnie do wiatru, koniec między nami.

– Wal się, Calebie Zelic. Zdarzył mi się jeden pieprzony obsuw, a ty pilnujesz mnie bezustannie. Gdy tylko się ruszę, gdy tylko się odwrócę, ty już jesteś i mnie obserwujesz. Więc świetnie, może poradzę sobie lepiej bez ciebie. – Wyciągnęła rękę.

– Do zobaczenia.

Kurwa, kurwa. Jak mógł do tego doprowadzić? Kolejna okropna i skręcająca żołądek porażka.

– Frankie, proszę. – Przeszedł na język migowy. – Potrzebuję cię.

Stała bez ruchu.

– Nic bez ciebie nie zrobię. Nic.

– Och, do kurwy nędzy. – Zamrugła szybko. – Teraz próbujesz... Okej, coś ci powiem. Skiniesz głową, odejdziesz i zostawisz mnie z odrobiną godności, dobra?

– Nie zamierzam...

– Po prostu mi zaufaj. Proszę.

– Okej.

– Czuję się jak gówno. Gorzej niż gówno. Naprawdę się miotam. Zawsze trudno się z tego wychodzi, tym trudniej, kiedy człowiek jest zestresowany. A ja jestem kurewsko zestresowana, stary. Potrzebuję trochę prywatności, żeby sobie popłakać i zadzwonić do kogoś, kto zdoła mi pomóc. Możesz mi to zapewnić?

Otworzył usta.

– Nie. O nic mnie nie pytaj, kurwa. Skiń tylko głową i zostaw mnie, kurwa, w spokoju. Okej?

Skinął głową.

– Świetnie. Do zobaczenia za godzinę. Przy samochodzie.

Patrzył, jak się oddala; spuszczone głowa, zaciśnięte pięści. O, w mordę.

29.

Kupił ładowarkę i wrócił do samochodu, i dopiero wtedy przypomniał sobie, że to Frankie ma kluczyki. Oparł się o wóz i zaczął wypatrywać jej postaci poruszającej się zamaszystym krokiem, choć zjawił się na miejscu pół godziny przed wyznaczonym czasem.

„Popłakać sobie”.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że wróci trzeźwa i przytomna? Jakie jest prawdopodobieństwo, że on przetrwa ten koszmar bez niej? Zadrżał i spojrzął na zegarek. Zostało jeszcze dwadzieścia osiem minut. Może tu stać, odmrażając sobie tyłek i zamartwiając się na śmierć, albo zrobić coś pożytecznego. Była 17.48 – szansa, że złapie kogoś w City Sentry. Przesłał Frankie wiadomość i ruszył w dół ulicy.



Elle pojawiła się w drzwiach recepcji, kiedy tam dotarł; miała torebkę przerzuconą przez ramię, jasnozielony kapelusz na głowie. Wyglądała jak zwariowany elf.

Gwałtownym ruchem uniosła dłoń do ust: metalicznozielone paznokcie tego dnia.

– Co tu robisz?

– Cześć, zastanawiałem się właśnie, czy zastanę Seana.

– Och. – Obdarzyła go pantomimicznym mrugnięciem. – Oczywiście, panie Zelic. Zaraz sprawdzę.

Rozejrzał się, by mieć pewność, że prócz nich nie ma nikogo w pobliżu, i wyjął z kieszeni zdjęcie Margaret.

– Znasz tę kobietę? – spytał cicho.

– No, z telewizji? Z tego szpitalnego serialu?

Milczał przez chwilę. Aktorka. Nigdy nie przyszło mu to do głowy.

– Margaret? – spytał. – Margaret Petronin?

– Nie, ma chyba na imię Janelle czy jakoś podobnie. – Wskazała głową drzwi w głębi recepcji. – Lepiej...

– Tak, dziękuję.

Zniknęła i po chwili wróciła z Seanem. Ponownie mrugnęła do Caleba i odeszła.

– Miło cię widzieć, Caleb. – Sean skrzywił usta w uśmiechu, który mówił: jesteśmy dobrymi kumplami. – Rozmawiam właśnie przez telefon. Poczekasz ze dwie minuty?

Caleb działał zgodnie ze scenariuszem.

– Jasne. Nie spiesz się.

Usadowił się na jednym z krzeseł. Mógł się oddać lekturze egzemplarzy „Reader’s Digest” sprzed trzech lat albo materiałów promocyjnych firmy City Sentry. Pomyślał, że trzy procent baterii wystarczy, by sprawdzić wiadomości. Przejrzał esemesy, ignorując nieodebrane połączenia – nikt, kto go zna, nie zostawiłby żadnej wiadomości na poczcie głosowej.

Znajomy, praca, praca, znajomy, praca, praca.

Nagle nie mógł złapać oddechu.

Gary.

Ten esemes musiał przyjść, kiedy jechał do jego domu. Ostatnia wiadomość. Zwlekał chwilę, potem ją otworzył. Chwila dołującego rozczarowania: nie było żadnych słów, tylko zdjęcia. Robione z poziomu biodra, sądząc po kącie widzenia. Dlaczego Gary je przesłał? Były kiepsko skadrowane i oświetlone: czterech mężczyzn stojących w półkolu, za nimi kartonowe pudła. Następna seria zdjęć – panoramiczne ujęcie męskich twarzy. Szary, Petronin, młody człowiek w policyjnym mundurze, czwarty zbyt pogrążony w cieniu, by można go rozpoznać. Zdawało się, że żaden nie uświadamia sobie, że jest fotografowany. Przyjrzał się pudłom. Znane nazwy marek na

bokach: Benson and Hedges, Winfield Blue, Stuyvesant. Łupy z włamań do magazynów. Przejrzał pospiesznie pozostałe zdjęcia. Znowu pudła, kilka niewyraźnych postaci.

Broń.

Czwarty mężczyzna przystawia ją do głowy policjanta.

Grymas przerażenia na twarzy młodego człowieka.

Caleb zawahał się, potem wyświetlił następne zdjęcie. Smugi substancji szarej i krwi, bezwładne ciało.

Opuścił telefon. Jezu.

„Starszy posterunkowy Anthony Hobbs... zamordowany wczesnym rankiem dwudziestego czwartego czerwca”.

Gary był tego świadkiem. Zrobił zdjęcia. A Scott jakoś się o tym dowiedział. Łatwo było sobie wyobrazić, co się potem wydarzyło: Scott i jego ludzie wlokący Gary'ego po mieszkaniu, przytrzymujący go. Kilka sekund, by sprawdzić jego telefon i stwierdzić, że przesłał zdjęcia przyjacielowi. Trochę dłużej, by ustalić, że nie przesłał ich komuś jeszcze, splądrowany dom, cięcia na ciele, połamane palce. Wstrząsnął nim dreszcz.

Powiększył zdjęcie i przyjrzał się uważnie człowiekowi z bronią: ciemna, rozmazana sylwetka. To musi być Scott. Pieprzony wredny drań. Wzrost i waga średnie, możliwe, że blondyn, zapewne gładko ogolony. Czy może ciemniejsze miejsce to kozia bródka? Może w dobrym laboratorium fotograficznym zdołają przy zastosowaniu jakiegoś genialnego programu komputerowego poprawić jakość obrazu. Przesłać zdjęcia Tedesco? To nie pogorszy sprawy, a niewykluczone, że wyjdzie na dobre. Bateria dwa procent, chyba wystarczy. Wystukał szybko wiadomość i dołączył zdjęcia. Na szczęście zapamiętał adres poczty hotmail.

Wcisnął „prześlij” w chwili, gdy w drzwiach gabinetu ukazał się Sean. Caleb wstał, ale tamten patrzył ponad jego ramieniem. Podmuch powietrza, gdy otworzyły się drzwi do holu. Kobieta z długimi włosami koloru miodu. Trochę starsza niż na zdjęciu, ale niewątpliwie to Margaret Petronin. Ktoś za nią – Szary.

– Caleb – powiedział, przekręcając zamek w drzwiach. – To miło z twojej strony, że ułatwiasz nam sprawę.

Zaczął uciekać. Między biurkami, na tyły pomieszczenia. Drzwi na końcu, może drugie wyjście. Łoskot kroków za jego plecami. Szarpnął klamkę. Mała kuchenka. Kurwa. Chwycić nóż? Nie, znajdzie się w pułapce. Sean zmierzał w jego stronę z zaciśniętymi pięściami. Z powrotem ku wyjściu z holu. Strzegli go Margaret i Szary, błysk stali w ręku policjanta. Broń, potrzebuje broni. Komputera, telefonu, krzesła – tak, krzesła. Chwycił je i uniósł nad głowę. Ciężkie. Ruszył na Szarego, w płucach narastał mu krzyk. Oczy policjanta rozwarły się szeroko, zrobił krok do tyłu. Szybciej, już prawie...

Coś potężnego walnęło go w plecy. Runął na podłogę, krzesło spadło z łośkotem tuż przed nim. Ktoś klęczał na jego plecach, wykręcając mu prawą rękę. Brak powietrza. Zaciśnięte płuca. W jego kieszeniach myszkowały dłonie, coś wyciągały. Ciężar zelżał trochę. Obrócił głowę, wciągając powietrze. Margaret przeglądała zawartość jego telefonu. Nie zablokował go. Głupota. Głupota.

– Właśnie padła bateria, ale nie przesłał ich nikomu.

Patrzył na nią jak na kogoś, kogo obserwował godzinami. Czy to ktoś z dzieciństwa? Nie, to nie było...

Pięść w jego włosach, błysk srebra i zimny dotyk stali na gardle. Wiedział, że umrze. Umrze jak Gary: przecięta szyja, tryskająca krew. Zastraszający głos Seana, odpowiedź Szarego. Spór. Uwolniono mu głowę. Kurwa. Kurwa. Oddychał ciężko w wykładzinę, gdy ich głosy wznosiły się i opadały wokół. Nieco cichszy głos, to Margaret.

Szary stał nad nim.

– ...dowody. Głupie.

Wyprostował jego rękę i przygwoździł ją kolaniem.

„Połamali mu palce. Wszystkie po kolei”.

Pomyślał, że będzie okej. Ból można znieść. Lepiej niż poderżnięte gardło.

Kobieta uklękła.

– Duża dawka jak na nowicjusza. Bo jesteś nowicjuszem, co, Caleb? – Podciągnęła mu rękaw. – Na to wygląda.

Może ręka, nie palce. Boże. Ale dlaczego? Szary powiedział: dowody. Sądzą, że ma przeciwko nim jeszcze więcej dowodów? Margaret wykladała coś na dywan. Łyżkę. Po co miałyby...? Strzykawkę.

Czuł, jak jego wnętrzności zamieniają się w sopel lodu.

Żadnych pytań, tylko bezkrwawy sposób, by go zabić. Napał gwałtownie na nieruchomą i niewzruszoną bryłę Szarego. Opaska zaciśnięta na ramieniu, pulsowanie krwi. Szarpnął się. Ciężar miażdżący mu rękę i plecy. Ostre ukłucie, palący chłód. Uwolniono go. Dźwignął się na kolana, pocierając rozpaczliwie skórę. Wstań. Wezwij pomoc. Stanął na nogach. Targały nim fale mdłości, pokój wirował.

Tamci stali tylko bez ruchu, przyglądając mu się z uwagą.

– Jak... myślicie... – spytał Szary – ...minuty?

– Mniej więcej.

Telefon. Policja, karetka, ktokolwiek. Wrzeszcz, dopóki nie przyjadą. Spóźnili się do Gary’ego. Telefon na biurku, tuż, tuż, blisko. Oporne nogi. Teraz na podłodze, na czworakach. Mdłości ustępowały, czuł się lekki. Telefon, jaki jest numer? Ciało miał płynne, zsuwało się w dół, w dół na dywan. Miętko.

Czyjeś dłonie przewróciły go na plecy.

– Bierzemy go.

W górę, nad podłogą; lekko, jakby unosił się na wodzie. Zamierzał... jest coś ważnego. Margaret szła tuż przed nim. Zdrobniale Maggie, powiedziała Kat, kiedy umieściła Margaret na liście imion dziecka. Jak powstało Maggie z Margaret? Powinno być raczej Marg, tak jak Kat to zdrobniale od Kathryn. Piękna Kat. W dół klatką schodową, zimne powietrze. Siedział, oparty plecami o ścianę. Wokół niego jakieś głosy, które nagle ucichły. Był sam. Po jego ciele wędrowały fale ciepła. Pozbawiony ciężaru, niczym nicość.

Nagle światło, chłodne powietrze pieszczące skórę.

Przed nim twarz Frankie.

– Jezu, Cal, co... stało?

Dryfowanie.

– ...ranny?

Ani śladu gorzały w jej oddechu.

– Dobaobota. – Język odmawiający posłuszeństwa. – Dobra robota, Fynki.
Dumnyciebie.

Chwyciła go za twarz i nachyliła ją do światła.

– O, kurwa. Kurwa, nie.

– Oki. – Brak słów. Niech znikają. Niech wszystko zniknie.

– Karetka – Frankie wypluwała z siebie słowa. – ...przedawkowanie... siny...
pospieszcie się.

Potrząsały nim czyjeś ręce. Głowa poleciała mu do tyłu i walnęła o ścianę. Nie czuł bólu.

Żadnego... w... ogóle.

Klepnięcie po twarzy. Otworzył oczy. Frankie miała mokrą twarz.

– Cal. – Coś twardego pocierało mu mostek. – Cal, oddychaj.

Znów klepnięcie po twarzy.

Miał wrażenie, że to dla niej ważne. Skoncentrował się, wciągnął powoli powietrze.

– Dobrze... i jeszcze raz. Caleb... Caleb...

Miał... wrażenie... że...

30.

Przebudzenie jak klepięcie po twarzy. Odległe wycie syreny. Ból, gdzieś, wszędzie. Tuż nad nim nieznajoma twarz. Łysy mężczyzna w ciemnoniebieskim uniformie.

Co, kurwa?

Coś przyciśniętego do twarzy. Wymacał kształt: maska tlenowa. Od jego nagiej piersi odchodziły przewody. Gdzie podział się jego podkoszulek? Nie miał go wcześniej na sobie? Czerwony, i jeszcze płaszcz.

– W porządku, kolego? – spytał ratownik. Spokojna twarz, jak u mnicha.

Skinął głową.

– Pamiętasz, co się stało?

Pokręcił głową.

– Dali ci... ale to...

Zamknął oczy. Tak mu ciężko: lepiej było na tamtej klatce schodowej.

Gwałtowne otwarcie drzwi karetki obudziło go. Do środka wtargnęło mroźne powietrze. Ból w klatce piersiowej, jak dźgnięcia nożem. I przypomniał sobie: Margaret, Szary, Sean. Ten drań Sean. Trzymał go jak pieprzoną uczennicę i pakował w niego herę.

Miał wrażenie, że minęła zaledwie chwila, kiedy znaleźli się w szpitalu. Korytarzem, do otoczonego zasłonami łóżka. Pojawiła się jakaś lekarka i zaczęła konferować z ratownikami. Około trzydziestki, o zmęczonych oczach i zapadniętych ramionach. Zbadała go, wykonując szybkie ruchy. Brak kontaktu wzrokowego, mówiła

ze spuszczoną głową.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

Powtórzyła, wciąż patrząc na podkładkę z dokumentami.

– Przepraszam, nie... Mam problemy, żeby panią zrozumieć. Może pani mówić, patrząc na mnie?

Podniosła na niego wzrok, zaskoczona, poirytowana.

– Brał pan heroinę?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Coś jeszcze? Jakieś dmmm? Rmmm?

– Nie wiem.

– Ból przy oddychaniu?

– Tak.

Skinęła odruchowo głową, wciąż pisząc i mówiąc.

– Przepraszam, co?

Zacisnęła usta.

– To wskutek reanimacji. Może mieć pan połamane żebra, nic niezwykłego.

Reanimacja? O Boże.

– Widziała pani moją przyjaciółkę Frankie? Na pewno się o mnie martwi.

– Nie. – Wciąż brak kontaktu wzrokowego. – Jak określiliby pan ten ból na skali od jeden do dziesięciu?

– Na pewno się martwi, nie wie...

– Na skali od jeden do dziesięciu...

– Pięć. Jest pięć.

Zapisała coś na karcie.

– Zlecę... prześwietlenie... żebra... kroplówka.

Już dotykała zasłony, gdy powiedział:

– Może pani powiedzieć Frankie...

Oddaliła się.

Jak określiliby jej podejście do pacjenta na skali od jeden do dziesięciu? Wpatrywał się w sufit: gładki, pokryty fluorescencyjną bielą, od której musiał mrużyć oczy. Nie należało rzucać się od razu na Szarego, należało ominąć nóż, należało...

Zasłony się rozsunęły i stanęła nad nim pielęgniarka, ruchy szybkie i sprawne. Była młoda, pewnie ze dwadzieścia trzy lata, drobna bezustanna zmarszczka między brwiami: dziewczyna, która zawsze przygląda się wszystkiemu uważnie.

– Ty jesteś Caleb? – Uśmiech, prawdziwy kontakt wzrokowy. To miłe. – Jestem Susan. Jak się czujesz?

– Świetnie. Ktoś mnie szuka? Frankie?

Przysunęła stojak z kroplówką. Mówiła coś, mając pochyloną głowę.

– Możesz patrzeć na mnie, kiedy mówisz?

Jej twarz pojawiła się zaledwie na chwilę w jego polu widzenia.

– ...ważne... nie...

Pieprzyć to.

– Jestem głuchy. Muszę widzieć twoją twarz, kiedy ze mną rozmawiasz.

– Och. – Na jej szyi i twarzy wykwitł rumieniec. – Tłumacz? Sprowadzę go.

Pokazała na migi, że odchodzi, aby do kogoś zadzwonić.

– Nie potrzebuję tłumacza. Wystarczy, że mówiąc, będziesz na mnie patrzyła. Czy pytała o mnie jakaś kobieta? Wysoka, z włosami ufarbowanymi na fioletowo i szaro. Ona nie wie, że nic mi nie jest. Na pewno się o mnie martwi.

– Będę... jej... uważnie... wypatrywała. – Znowu na migi. Boże. – Kroplówka... dwie... godziny. – Podniosła dwa palce.

– Okej.

– Nie wstrzykuj sobie... znowu... dzisiaj... bardzo niebezpieczne. Rozumiesz?

– Nie biorę.

Skierowała spojrzenie na miękkie miejsce po wewnętrznej stronie jego łokcia: mała czerwona opuchlizna, gdzie igła przebiła mu skórę.

– Załatwię. Brrroch. Pomóc... ci.

– Co załatwisz?

– Broch. Su. Ry.

Może chodzi o imię i nazwisko. Broch Sury. Pewnie lekarka. Byle nie pieprzony tłumacz.

– Zaczekaj.

Zniknęła za zasłonami i wróciła chwilę później ze zwiniętymi w rulon papierami. Hm – broszury. Położyła je na jego kolanach, poklepała po dłoni i odeszła.

Na okładkach uśmiechnięci, zdrowi ludzie o wyrazistych rysach. Kursy terapeutyczne pod protekcyjnymi nazwami w rodzaju „Świeży start” albo „Nowe początki”. Sam kiedyś rozkładał dla Anta takie broszury po całym domu. Co za dupek.

Zasłony znów się rozchyliły, a on przygotował się na kolejną sesję uszczęśliwiania. Ale to była tylko Frankie. Stała wewnątrz przestrzeni otoczonej parawanem. Oczy miała wyjątkowo jasne, skórę bladą, jakby miała gorączkę.

– Frankie. Znalazłaś mnie.

– Ty głupi pieprzony palancie.

I wyszła.



Wróciła godzinę później, trzymając dwie duże torebki z McDonalda i coś, co wyglądało jak zawiniątko z ubraniami.

– Pomyślałam, że zgłodniałeś – oznajmiła, kładąc wszystko na łóżku.

Wciąż zbyt blada, zbyt nerwowa. Ale zdecydowanie trzeźwa.

– Służby zwalczające cholesterol dorwą cię za to, że coś takiego tu przyniosłaś.

– Nie, bo wzięłam to ze szpitala dziecięcego. – Zajęła się rozwiązywaniem tobołka

z rzeczami i rzuciła mu podkoszulek. – Wkładaj to. Nie chcę, żeby twoja męskość doprowadziła pielęgniarki do białej gorączki.

Była to dziwna kolekcja odzieży: dwie pary majtek, jedna skarpetka, żadnej ciepłej kurtki, ale za to trzy podkoszulki. Niezbyt pozytywny objaw jej obecnego stanu umysłu. Zdołał włożyć przez głowę dwa podkoszulki, nim sobie uświadomił, że przeciągnięcie kroplówki przez rękaw przekracza jego możliwości motoryczne.

Frankie bez słowa pomogła mu się z tym uporać. Potem wręczyła mu papierową torebkę.

– Zjedz, zanim wystygnie.

Zjadł kilka frytek, ale były suche i dziwnie mdłe. Frankie pochłonęła w milczeniu swoją porcję, potem zmięła opakowanie w kulkę i z dużą wprawą wrzuciła do kosza na śmieci. Dostrzegła jego spojrzenie.

– Podobało ci się?

– Jestem pod wrażeniem.

– Okej, powiedz mi, co się stało. Tym razem postaram się na ciebie nie wrzeszczeć.

– No cóż, City Sentry jest zamieszane w sprawę.

Przesunął się, próbując złagodzić ból w klatce piersiowej, ale doszedł do wniosku, że nie ma szans swobodnie oddychać.

– Tak, zorientowałam się.

– Sean kazał mi czekać dostatecznie długo, żeby Szary zdążył dotrzeć do biura, potem mnie zaatakował. Była z nim Margaret Petronin.

Zastygła z uniesioną dłonią.

– Nie wiem, czy sama bierze, czy może handluje, ale miała herę, więc... przytrzymali mnie i zaaplikowali mi działkę.

Frankie wyglądała tak, jakby żałowała, że zjadła te wszystkie frytki. Popatrzyła na torebkę i opuściła ją na kolana.

– Nie mogłem ich powstrzymać – powiedział.

– Nie mogłeś.

– Próbowałem.

– Tak.

– Tutejszy personel sądzi, że daję sobie w żyłę.

– Nie dajesz. Pieprz ich.

Parsknął zduszonym śmiechem.

– Dzięki, sensei, czuję się teraz znacznie lepiej.

– Proszę bardzo, koniku polny.

Wrzuciła niedojedzone frytki z powrotem do torebki.

Dreszcze ustąpiły, ale wciąż była zbyt blada. Czy powinien wspomnieć o ich ostatniej rozmowie? Łatwiej udawać, że nigdy do niej nie doszło. Otworzył usta, ale natychmiast je zamknął.

Twarz Frankie stężała.

– Po prostu zadaj to pieprzone pytanie.

– Znalazłaś kogoś, kto miał ci pomóc?

– Tak, znalazłam. A czy się napiłam? Chyba widzisz, że nie. A czy zamierzam się napić? Kurwa, nie wiem. Może już nigdy się nie napiję, a może któregoś dnia załatwię sobie butelkę johnniego walkera i dużą ampułkę tabletek i wszystkie połknę. Wyjaśniliśmy już sprawę? Doskonale. No dobra, mam się o ciebie martwić, kiedy będziesz tu leżał? Pilnować, żebyś brał leki et cetera?

Johnnie walker i ampułka tabletek. Zbyt szczegółowy i konkretny scenariusz.

– Nie będę tu długo – zapewnił. – Dwie godziny pod kroplówką.

Zabrać ją stąd, posłać na jakąś terapię. Gdzieś poza granicami stanu. Miał nadzieję, że Tedesco jest czysty. Miał nadzieję, że wszystko zmierza do szczęśliwego końca.

– Chcesz usłyszeć dobre wiadomości? – spytał.

– Boże. Proszę.

Opowiedział jej o zdjęciach Gary'ego i egzekucji w magazynie.

– Scott jest na tych zdjęciach?

– Może, są niewyraźne. Przesłałem je Tedesco. Miejmy nadzieję, że znajdzie kogoś, kto poprawi ich jakość.

– Posłałeś je Tedesco? – Pokręciła głową. – A jeśli współpracuje ze Scottem?

– Myślę, że ułatwi to identyfikację. Tak czy owak, mam kopie zdjęć na swojej poczcie.

– A co z Margaret? Teraz, kiedy zobaczyłeś ją na żywo, wiesz już, skąd ją znasz?

– Nie.

– W tej chwili to chyba nie ma znaczenia. Oj. – Wyjęła komórkę. – Zapomniałam wyłączyć ją po przyjeździe karetki.

Popatrzyła ze zmarszczonym czołem na ekran.

– Co?

– Nic strasznego. Zaczekaj chwilę.

Nic strasznego, ale odczytywała wiadomość bardzo długo. Potem jeszcze raz. Teraz się nad czymś zastanawiała.

– Tedesco? – spytał.

Zaczęła stukać dłonią w poręcz łóżka. I znowu odczytywała tę cholerną wiadomość.

– Próbujesz mnie wykończyć?

– Próbuję wykombinować, jak mam ci to powiedzieć. No, w każdym razie Kat jest znowu w mieście.

Usiadł gwałtownie, potem zgiął się wpół, łapiąc się za żebra.

– Kat? W Melbourne?

Podąła mu telefon.

„Z powrotem w Melbourne. Zatrzymałam się w pracowni Mel. Jej telefon. Nikt nie wie, że tu jestem”.

Nikt z wyjątkiem Mel. Co oznacza przyjaciół Mel, sąsiadów Mel, chłopaka Mel, przyjaciół chłopaka Mel.

Zaczął szybko pisać.

„Niebezpieczne. Zamknij drzwi i zostań tam. Frankie przyjedzie po ciebie. C”.

– Wszystko jest na pewno w porządku – powiedziała Frankie.

– Mel to gaduła, nie utrzyma języka za zębami. A nawet gdyby zdołała, powiązanie jest zbyt oczywiste. Organizowały wspólne wystawy, wykładają na tym samym uniwersytecie. Jeśli Scott jest dostatecznie bystry, żeby założyć podsłuch na telefonie Kat, to jest też dostatecznie bystry, żeby węszyć wśród jej przyjaciół.

– Po co miałyby zadawać sobie tyle trudu? Ma teraz numer twojego telefonu.

– A po co zabił Gary’ego? Albo Arniego czy Spirosa? Nie lubi niedokończonych spraw.

Zabrzęczała jego komórka.

„Dałam ci znać przez grzeczność, nie w celu konwersacji. Wyłączam telefon”.

„NIE. SCOTT POGADA Z TWOIMI PRZYJACIÓŁMI. PODAJ MI ADRES I ODJEDŹ Z FRANKIE. PROSZĘ”.

Przeczytaj to. Błagam, przeczytaj to. Miej włączony telefon i przeczytaj to.

„Dlaczego Frankie?”

Co jest, kurwa? Tyle zrozumiała z tej wiadomości? Dlaczego Frankie?

Frankie wyrwała mu komórkę z dłoni i zaczęła pisać.

„Caleb nie może przyjechać. Jest w szpitalu, podłączony do kroplówki. Robota Scotta. Umierał dwa razy. Martwy. Zatrzymanie pracy serca. Siny na twarzy. To groźni ludzie. Podaj mi swój adres. Frankie”.

– Frankie. Jezu.

Komórka znów zabrzęczała.

„241 Hampton St Carlton”.

– Czasem trzeba walić prosto z mostu. – Podała mu telefon. – Teraz napisz jej coś miłego, żeby przestała płakać.

Jego palce znieruchomiały nad ekranem. Nie czas się opieprzać, trzeba po prostu coś przekazać. Cokolwiek. Byle dobrze. Frankie wyłamywała sobie palce.

„Whitsundays. Jutro. Wszystko ci opowiem”.

Wysłał.

Dłoń Frankie drżała nieznacznie, kiedy odbierała od niego komórkę. Wysyłanie jej w godzinach największego szczytu wydało mu się nagle kiepskim pomysłem. Samochody zajeżdżające jej drogę, narastający stres. Pieprzyć kroplówkę, lepiej żeby to on prowadził. Usiadł, a przenikliwy ból kazał mu znieruchomieć.

– Co ty wyprawiasz, kurwa?

– Przyjmuję wygodniejszą pozycję.

– Chyba ci nie wychodzi. Potrzebujesz pielęgniarki?

Musiałby ją przytrzymywać, by nie szarżowała, gdyby pojechali razem. Następna opcja?

– Nic mi nie jest. Ale powinnaś wziąć taksówkę.

Zrobiła urażoną minę.

– Potrafię prowadzić.

– Taksówką będzie szybciej. Zresztą nie znajdziesz o tej porze miejsca do zaparkowania obok pracowni Mel. Nie chcę, żebyście szły same kawał drogi do samochodu.

Wzruszyła gwałtownie ramionami.

– Samochód i tak pewnie został odholowany, zostawiłam go przy rampie, gdzie wyładowują towar pod Naughtonem.

Obróciła się w stronę zasłon.

– Frankie?

– Tak?

– Przepraszam, że musiałaś przez to wszystko przejść. Za to, o czym musiałaś powiadomić Kat.

Znieruchomiała z dłonią na zasłonie.

– Tak, no cóż, wracaj do zdrowia. Niewielu jest na świecie ludzi, których kocham.

Zniknęła.

Położył się i przez chwilę tylko oddychał. Miał nadzieję, że Frankie pojawi się tu za godzinę z Kat, że Tedesco dostał zdjęcia i że wszystko wreszcie się skończy.

Wróciła Susan i zaczęła nad nim skakać, sprawdzając mu ciśnienie i puls.

Podniosła kciuk.

– Jak... się... pan... czuje?

– Dobrze.

– Świetnie. Pańska mama? – Wskazała w stronę zasłon.

Roześmiał się, wyobrażając sobie reakcję Frankie.

– Raczej siostra.

Jej wzrok spoczął na broszurach leżących na łóżku.

– Doskonale. Siostra... pana... przypilnuje.

Ponownie poklepała go po dłoni i oddaliła się.

Siostra. To słowo krążyło mu uparcie po głowie. Siostra. To wyjaśniało, skąd zna Margaret. Widział ją na starej fotografii ślubnej w domu Frankie. Dwie nieśmiałe dziewczyny o miodowych blond włosach i krzywym uśmiechu.

Frankie i jej siostra, Maggie.

31.

Poczuł, jak serce ściska mu niewidzialna obręcz.

Spuścił nogi z łóżka i wyrwał wenflon z ręki. Buty? Gdzie się podziały jego buty? Zapomnij o nich, po prostu biegnij. Wyskoczył z za zasłony i rzucił się sprintem, jego pierś dźgały jakby ostre odłamki szkła. Przycisnął do niej dłoń i przyspieszył. Obok pokoju pielęgniarek: uniesione głowy, wystraszone spojrzenia. Korytarzem, za rozsuwane automatycznie drzwi. Ciemno. Było później, niż mu się wydawało.

Samochód. Czy Frankie go zostawiła i wzięła taksówkę? Niedaleko Naughtona, powiedziała, starego uniwersyteckiego pubu. Nieduży dystans. Ile to może być? Czteryście, pięćset metrów. Ale wóz stał w obrębie zakazu parkowania, w Parkville, tam gdzie działają najbardziej entuzjastyczni na świecie strażnicy miejscy. Ból przy każdym kroku. Bieg przeszedł w pospieszne szuranie nogami. Cholera, cholera. Musi poruszać się szybciej. Zdobył się na trucht, zewsząd jakby dźgały go noże.

Pomylił się, na pewno; widział pojedyncze, żółknące zdjęcie nastoletniej Maggie Reynolds. Nie ma powodu przypuszczać, że rozpoznał ją jako osobę dorosłą. Myli się. Zdecydowanie.

Nie myli się.

Jest – samochód. Dzięki Bogu. Wsunął dłoń do kieszeni.

Nie znalazł kluczyków.

To jak jakiś pieprzony nawracający koszmar. Kawalek drutu, żeby otworzyć drzwi. Nic. Zresztą za mało czasu. Przykucnął przy rynsztoku i pociągnął obłamany kawałek kostki bazaltowej, który poruszył się jak obluzowany ząb. Wstał i kopnął kamień.

Należało poszukać w szpitalu butów. Kopnął ponownie. Już luźniej. Grzebał się w błocie, szarpiąc i ciągnąc. Kostka ustąpiła, a on wylądował na plecach jak długi. Utracone cenne sekundy, kiedy świat chwiał się i wirował.

Dźwignął się na nogi i walnął kamieniem w szybę po stronie pasażera. Pękła i rozpadła się na drobne kryształki. Do środka, na siedzenie kierowcy. Szarpnął dźwignię bagażnika. Standardowy śrubokręt powinien załatwić sprawę. Dziesięcioletnia corolla nie mogła się bardzo różnić od kradzionych holdenów i fordów, które tyle lat temu wybierał sobie na przejażdżkę. Pod skrzynką z narzędziami leżała broń Petronina. Wziąć ją? Jeśli Frankie zaprowadziła Scotta do kryjówki Kat, to będzie jej potrzebował. Nie zrobiłaby tego. Nie mogłaby. Wszystkie te godziny, które spędzili na wspólnej pracy. Tyle razy mu pomagała. Wziął broń. Była cięższa, niż pamiętał. Jeszcze cięższa, kiedy wsunął do niej magazynek. Do samochodu. Nie ma immobilizera; powinno się udać. Błagam, Boże. Wcisnął śrubokręt w stacyjkę, obrócił. Znajome drżenie, ożywający silnik. Wrzucił bieg i ruszył.



Zaparkował na drugiego pod pracownią Mel i pchnął wysoką drewnianą furtkę. Niewielkie podwórze od frontu świeciło pustkami. Łukowate drzwi pracowni zamknięte, okna zakryte okiennicami. Przycisnął dłoń do drewna, ale wyczuwał tylko łomot własnego serca. Może dotarł tu przed Frankie. Może Kat tu nie ma.

Może zjawił się za późno.

Chwycił klamkę i otworzył na oścież drzwi.

Frankie, sama. Siedząca na podłodze, zapłakana, bez jednego buta, wokół łydki gumowa opaska. Na palcach u stóp ciemne kropki po nakłuciu igły. Nie. To nie miało żadnego sensu.

Patrzyła na niego, jej zaczerwienione oczy były szeroko otwarte.

– Cal.

Otrząsnął się. Frankie bierze – później się tym zajmie.

– Gdzie Kat?

– Nie było jej tutaj. – Dźwignęła się i zaczęła zbierać swój sprzęt – łyżkę, strzykawkę, filtry. Drżały jej dłonie, kiedy chowała to do plecaka. – Przykro mi, że dowiedziałeś się o tym w ten sposób. Nie martw się, nie jestem ćpunem, panuję nad tym. Nie robię tego często. Po prostu pomaga mi przetrwać...

– Nie obchodzi mnie to. Powiedz mi tylko, gdzie jest Kat.

– Nie zostawiła żadnej kartki. Może wyszła na...

– Przestań. Skończ z tymi pieprzonymi kłamstwami. Wiem, że jesteś siostrą Margaret. Wiem, że pracujesz dla Scotta. Więc powiedz mi tylko, gdzie jest Kat.

Podniosła rękę, jakby chciała odepchnąć jego słowa, potem ją opuściła.

– Kurwa.

– Gdzie ona jest?

– Przepraszam, Cal. Nie chciałam, by tak się stało. Tak kurewsko się starałam, żeby to wszystko naprawić.

– Czy ona... – ledwie wydobył z siebie słowa przez ściśnięte gardło. – Czy ona żyje?

Skinęła głową.

Serce znów mu mocniej zabiło.

– Ale Scott ją ma?

Znowu skinienie głową.

– Gdzie?

– Nie wiem, pewnie w ich magazynie, tam gdzie... Cal, musisz odjechać. Myślą, że nie żyjesz.

Zrobił krok w jej stronę.

– Zabierz mnie tam.

– Nie mogę. Nie rozumiesz. Scott zabije mnie, zabije nas oboje. I nie stanie się to szybko.

Uniósł broń; nie wydawała się już ciężka.

– Ruszaj.



Próbował dokonać obliczeń, kiedy Frankie prowadziła. Opuścił szpital dziesięć minut po niej, kolejne pięć, żeby włamać się do samochodu, więc był w stosunku do Kat spóźniony o jakieś dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut. Co mogło się wydarzyć przez ten czas? Skoncentruj się na „dlaczego”, nie na „co”.

– Dlaczego Scott zabrał Kat, jeśli uważa, że nie żyję?

– Chce wiedzieć, komu przesłałeś zdjęcia.

– Cholera, sprawdzili moje maile?

– Oczywiście, że je sprawdzili, kurwa. Poleci połowa pieprzonych policjantów, jeśli zostaną ujawnione. Zajęło im trochę czasu, zanim weszli ci na telefon. Masz szczęście.

Jego pojęcie szczęścia było odmienne.

– Dlaczego im nie powiedziałaś, że przesłałem je Tedesco? Dlaczego wciągnęłaś w to Kat?

– Nie wiedziałam, kto je dostał, dopóki mi nie powiedziałaś.

– Dlaczego, kurwa, im wtedy nie powiedziałaś?

Jej usta się poruszyły, ale nie spojrzała na niego.

– Frankie.

– Nie chciałam, żeby się zorientował, że żyjesz.

Sprzedawała Kat, żeby go chronić. Bał się, że zwymiotuje. Opuścił szybę i odetchnął głęboko spalinami diesla. Utknęli za dwiema niemrawymi ciężarówkami, ruch ustał na dobre.

– Objedź je. Zjedź na przeciwległy pas.

Zredukowała bieg i wcisnęła się na ścieżkę rowerową. Jeszcze więcej ciężarówek. Zaparkowane samochody. Jezu, kurwa. Co by się stało, gdyby Kat im powiedziała, że to był adres poczty Tedesco? Co by się stało, gdyby im nie powiedziała?

– Daj mi swój telefon.

Zawahała się, potem wyjęła go z kieszeni. Odszukał numer Tedesco i zaczął pisać, dłonie miał śliskie od potu.

„Pilne. Potrzebuję pomocy. Mają Kat”.

Przesłał. Przesłał ponownie. I jeszcze raz. Proszęprzeczytajtoproszęprzeczytajto.

Telefon zabrzączał.

„Kto? Gdzie?”

– Jaki jest adres tego magazynu? – spytał Frankie.

Znowu wahanie, ale powiedziała mu.

„Magazyn. Darlington Avenue Footscray 39. To Scott”.

Odpowiedź była natychmiastowa.

„Jadę. 15 min.”.

Co jeszcze? Wezwać pogotowie? I co powiedzieć? Nie takie proste jak w domu Gary’ego.

Nie posuwali się w ogóle do przodu. Zielone światła, ale nikt nie przejechał przez skrzyżowanie. Narastał w nim krzyk rozpaczny.

Frankie coś mówiła.

– ...nikt nie miał oberwać. Żadne z was. Myślałam, że jak będę mu przekazywać informacje...

Pojawiła się świadomość, zimna i bezwzględna.

– To ty wysłałaś Petronina do Bay. A gdyby Kat mu otworzyła? A gdyby... Boże, powiedziałaś o niej Scottowi? Telefony na podsłuchu, zdjęcia. To wszystko nie było kwestią jego przebiegłości, tylko sprawnego wywiadu.

– Nie sądziłam, że się do niej dobierze. Miało to tylko odwrócić twoją uwagę.

– To pieprzony morderca. Co sobie wyobrażałaś?

– A co miałam zrobić? Mówiłam ci, żebyś nie brał tej roboty! Ale nie, musiałeś podpisać pieprzony kontrakt, zaangażować w to Gary’ego.

Sens jej słów docierał do niego z wolna.

– Pracowałaś dla Scotta od początku? Ja nie... Co się stało? Chodziło o twoją siostrę? Groził jej?

Skrzywiła twarz.

– Maggie? To pomocnica Scotta. To ona poznała nas ze sobą, pozwoliła, żeby złapał mnie w swoje szpony. Tańczyłam, jak mi zagrali. Przez sześć pieprzonych lat.

Sześć lat.

Każdy dzień ich przyjaźni był kłamstwem.

– Dlaczego? Chodziło o pieniądze? O dreszcz emocji?

Nie odpowiedziała, jej dłonie zaciskały się co chwilę na kierownicy. Nie potrzebowała drinka. Potrzebowała działki.

– Jezu, Scott dostarczał ci towar. Sprzedawał mnie za pieprzone prochy.

Drgnęła.

– To nie było tak. Należę do niego, Cal. Spójrz, co mi zrobił! – Podciągnęła podkoszulek. Wzdłuż jej boku biegła czerwona blizna: litera S. Żołądek podjechał mu do gardła. – To właśnie stało się w moim domu. Był wkurzony, bo nie przyprowadziłam cię do niego. Próbowałam mu wyjaśnić, że nie masz zdjęć, ale on nie chciał słuchać. Dlatego wyjechałam. Dlatego do ciebie nie dzwoniłam. Zrobiłam to, żeby cię chronić.

– Więc po co wróciłaś?

Zerknęła na plecak leżący u jego stóp.

– No tak. Bo potrzebowałaś działki.

– Trzymałam się przez lata, dopóki drań mnie nie odciął od towaru. Cholerny Gary i te zdjęcia. Sześć pieprzonych lat bez wody i prochów, tylko mała działka w każdy weekend. Okej, zwiększała się odrobinę. Ale nigdy nie brałam w robocie. I było to lepsze niż picie, prawda? Nawet nie wiedziałeś.

Nie. Był całkowicie nieświadomy.

– Nie mogłam...

Odwrócił się, nie mogąc znosić tego dłużej.

Znowu posuwali się do przodu. W końcu pokonali skrzyżowanie i skręcili w Dynon Road. Niewielkie przedmieścia, musieli być już blisko. Skręcili w mniejszą ulicę: Darlington Avenue. Dawna strefa przemysłowa, kilka nowszych budynków, szeroka, cicha arteria. Dostatecznie szeroka, by mogły na niej zawracać ciężarówki.

Frankie zwolniła i podjechała pod stare ogrodzenie z siatki drucianej, zwieńczone drutem kolczastym.

Wyciągnął broń.

– Nawet nie myśl o tym, żeby ich ostrzec.

– Cal, nie zrobiłabym tego. – Jej twarz pod błyszczącą zasłoną łez wyglądała bardzo mizernie. – Musisz mi uwierzyć. Nie chciałam, by tak się stało.

Wysiadł w milczeniu z samochodu i zawahał się, spoglądając na plecak. Wywał jej to wszystko, niech cierpi. Ale ten znajomy obraz desperacji – od razu sobie wstrzyknie, gdy jej to zostawi. Nie musiałby się wtedy obawiać, że śliniąc się na przednim siedzeniu, zaalarmuje Scotta.

Frankie chwyciła go za rękaw.

– Cal, tak mi przy...

Wyszarpnął rękę, pobiegł.

Brama była zamknięta na kłódkę. Ale ogrodzenia nie wieńczył drut kolczasty. Zaczął się wspinać. Rozdzierający ból w klatce piersiowej, nie sposób wyciągać ręce. Posuwał się drobniutkimi ruchami. Krótka chwila paniki na górze, potem powolne zejście w dół. Leżał przez moment, dysząc ciężko. Nie ma czasu, ruszaj. Dźwignął się na nogi i pokonał biegiem porośnięty chwastami parking. Ukłucie strachu – nie ma tu żadnych samochodów. Frankie znowu go zdradziła? Przywiozła w niewłaściwe miejsce? Jeśli tak, to oznacza koniec.

Zobaczył przed sobą kilka blaszaków, dalej majaczył kształt większego magazynu. Ciemno, na niebie tylko wąski skrawek księżyca. Każdy mógł się tu czaić. Dotarł do pierwszego blaszaka i wyjrzał zza węgła. Tak: furgonetka z przyciemnionymi szybami, toyota hiace. Idealna do przewozu ludzi bez ich zgody. Jak wsadzili do niej Kat? Jak

zmusili ją do milczenia w trakcie podróży? Nie, nie myśl o tym. Zachowaj spokój i skoncentruj się. Dokąd teraz? Do magazynu czy jednego z sześciu blaszaków? Dziedziniec wysypany żwirem – ryzyko, że narobi hałasu, więc wybierz mądrze. Zamknął oczy i zaczął liczyć wstecz od sześćdziesięciu, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Przy dwudziestu przerwał. Wystarczy; widział maleńkie kropeczki światła na dachu magazynu. Sąsiedzi znajdowali się setki metrów dalej. Można robić mnóstwo hałasu bez obawy, że się kogoś zaniepokoi.

Obszedł blaszaki i ruszył w tamtym kierunku. Solidny budynek z cegły, wysokie okna zabite deskami. Stary dach, ale nowe stalowe drzwi o solidnej, na pierwszy rzut oka, framudze. Jeśli są zamknięte, to w żaden sposób nie zdoła ich sforsować. Nacisnął klamkę. Poruszyła się gładko w jego dłoni.

Ruch powietrza za jego plecami.

Obrócił się błyskawicznie z wyciągniętą ręką. Tedesco cofnął się, w jego oczach odbijał się księżycowy blask. Caleb uświadomił sobie nagle, że celuje w pierś detektywa. Opuścił rękę.

Tedesco śledził uważnie ten ruch.

– ...pieprzona broń?

– Należała do Petronina – wyszeptał.

Nie uspokoiło to detektywa.

– ...jak... nią posługiwać?

– Niezupełnie.

– Pierwsza zasada. – Tedesco wyjął z kabury swój pistolet. – Tylko... ktoś... kto się o to prosi.

Caleb skinął głową i sięgnął do klamki.

Tedesco wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać.

...

– Co?

Detektyw przyłożył do ucha wymaglinowany telefon i pokazał na migi błyskające

światła. Pomoc jest w drodze. Ale nie dość szybko. Caleb pokręcił głową i otworzył ostrożnie drzwi. Przed nimi coś w rodzaju poczekalni: pojedyncza żarówka rzucająca na ściany długie cienie. Dwoje drzwi wewnątrz, zamknięte. Wsunął się do środka, Tedesco za nim. Detektyw poklepał go po ramieniu i wskazał jedne z drzwi. Otworzył je ostrożnie. Ciemny korytarz, wejścia do pomieszczeń. Podążył za policjantem. Czworobok drzwi, wszystkie zamknięte. Które? Wydawało się, że Tedesco wie: zatrzymał się przy przedostatnich i uniósł dwa palce. Dwóch ludzi. Dobrze – tylu mogą załatwić.

Detektyw dał mu znak, żeby zaczekał, potem znieruchomiał. Dźwięk, wysoki, poza jego zasięgiem. Czy to był ludzki głos? Czy coś mechanicznego?

– Co? – poruszył ustami.

Tedesco pokręcił głową, ale jego dłoń zacisnęła się na broni. Kurwa, co się dzieje? Kat płacze? Krzyczy? Pochylił się i przywarł okiem do dziurki od klucza. Mignięcie długich ciemnych loków: Kat klęcząca na podłodze. Męska dłoń zaciśnięta na jej włosach. Nagły ruch, metaliczny błysk noża. Wyprostował się i sięgnął do klamki. Tedesco go odciągnął, ale Caleb wyrwał mu się i otworzył gwałtownie drzwi.

Przepastne pomieszczenie wypełnione piętrzącymi się pudłami, wolna przestrzeń wielkości kortu tenisowego. Pojedynczy rząd świateł pograżał resztę hali w głębokich cieniach. Kat znajdowała się w odległości kilku metrów od niego, nad nią stał Szary. Jej usta, jej biedne usta. I policzek – nabrzmiały i czerwony. Drań ją wałnął.

Uniósł broń.

– Puść ją.

Szary jednym szarpnięciem za włosy dźwignął Kat z klęczek i przycisnął ostrze do jej gardła.

– Odłóż broń, bo zacznę ją filetować. – Ruszył nadgarstkiem i po szyi Kat spłynęła strużka krwi.

Caleb opuścił rękę.

Stojący obok niego Tedesco zamachał gorączkowo.

Nagła myśl. Szary jej nie zabije. Nie w sytuacji, kiedy razem z Tedesco do niego mierzą. Ale jeśli odłoży broń... Ścisnął kolbę mocniej. Błagam, Boże, obym się nie

mylił.

Kat patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Podniosła dłonie i pokazała: „Jeszcze jeden człowiek w...”.

Szary szarpnął jej głowę do tyłu.

– Ręce wzdłuż ciała albo poderżnę ci pieprzone gardło.

Tedesco coś mówił, przypominało to monotonne dudnienie, ale Caleb nie spuszczał wzroku z Kat.

– Za tobą – wymówiła bezgłośnie. Słowa w jej opuchniętych ustach były ledwie rozpoznawalne. – Chowa się między pudłami.

– Musimy sprawdzić to pomieszczenie – zwrócił się do Tedesco.

– Idź. Ja przypilnuję Szarego.

Nawet nie drgnął.

Detektyw spojrzał na niego.

– Idź. Jeśli się poruszy, zastrzelę go.

Wyglądało na to, że Tedesco ma pewną rękę. Może to zrobić? Jak dobrym musiałby być strzelcem, żeby trafić Szarego, a nie Kat?

– Zbliża się – wymówiła bezgłośnie Kat. – Ma broń. Po mojej prawej ręce. Drugi rząd od wejścia.

Pobiegł w przeciwnym kierunku i zwolnił, gdy dotarł do zasłony piętrzących się pudeł. Teraz cicho, w drugą stronę. Przelotny obraz, Kat i dwaj mężczyźni. Nikt się nie poruszył. Tam, z przodu, mignięcie czegoś białego w ciemności: męska koszula. Podkradł się bliżej, oddychając zbyt ciężko. Czy to słyhać? Mężczyzna obchodził ostrożnie rząd pudeł, z uniesioną bronią, mierząc do Tedesco. Caleb rzucił się do przodu. Runęli obaj ciężko. Chwila pełnego bezruchu, potem dźwignął się z trudem na nogi. Kopnął broń przeciwnika.

– Celuję do ciebie. Ręce za głowę, potem obróć się. Powoli.

Przez moment nic się nie działo, wreszcie mężczyzna przekręcił się na plecy. Rude włosy i piegowata twarz. Szok: to detektyw z Wydziału Wewnętrznego, Hamish

McFarlane. Wszystkie fakty wskoczyły na swoje miejsce: szkockie imię, przezwisko, Scott. I to był on, od samego początku: obserwował, czekał, manipulował. Oskarżenia pod adresem jego i Gary'ego, tajemniczy podsłuch na telefonie Kat, zdjęcie martwej kobiety. Wszystko pięknie zapakowane i dostarczone Tedesco, nowemu człowiekowi w wydziale, bez powiązań i przyjaciół.

– Dorwał mnie! – wrzasnął McFarlane.

Nagły ruch dostrzeżony kątem oka. Coś się dzieje w miejscu, w którym zostawił Kat. Strzęp tego samego wysokiego dźwięku, który prawie usłyszał wcześniej, tego, który sprawił, że Tedesco znieruchomiał. Trzymaj broń pewnie, nie odrywaj wzroku od McFarlane'a.

Detektyw uśmiechnął się do niego ironicznie.

– Słyszałeś? Nie brzmi to zbyt dobrze. Może powinieneś sprawdzić, czy nic jej nie jest.

Miał wilgotne dłonie.

– Na kolana, posuwaj się w ich stronę.

– Powinieneś się pospieszyć. W jej głosie słychać ból.

Nie patrz, nie patrz, trzymaj McFarlane'a na muszce.

– Dłonie mi się pocą. Lepiej, żebyś się ruszył, zanim ta broń wypali.

McFarlane zerknął na jego palec spoczywający na spuście, potem ukląkł i zaczął posuwać się do przodu. Caleb podążył za nim między pudłami, trzymając się na długość ramienia. Kolejny prawie dźwięk gdzieś na obrzeżach jego słyszenia. Ku światłu. Tedesco wciąż celuje w Szarego, Szary wciąż trzyma Kat. Ale coś jest inaczej. Kat ma szkliste oczy, usta wykrzywione w grymasie bólu. Boże, jej palce, jej piękne palce. Dwa z nich zakrzywione i zniekształcone.

– Kat. – Zrobił krok w jej stronę.

Szary machnął nożem.

– Nie podchodź.

Caleb zamarł. Po szyi Kat spływała krew, plamiąc podkoszulek.

– Dobrze, teraz rzuć broń.

Nie może jej rzucić. Musi ją rzucić. Może gdyby...

Szary chwycił palec serdeczny Kat i wykręcił go gwałtownie do tyłu.

Zalała go fala gorąca, potem zimna. Boże, o Boże. Ścisnął broń słabymi nagle dłońmi. Szary chwycił palec wskazujący Kat. Powieki miała mocno zaciśnięte, oddech dobywał się z niej pełnymi paniki westchnieniami.

– Zostało jeszcze siedem – oznajmił Szary i szarpnął ręką.

Krzyk przerażenia widoczny na twarzy Kat, w jego sercu i ustach. Jezu. Jezu. Jak może to powstrzymać? Musi to powstrzymać. Broń. Nie potrafi dobrze wycelować. Dlaczego nie nauczył się nigdy strzelać? Dorastał na prowincji. Mógł mieć karabin. Dlaczego, kurwa, nie nauczył się strzelać?

I McFarlane tam jest, obok Kat. Kurwa, nie zauważył, jak facet wykonał ten manewr.

– Daj spokój, Caleb – powiedział rudowłosy detektyw. – Pora się poddać. Frankie powiedziała mi wszystko o tobie i obecnej tu uroczej Kathryn. Ukochana z dzieciństwa, miłość twojego życia i tak dalej. – Ujął spuchniętą dłoń Kat i pogłaskał. – Więc może oszczędzisz mi czasu, a jej dotkliwego bólu, i odłóżysz broń.

Tedesco coś mówił. McFarlane obrócił gwałtownym ruchem głowę w jego stronę, uśmiech zgasł na jego twarzy. Chwila wahania, potem jego wargi znów wykrzywił złośliwy grymas.

– Naprawdę? Więc będzie lepiej, jeśli się pospieszysz.

Wyjął coś z kieszeni: srebrne i czarne, dostatecznie małe, by pasowało mu do dłoni.
Nóż.

Caleb poczuł, jak jego wnętrzności zamieniają się w płynną masę.

McFarlane przycisnął ostrze do nadgarstka Kat.

– Twój wybór, Caleb. – Detektyw uniósł brwi. – Nie? Okej.

Pociągnął nożem po przedramieniu Kat.

– Nie! – wydarło mu się z gardła.

Hałas, krzyk. Krew. Krew wszędzie.

McFarlane znowu przyłożył ostrze do nadgarstka Kat.

Caleb rzucił broń.

32.

Kat osunęła się na Szarego. Jej ubranie było ciemne od krwi, u stóp powiększająca się wciąż kałuża. Zapach jak w rzeźni. Ile czasu jej pozostało? Godziny? Minuty?

McFarlane podniósł broń Caleba i wycelował w niego.

– Na kolana.

Ukląkł i poczuł zimno lufy przyłożonej do skroni. Spłynął na niego dziwny spokój. Nagła świadomość wielu rzeczy naraz: bezruchu Kat, miętowej woni McFarlane'a, nieznacznego bólu kolana przygniatającego coś twardego. McFarlane mówił, wrzeszczał. Tedesco spokojnie coś odpowiadał, głos tak pewny jak broń, z której mierzył do rudowłosego detektywa. Caleb przesunął ostrożnie kolano, spojrział w dół, by zobaczyć, co nim przygniata. Długi gwóźdź. Stary gwóźdź z pokrycia dachowego. Wysunął ostrożnie rękę w jego stronę, zastygł, dostrzegając jakiś ruch przy drzwiach. Ktoś tam jest. Frankie.

Oczy miała czyste, spojrzenie skupione. Nie na haju. Kurwa, co ona tu robi? Przyszła pociągnąć za spust? Zawołała i McFarlane obrócił się w jej stronę. Ucisk w jego skroni zelżał. Wiedział, że nie będzie drugiej szansy. Chwycił gwóźdź i wpakował go w udo rudowłosego detektywa. Po chwili stał, waląc na oślep. Dłońmi, stopami, łokciami. Broń poleciała gdzieś w bok. Dorwij ją. Nagły ból z tyłu głowy, ciało bezwładne. Kolejny cios i był na kolanach, ciemność wkradająca się w pole widzenia. Tedesco biegnący w jego stronę. Nie, nie, to oznacza, że Szary został sam z Kat. Dotrzyj do niej. Wstań, pospiesz się. Jakiś nagły ruch, to Tedesco zwałił McFarlane'a z nóg. Kat. Dotrzyj do Kat. Szary odciągający brutalnie jej głowę, unoszący nóż. A on wie, że nie zdąży. Błagam, Boże, nie.

Huk, fontanna krwi. Szary runął bezwładnie na podłogę.

Frankie stała nad jego ciałem, ściskając broń palcami o zbieleńskich kostkach.

Jej blade oczy wpatrywały się w niego. Żadne z nich się nie poruszyło.

Uniosła drżącą dłoń i pokazała: „Przepraszam za wszystko. Pomoc w drodze”.

Upuściła broń i uciekła.

Rozmazany kształt, McFarlane przebiegł obok niego, w stronę drzwi. Goni Frankie? Nie, chodzi o broń. Kurwa. Podniósł ją. Obraca się, celuje. Nie ma dokąd uciekać. To koniec. Wibracje za jego plecami: Tedesco tupiący wściekle, by zwrócić jego uwagę, mówiący coś gorączkowo.

– Padnij! Na ziemię!

Rzucił się na podłogę. Szybka seria strzałów, jeden za drugim. Perkusyjny łomot. Bezruch. Zapach odwiecznego brudu i żelaza. Uniósł powoli głowę. McFarlane leżał wyciągnięty na brzuchu, jedna ręka odrzucona na bok, koszula na plecach poszarpana, krwawa miazga. Caleb dźwignął się na nogi i podbiegł do Kat. Oczy miała zamknięte, kałuża czarnej krwi na deskach podłogi. Jest puls? Drżąca dłoń, trudno się zorientować. Tak, jest, wyczuwalny pod jego palcami. Odetchnął, łkając.

– Kat? Kochanie? – Odsunął jej włosy z twarzy. – Otwórz oczy. No dalej, kochanie, obudź się.

Uniosła z wolna powieki. Oczy mętne, niewidzące.

– Dobrze. O, tak.

Koszmarna bladość, marmurowa szarość skóry. Zerwał z siebie jeden z podkoszulków i zaczął go drzeć.

– Zabandażuję ci rękę, żeby zatrzymać krwawienie, okej?

Nieznaczone skinienie głową. Znowu zamknęła oczy.

– Teraz... muszę poruszyć twoją ręką.

Tym razem brak potwierdzenia. Wyprostował jej kończynę, starając się nie dotykać pogruchotanych palców. Długie płaty skóry wiszące wzdłuż głębokich nacięć. Przebłyski bieli, może to kości. Jezu. Zaczął bandażować. Westchnęła gwałtownie

i szarpnęła się.

– Przepraszam, przepraszam. Zaraz się z tym uporam.

Gdzie karetka, kurwa? Powinna już tu dawno być. Ile czasu potrzeba, żeby dotrzeć do Footscray, kurwa!

Klepięcie w ramię.

– Ja to zrobię – powiedział Tedesco.

Z rozcięcia nad brwią kapą mu krew. Trzymał się na nogach niezbyt pewnie, nieobecne spojrzenie, oznaka lekkiego wstrząśnienia mózgu.

– Frankie wezwła karetkę. Idź, skieruj tu ratowników. – Zastanawiał się przez chwilę. – Na wszelki wypadek wezwij ją jeszcze raz.

Znow zaczął bandażować, a Tedesco ruszył ku wyjściu.

Kat cofnęła się.

– Cal, przestań. – Jej wargi ledwie się poruszały.

Przytrzymał ją mocniej.

– Trzymaj się, kochanie. Prawie skończyłem.

Krew przesączała się przez opatrunki i spływała po jego dłoniach. Były lepkie. Dlaczego krwawienie nie ustaje, kurwa?

– Cal... proszę... to... boli.

Zaczął płakać: ciche, rozdzierające łkanie, które szarpało mu krtań. Otarł rękawem oczy.

– Prawie koniec. – Jeszcze jedna warstwa. Wciąż krwawi, ale już chyba mniej. Starał się zawiązać materiał, ale palce stawiały opór, grube i niezgrabne. Spróbował jeszcze raz, wreszcie mu się udało. – Gotowe.

Przycisnęła obronnym ruchem rękę do piersi.

Położył jej głowę na swoich kolanach i głaskał ją po włosach.

– Już po wszystkim, zaraz będą tu ratownicy. Zajmą się tobą, podadzą środki przeciwbólowe. I założą porządne opatrunki. Będiesz jak nowo narodzona. Już

niedługo. Wyjdiesz z tego. Wyjdiesz z tego.

Ruch przy wejściu, umundurowani mężczyźni i kobiety. Nie ratownicy medyczni, lecz policjanci. Mówią, krzyczą, coraz więcej broni.

Kat trzęsła się cała, skórę miała lepka. Wziął ją w ramiona, starając się ogrzać.

Przeszywający ból przy każdym oddechu. Do tej pory nie czuł żeber, nie czuł nic z wyjątkiem bezgranicznego przerażenia. I w końcu pojawili się ratownicy, uwolnili Kat z jego objęć, odciągnęli go. Bandaże, kroplówki, nosze. Tak zimno. Dreszcze. Ktoś okrył mu ramiona kocem i poświecił latarką w oczy, zadając głupie pytania.

Kiedy układali Kat na noszach, podszedł do niego Tedesco, mówił coś, prawdopodobnie do niego. Caleb skinął głową, nie starając się nawet cokolwiek zrozumieć.

– ...Cal...

– Tak?

Wzrok miał skupiony na Kat: jej ciało było nieruchome, martwe? Dlaczego się nie porusza?

Tedesco stanął tuż przed nim i chwycił go za ramiona, przytrzymując w miejscu.

– Musisz się... centrować... jesteś skoncentrowany?

– Tak.

Usta Tedesco poruszały się wolno.

– McFarlane miał... broń... Rozumiesz?

– McFarlane miał broń.

– Zgadza się, to McFarlane miał broń Petronina, nie ty. Nie przyniosłeś jej ze sobą, udało ci się ją zdobyć podczas walki. Jasne?

Zabierają właśnie Kat. Musi z nią jechać. Dopiero w połowie drogi do drzwi wszystko pojał. Odwrócił się do detektywa.

– Dzięki.

Duży mężczyzna skinął głową i odwrócił się.

Zawieźli ich do szpitala Royal Melbourne. Rozmawiali z nim kolejni ludzie w mundurach, ale wyłączył aparat i w końcu dali mu spokój. Kat została gdzieś zabrana, dużo później przywieziono ją z powrotem, otępiała, z pustymi oczami. Wymamrotała coś niezrozumiałego i odpłynęła w nieświadomość. Siedział obok niej, wciąż mając na sobie sztywne od zaschniętej krwi ubranie.

W pewnym momencie musiał zasnąć, bo gdy nagle otworzył oczy, poraził go blask słońca. Zmrużył powieki. Nie miał pojęcia, co przyniesie nowy dzień.

EPILOG

Pojechał do Bay na pogrzeb Gary'ego, którego ciało spoczęło wreszcie w jego rodzinnym mieście. Złożyli go do ziemi na starym cmentarzu usadowionym na wzgórzu, pośród wielkich eukaliptusów i grobów miejscowych, którzy zmarli zbyt młodo. Po uroczystości żałobnicy przenieśli się do ogrodów, gdzie odbywała się stypa. Rozciągał się stamtąd piękny widok: dolina, a w dali morze. Przenośne stereo rozbrzmiewało ogłuszającymi rytmami, ktoś uruchomił elektrycznego grilla. Caleb stał z boku, przyglądając się temu wszystkiemu z pewnego dystansu. Kat też tam była; ani razu nie spojrzała w jego stronę. Rękę miała na temblaku i sprawiała wrażenie kogoś, kto boi się, że zostanie niechcący potrącony.

Po operacji zjawił się chirurg, z jego ust spływał potok słów pełnych spółgłosek. Caleb kazał mu wszystko powtarzać, a potem to zapisywał, ale przesłanie lekarza sprowadzało się do jednego słowa: nadzieja. Mamy nadzieję, że Kat odzyska w pełni sprawność ręki; mamy nadzieję, że jej kariera, życie i marzenia nie zostały zniweczone, panie Zelic. Kiedy chirurg wyszedł, próbował wziąć ją za rękę, ale odwróciła twarz i zapłakała. Gdy zjawiła się Maria, uznał, że pora się zbierać. Od tamtej pory nie rozmawiali ze sobą.

Ktoś u jego boku: to Tedesco, który w ciemnym garniturze i białej koszuli przypominał dystyngowanego mafiosa.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś, Uri.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić po tym całym gównie, jakie spotkało Gary'ego. Zawsze miałem go za porządnego faceta, człowieka rodzinnego.

Caleb skinął głową i popatrzył tam, gdzie stali ci, których jego przyjaciel osierocił.

Dzieciaki tuliły się do Sharon, uciekając spojrzeniami w bok, ilekroć ktoś się do nich zbliżał. Rozmawiał z nimi tego dnia bardzo krótko: sam nie wiedział, czy po prostu stchórzył, czy chciał być taktowny. Wiedział jednak, że musi sobie z tym problemem poradzić, jeśli chce zajmować ważne miejsce w ich życiu.

Znów spojrzał na Tedesco.

– Wiadomo coś o...

– Nie.

– Ktoś jej szuka?

– Niezbyt energicznie. Nic na nią nie mamy prócz tego, że zastrzeliła Szarego. Zresztą... zabiła znanego mordercę w samoobronie. – Wzruszył ramionami. – Wykręci się, mając dobrego adwokata.

– Pracowała dla Scotta od lat. Przekazywała mu informacje i Bóg jeden wie, co jeszcze. Prawdopodobnie nawet wtedy, kiedy jeszcze służyła w policji.

– Jeśli znajdziemy dowody, oskarżymy ją. Gdyby miało cię to pocieszyć, to powiem, że próbowała cię chronić. I Kat, do samego końca.

– Myślę... – wypowiedział słowa, które przez kilka ostatnich dni paliły mu wewnątrzności. – Myślę, że to ona dzwoniła do Gazy z automatu telefonicznego.

Twarz Tedesco zdradzała zrozumienie, ale czekał, aż Caleb powie, co mu leży na sercu.

– Nie sądzę, by tamtego dnia nie odebrała telefonu od Gary'ego. Sądzę, że Gaz powiedział jej o zdjęciach, a ona zadzwoniła do Scotta z automatu, żeby go o tym poinformować. Potem znów zadzwoniła do Gary'ego i powiedziała, żeby na nią czekał.

– Gary napisał ci, żebyś nikomu nie ufał. Kogo mógł mieć na myśli?

– Wszystkich. Ale i on nie posłuchał własnej rady.

Detektyw skinął głową.

– Niewykluczone. Albo może ostrzegał cię przed Frankie i otworzył drzwi nie jej, tylko jednemu z ośmiu policjantów, których już zgarnęliśmy.

Ładna bajeczka; szkoda, że nie potrafił w nią uwierzyć. Tedesco też nie wyglądał na przekonanego. Był wyraźnie zmęczony: wielkie wory pod oczami, zarost pod brodą w miejscach, gdzie nie sięgnęła brzytwa.

– A poza tym jak leci?

Po twarzy detektywa przemknął jakiś cień.

– Wciąż jestem na zwolnieniu do czasu zakończenia śledztwa, ale mogę powiedzieć, że nie zyskałem na popularności. Zabić drugiego policjanta... nawet skorumpowanego...

Zgrabne posunięcie: wystarczająco dużo na swój temat, żeby uniknąć szczegółowej odpowiedzi. Caleb wrócił pamięcią do tych piekielnych sekund w magazynie; Tedesco ocierający krew z oczu, próbujący wycelować, kiedy McFarlane podnosił broń.

– Przepraszam – powiedział. – Mogłem się domyślić, że McFarlane i jego kumple stoją za tym pierwszym włamaniem i za przejęciem City Sentry.

Wiedział przecież, że agencja ochrony ma nowych właścicieli; Elle wspomniała o tym, Frankie to zanotowała, ale on skupił się na nazwie firmy. Gdyby pogrzebał dokładniej, dokopałby się do McFarlane'a.

Tedesco pokręcił głową.

– Biorąc pod uwagę, że biegły księgowy potrzebował trochę czasu, by to wszystko rozgryźć, nie winiłbym się na twoim miejscu. Czego zresztą byś się dowiedział? Że kilku policjantów kupuje firmę ochroniarską? Nic w tym niezwykłego. Poza tym McFarlane pilnował, by jego nazwisko nigdzie nie figurowało.

– Wiedziałeś, że jest skorumpowany?

– Grał na mnie jak na pieprzonych skrzypcach. To był największy szok w moim życiu, kiedy zobaczyłem, jak lezie przed tobą na kolanach. Nawet wtedy sądziłem, że to jakiś wyrefinowany numer z jego strony. Gdybym nie widział, co zrobił Kat... Jezu.
– Skrzywił usta. – Ten jego uśmiech, kiedy ją kroił.

Caleb wciąż miał to przed oczami: grymas, tnące ostrze. Wiedział, że nigdy tego nie zapomni.

– Kurwa, przepraszam – powiedział Tedesco. – To było bezmyślne. Jak sobie radzi?

– Chirurg ma nadzieję, że odzyska w pełni sprawność ręki. – Starał się nie patrzeć na Kat. – Wiesz, w jaki sposób byli w to zamieszani Spiros i Arnie?

– Owszem. Tak jak sądziłeś, to oni dokonali drugiego włamania, mała zgrabna podróbka wyczynu McFarlane'a. Tylko nie byli na tyle mądrzy, aby zatrzeć ślady. McFarlane dowiedział się i dokopał im za to, że przyciągnęli niepotrzebnie uwagę do jego operacji. Myślę, że pozwolił im żyć, bo byli mu potrzebni, potem, kiedy zrobiło się zbyt gorąco, załatwił sprawę. – Nagle zrobił wielkie oczy. – Czy to ktoś, kogo znasz? Czy chodzi jej o mnie?

Bo oto w ich stronę zmierzała energicznym krokiem Maria. Wyglądała nieskazitelnie: żaden powiew wiatru nie śmiał naruszyć jej doskonale ułożonych włosów czy eleganckiego granatowego spodniomu. Caleb wyprostował się odruchowo.

– Dobrze wyglądasz, Mario.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie, Caleb. Wyglądasz koszmarnie. Musisz przybrać trochę na wadze. No cóż, nie byłeś zbyt wylewny w swoich mailach. Mam wierzyć w to, co napisano w gazetach?

Nie zajął do nich od śmierci Gary'ego. Starał się ich za wszelką cenę unikać.

– Pewnie przedstawiano w nich główne fakty.

– Przykro mi z powodu twojej partnerki. To musi być dla ciebie trudne.

To, że Frankie go zdradziła? Czy że nie zorientował się wcześniej? Jak mógł nie dostrzec oznak nałogu? Wszystkiemu, co się wydarzyło, bólowi i śmierci, można było zapobiec, gdyby tylko się bardziej wysilił. Gdyby umiał dojrzeć więcej.

– Dlaczego nie rozmawiasz z Kathryn?

– Bo tego nie chce.

Wahanie. A może westchnienie ulgi.

– Powiedziała ci to?

– Scott ją uprowadził, bił i torturował, a ja stałem z boku i pozwoliłem na to. Nie musi mi nic mówić.

Tedesco poruszył się niespokojnie.

Maria zacisnęła usta.

– Lepiej zadbaj o siebie, Cal. Nie szczędziłam wysiłków, żeby doprowadzić cię do porządku.

Odmaszerowała zdecydowanym krokiem.

– Jezu – sapnął Tedesco, na którego twarzy malował się niejaki respekt. – Kto to był?

– Moja była teściowa.

– Ciekawe musiały być te wasze rodzinne obiady.

– Nie jest taka zła... kiedy się już ją lepiej pozna.

– Wierzę ci na słowo, stary. – Usta Tedesco poruszały się przez chwilę, jakby sprawdzając zasadność jakiejś myśli. – Zastanawiałeś się nad terapią? Mogłaby pomóc.

– Tak, Kat korzysta z porady psychologicznej.

– Chodzi mi o ciebie.

– O mnie? To nie ja byłem torturowany przez McFarlane'a.

– Jesteś pewien?

Poczuł falę gorąca.

– Jestem, kurwa. A Kat ma dowód w postaci blizny.

– Są różne rodzaje bólu, stary. To, że go nie widać, nie znaczy, że go nie ma.

Odwrócił się, zanim Caleb zdążył odpowiedzieć.

Dosyć z tym wszystkim. Najwidoczniej nie powinien teraz z nikim dłużej rozmawiać. Ruszył w stronę samochodu.

Anton siedział na masce, ubrany w niemodny i zbyt luźny garnitur, niewątpliwie po ojcu. Czyste włosy, świeżo ogolona twarz, źrenice normalne.

Caleb zatrzymał się przed nim, próbując nie skrzywić się na wspomnienie ich ostatniego spotkania.

– Cześć, Ant, nieźle wyglądasz.

– Ty nie. Spałeś w tym ubraniu? – Każde słowo pokazane na palcach.

Trochę się odprężył: otrzymał rozgrzeszenie, choć nie miał pojęcia dlaczego.

– Ostatnim razem, w domu... Przepraszam, że zachowałem się jak skończony palant.

Anton wzruszył ramionami.

– Następny ptaszek zakreślony na rodzinnej tablicy wyników – upłynniłem też twoją toyotę camry.

– Mój pierwszy pieprzony samochód? Ten, na który zbierałem przez dziesięć miesięcy? Myślałem, że to sprawka braci O'Brienów.

Anton wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Mama była wredną kłamczuchą.

– Jezu. Masz w zanadrzu więcej rodzinnych sekretów?

Anton wygładził klapy marynarki.

– Ani jednego, ale teraz jesteśmy już kwita, co? To znaczy, wierzysz, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Gary'ego czy tym całym Scottem?

– Tak, wierzę w to.

– To, jak patrzyłeś na mnie tamtego wieczoru... Kurwa. Posłuchaj, wciąż przechowuję tę wiadomość, którą zostawił mi Gary. Gliniarze ją odsłuchali, a ja puściłem ją Frankie, kiedy zadzwoniła. Obiecała, że ci powie, że ją odsłuchiwała, ale sądzę, że tego nie zrobiła. Mogę ją przegrać, jeśli chcesz. Poprosisz kogoś, wiesz, żeby potwierdził, co w niej jest.

Słońce wydawało się zbyt jasne.

– Nie trzeba, wierzę ci. Przepraszam, Ant, nie powinienem był dopuścić, żeby Frankie namieszała mi we łbie. Trzeba było ci zaufać.

Anton pokręcił głową.

– Przez lata babrałem się w gównie, wiem o tym. Wczoraj byłem czysty, dzisiaj jestem czysty, ale kto, kurwa, może powiedzieć, co będzie jutro? – Zsunął się z maski wozu. – Zostajesz na noc? Napijemy się.

– Nie, muszę wracać do Melbourne. Mój biznes jest w koszmarnym stanie.

Wiedział, że jest jeszcze gorzej; groziła mu plajta. Nie dość, że od tygodni nie odpowiedział na żadną wiadomość, to wieść o zdradzie Frankie rozniosła się szybko wśród starych gliniarzy. Nie otrzymał od tamtej pory ani jednego zlecenia i było bardzo prawdopodobnie, że nigdy nie otrzyma.

– Chodź, Cal, napijemy się dobrej herbatki. Umyję ci nawet kubek. Wrócisz jutro.

– Następnym razem.

Twarz Antona przybrała swój zwykły wyraz, „pieprzyć to”. Zerknął nad ramieniem Caleba.

– Chyba wrócę do... kurwa, co Brad O'Brien tu robi? Nie kumplował się z Garym, kurewsko się nie znosili.

– Liczy na darmową wódę.

– O, patrz, przyprowadził ze sobą pradziadka, to miłe. Och, może i nie. Staruszek przystawia się do Kat.

Nie zamierzał się odwracać.

– Zaczął łykać więcej tego swojego specyfiku, rozumiesz. Dwa razy tyle co zalecana dawka, ale najwidoczniej działa. Wiesz, o czym mówię, no nie?

– Zamknij się, Ant.

Anton otworzył szeroko oczy.

– Stary zbereźnik, że ją tak obmacuje. Myśli, że ma szansę.

Odwrócił się. Jeremy O'Brien stał przed Kat, z dłonią na jej zdrowej ręce, o wiele za blisko, i mówił coś do niej. Caleb wychwytywał pojedyncze słowa: plaża, piknik, sukienka. Jezu, co ten stary zboczeniec sugeruje?

– Myślisz, że mu ulegnie? – spytał Anton. – Sam wiesz, że jeśli chodzi o mężczyzn, to ma kiepski gust.

Jeremy umilkł w końcu. Uśmiechnął się zadowolony, słysząc odpowiedź Kat, i począł przed siebie. Caleb zauważył, że z trudem opanowała dreszcz obrzydzenia, i też się uśmiechnął. Poniosła wzrok, popatrzyła na niego. Oddech utknął mu gdzieś na wysokości żeber. Co ma teraz zrobić, u licha?

– Idź – pokazał mu Anton.

Jej czyste niebieskie oczy wpatrywały się w niego z uporem, kiedy tak czekała. Na co? Żeby odszedł? Zbliżył się do niej? Żeby samoistnie spłonął?

– No idź, szybko. – Anton pchnął go lekko. – Zanim Jeremy cię uprzedzi.

Zaczął iść.

– Wpadnę na tego drinka później – rzucił przez ramię.

Spoglądał Kat w oczy, zmierzając w jej stronę. Słowa sfruwały mu już z dłoni. Tak wiele słów, tak wiele do powiedzenia.

PODZIĘKOWANIA

Wyrażam ogromną wdzięczność wszystkim, którzy umożliwili mi napisanie tej książki. Swojej mentorce, Janette Currie, która pomogła mi znaleźć manuskrypt prawdziwej historii. Także WoMentoring Project za możliwość współpracy z Janette. Również wszystkim w Echo Publishing, zwłaszcza Angeli Meyer za to, że uwierzyła w historię Caleba oraz Brooke Clark za wnikliwą redakcję. Swojej rodzinie za zachętę i Kate Gorringe-Smith za różowe pióro. Wszystkim niesłyszącym i niedosłyszącym przyjaciołom – dziękuję za waszą szczerą i za to, że nie śmialiście się (za bardzo) z moich prób posługiwania się – w stylu Frankie – językiem migowym.

Ponad wszystko zaś dziękuję Campbell, Meg i Leni za ich cierpliwość, miłość i wsparcie. Jesteście dla mnie wszystkim.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz